C. BOGUCKA, C. NIEWIADOMSKA

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ II

WYDANIE SIEDEMNASTE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Dyrekcya policyi w Krakowie.

Egzemplarz obowiązkowy

Nakład 10 200 egzemplarzy

dnia 15. 5. 1927.

L. 5721/27

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005424728



1 424 941

SKŁAD GŁÓWNY:
«THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.» NEW YORK

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1927

1. Boże, coś Polskę...

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą Swej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały;
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!

Ty, któryś potem, tknięty jej upadkiem,
Wspierał walczących za najświętszą sprawę,
A chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem,
Wśród nieszczęść nawet pomnażał jej sławę;
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!

Wróć biednej Polsce świetność starożytną!
Użyźniaj pola, spustoszone łany;
Niech szczęście, pokój na nowo zakwitną —
Przestań nas karać, Boże zagniewany!
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!

Niedawnoś wolność zabrał polskiej ziemi,
A już krwi naszej popłynęły rzeki —
O, jakże musi być okropnie z tymi,
Którym Ojczyznę odbierasz na wieki!
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!

Jedno Twe słowo, wielki niebios Panie,
Z prochów nas podnieść znowu będzie zdolne,
A gdy zasłużym na Twe ukaranie,
Obróć nas w prochy, ale w prochy wolne!

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!
Alojzy Feliński.

Czy znałeś tę modlitwę? W długich latach niewoli śpiewali ją zawsze Polacy, a gdy stali się wolni, pamiętać ją będą, jak święte wspomnienie. Więc każdy Polak znać i umieć ją powinien.

Wytłumacz każdą strofkę.

2. Szkoła.

(Notatka ojca w kajecie syna).

«Tak, drogi Henryku. Nauka ci jest ciężka, jak powiedziała twoja matka; jeszczem cię nie widział idącego do szkoły z wesołą twarzą i duchem ochotnym, jakiebym chciał widzieć u ciebie. Ale pomyśl tylko, jak marne, jak nic nie warte byłyby dni twoje, gdybyś nie chodził do szkoły. Jeszczeby tydzień nie minął, a jużbyś prosił ze złożonemi rękoma, żeby cię znów posłać do niej, przejęty nudą i wstydem, zmęczony rozrywkami i sam sobą.

Wszyscy, wszyscy uczą się teraz, mój drogi Henryku. Pomyśl-no o tych robotnikach, którzy idą do szkoły wieczornej po całym dniu krwawej pracy; o tych kobietach, o tych dzieciach, chodzących do szkoły niedzielnej po tygodniu ciężkich, często ponad siły trudów; o tych żołnierzach, którzy chwytają za książki, za kajety, ledwo wróciwszy z mozolnych ćwiczeń; pomyśl o dzieciach niewidomych, niemych, które, mimo kalectwa, do nauki się garną; pomyśl wreszcie o więźniach, bo i ci nawet uczą się czytać i pisać.

Kiedy wychodzisz rankiem z domu, wspomnij, że w tej samej chwili i w tem samem mieście więcej niż trzydzieści tysięcy chłopców, tak samo jak ty, idzie się zamknąć na trzy godziny. Ale co!... wspomnij raczej o tych miljonach dzieci, dążących w tym samym czasie, co i ty, do szkoły po wszystkich krajach świata.

Uprzytomnij sobie, jak cała ta wielka armja przyszłości idzie przez ciche wioski, przez gwarne miasta, po brzegach mórz i jezior, pod upalnem słońcem, to pod chmurnem niebem, łodziami — gdzie braknie lądu, końmi — gdzie nogi ustają, saniami po śniegach i lodach, przez doliny, przez wzgórza, wskróś lasów i potoków, po górskich, kamienistych ścieżynach, to pojedynkiem, to gromadą, to znów długim rzędem, wszyscy z książkami pod pachą, odziani w tysiąc odmian i sposobów, mówiący tysiącem języków i narzeczy. Od szkół kresowych Północy, w lodach gdzieś zgubionych, do szkół Arabji, ocienionych palmą, miljony idą, miljony, uczyć się tych samych rzeczy tysiącem różnych sposobów! Wyobraź sobie, drogie dziecko, to olbrzymie mrowisko chłopców stu szczepów, stu ludów, stu krain, ten ruch niezmierny, którego i ty jesteś cząstką, i pomyśl: gdyby ten ruch ustał, ludzkość popadłaby w dawne barbarzyństwo. Bo on właśnie jest postępem, on jest nadzieją, on jest chwałą świata.

Odwagi zatem, mały żołnierzu miljonowej armji! Książki twoje są twoją bronią, twoja klasa jest twoim regimentem, polem bitwy jest ziemia cała, a zwycięstwem jest cywilizacja ludzkości.

Nie bądźże tchórzem w tym boju, mój Henryku drogi». Twój ojciec.

Edmund Amicis,
współczesny pisarz włoski.
(Wyjątek z powieści p. t. «Serce»).

Kiedy wchodzisz do szkoły, świat twój się rozszerza: dotąd żyłeś w rodzinie, teraz jesteś już cząstką społeczeństwa bezpośrednio. — Zastanów się nad tą różnicą. W rodzinie cię kochano i nieraz ustępowano ci przez miłość — tu mogą cię także kochać, ale wszyscy mają równe prawa, i musisz ograniczyć swoją wolę i zachcianki obowiązkiem względem kolegów. — Co to znaczy koleżeństwo? Kto jest dobrym kolegą? Kto jest złym kolegą?

3. Pauza w szkole klasztornej.

Tymczasem w klasach grzmi ciżba gwarliwa,
Jak gdyby w ulu, gdy ul odlatywa:
Dwadzieścia głosów zadania się uczy,
Dwadzieścia głosów śmieje się i huczy.
Piłka, nieznacznie rzucona gdzieś zboku,
Grzmoce o ziemię w sprężystym podskoku.
Najgłośniej krzyczał najstarszy z wąsali,
Co zawsze winę na mniejszego zwali;
Nim do cenzora dojdzie nasza skarga,
To on cię jeszcze za uszy wytarga.
Cóż malcom począć? Wszak wiadomo przecie,
Że kto ma siłę, ma słuszność na świecie.
Ale i słabym na silnych jest rada:
Gdy z łacińskiego trudna rzecz wypada,
Lub *centum bovum*[1]), jak hydra straszliwa
Z figur i z liter szpony wydobywa,
O, wtedy widzieć wąsalów postacie!
Pokornie proszą: — Podpowiedz mi, bracie!
Więc gdy się biedak w odpowiedziach błąka,
Tak mu podpowiesz, że ustrzeli bąka.
Profesor krzyczy, a pusty śmiech w sali —
To cała nasza zemsta na wąsali.
Wąsal za swoje oddawał cichaczem,
Ale był triumf, że i my coś znaczym.
Piłka się zwija, bębni szkolna ława,
Po całej sali wrzawa i kurzawa.

---

[1]) Dosłownie: sto wołów. Taką nagrodę wyznaczyły, według podania, Ateny za rozwiązanie słynnego zadania geometrycznego, zwanego też twierdzeniem Pytagorasa: że powierzchnia kwadratu, wystawionego na przeciwprostokątnej trójkąta prostokątnego, równa się sumie powierzchni kwadratów, wystawionych na dwóch pozostałych bokach.

Prefekt, choć wszystko słyszy z korytarza,
Lecz się niezawsze na wrzaski obraża:
Wszystkich nie skarcić, to i czasu szkoda!
Więc myśli sobie: — Przeszumi krew młoda.
Tylko gdy czasem swawolna drużyna
Zanadto głośne krzyki rozpoczyna,
Prefekt w drzwi puknie, albo je uchyli:
Nastaje cisza — cisza jednej chwili,
I znowu wrzaski kipią z całą mocą,
Aż w oknach szyby trzęsą się, dygocą.
Drzwi się otwarły — wpół taktu, wpół słowa
Po gwarze cisza nastała grobowa,
Niejedno trwogą uderzyło serce.
Profesor przyszedł — klęknął w katederce,
Wszyscy poklękli, i w jeden głos żywy
Zabrzmiała modła: — Boże dobrotliwy!
Ześlij dar ducha na głowy Twych dzieci,
Co serce wzmocni i rozum oświeci,
Byśmy dla kraju naukę pojęli,
Ciesząc rodziców i nauczycieli.
Profesor powstał, rzucił wzrok surowy:
— No, panie Janie, ile części mowy?

L. Kondratowicz.

Jakie były szkoły dawniej, a jakie są dzisiaj? Kto w tej szkole uczył? Czy wesoło uczyć się w szkole? Czy tylko różnych nauk dziecko uczy się w szkole? Czy uczniowie mogą być zawsze poważni? Czy to byłoby dobrze?

4. Józio.

I.

Między kilkudziesięciu pierwszoklasistami, z których jeden golił już wąsy prawdziwą brzytwą, a inni byli zdrowi jak młode źrebaki, znajdował się kaleka —

Józio. Był to chłopczyk garbaty, karzeł na swój wiek, mizerny, z małym noskiem sinym, blademi oczyma i gładkiemi włosami. Był tak wątły, że musiał odpoczywać, idąc z domu do szkoły, a tak bojaźliwy, że gdy go wezwano do lekcji, tracił mowę ze strachu. Nigdy nie bił się z nikim, tylko prosił innych, żeby jego nie bili. Gdy mu raz «dano szczupaka» po suchej, jak patyk, rączynie — zemdlał, ale otrzeźwiony — nie poskarżył się.

Miał tylko ojca, który pragnął sam kierować jego edukacją. Sam chciał odprowadzać syna do szkoły, chodzić z nim na spacer, dawać mu korepetycje, ale nie robił tego z powodu braku czasu, który mu dziwnie prędko ginął w handlu trunków i owsianego piwa.

Tym sposobem Józio nie miał żadnej opieki. Swoją drogą miewał pieniądze, po 6 i po 10 groszy na dzień. Za to miał sobie kupować w czasie pauzy po 2 bułki i po serdelku. Ale że go wszyscy prześladowali, więc chcąc się jako tako zabezpieczyć, kupował po 5 bułek i rozdawał je najsilniejszym kolegom, ażeby mieli dla niego łaskawe serca.

Podatek ten nie na wiele mu się przydał, bo poza pięciu zjednanymi stało trzy razy tyle nieprzejednanych. Dokuczali mu bezustanku. Ten go uszczypał, tamten pociągnął za włosy, inny ukłół, czwarty dał byka w ucho, a najmniej odważny nazywał go przynajmniej garbusem.

Józio tylko uśmiechał się na te koleżeńskie żarty; czasami prosił: — Dajcie już pokój! — a czasami i nic nie mówił, tylko opierał się na suchych rękach i szlochał.

Koledzy dokuczali mu wtedy jeszcze zawzięciej.

Ja z początku mało zwracałem uwagi na garbuska, który wydawał mi się niemrawym. Ale raz ten duży kolega, który golił wąsy brzytwą, usiadł za Józiem i zaczął mu palić byki w oba uszy. Garbus zanosił się od płaczu, a klasa trzęsła się od śmiechu. Wtedy coś mnie

ukłóło w serce. Schwyciłem drągala, który dawał garbusowi byki, pchnąłem go tak silnie, że runął jak długi, i zawołałem, że tak zrobię każdemu, kto Józia dotknie palcem.

Drągal zbladł jak ściana, i zdawało się, że zemdleje. Cała klasa przestała się śmiać, a potem zaczęła krzyczeć: — Dobrze mu tak! niech nie dokucza kalece!

W tej chwili wszedł profesor.

II.

Uważałem, że przez całą lekcję garbusek odwracał głowę w moją stronę i uśmiechał się, zapewne dlatego, że przez ten czas nie dostał ani jednego byka. Na pauzie także mu nikt nie dokuczał, a kilku oświadczyło, że będą go bronili. On dziękował im, ale przybiegł do mnie i chciał mi dać bułkę z masłem.

Nie wziąłem, więc trochę zawstydził się, a potem rzekł cicho:

— Wiesz co, Leśniewski, powiem ci sekret.

— Gadaj — odparłem — ale prędko.

Garbusek stropił się, a potem zapytał:

— Czy ty już masz przyjaciela?

— A mnie co po tem?

— Bo widzisz, gdybyś chciał, to ja mógłbym być twoim przyjacielem.

Spojrzałem na niego zgóry. On zmieszał się jeszcze bardziej i znowu zapytał cienkim i stłumionym głosikiem:

— Dlaczego ty nie chcesz, abym był twoim przyjacielem?

— Bo ja nie wdaję się z takiemi trutniami, jak ty! — odpowiedziałem.

Garbuskowi bardziej niż zwykle posiniał nosek. Już chciał odejść, ale zwrócił się raz jeszcze do mnie, mówiąc:

— To może chcesz, żebym przy tobie siedział? Widzisz, ja uważam, robiłbym za ciebie przykłady... Umiem dobrze podpowiadać...

Ta argumentacja wydała mi się poważną. Po namyśle przyjąłem garbuska do ławki, a mój sąsiad zgodził się za 5 bułek odstąpić mu swego miejsca.

Już po południu Józio przeniósł się do mnie. Był to mój najszczerszy pomocnik, powiernik i chwalca. On wybierał słówka i robił wszelkie tłumaczenia, on notował zadawane przykłady, nosił kałamarz, pióra i ołówki dla nas obu. A jak podpowiadał! Przez czas pobytu w szkołach wielu mi podpowiadało, niektórzy nawet klęczeli za to, ale żaden w tej sztuce nie umywał się do Józia. W podpowiadaniu garbusek był mistrzem, bo umiał mówić z zaciśniętemi zębami i robił przytem tak niewinną minę, iż żaden z profesorów nawet go nie podejrzewał.

Ile razy osadzono mię w kozie, garbusek przynosił mi ukradkiem chleb i mięso ze swego obiadu.

Jeżeli nie potrzebował na jakiej lekcji uważać, wówczas prawił mi komplimenty.

— Mój Boże, żebym ja był taki, jak ty, mocny! Mój Boże! żebym ja był taki zdolny! — Wiesz, że gdybyś chciał, to za miesiąc byłbyś prymusem.

Pewnego dnia całkiem niespodzianie nauczyciel języka niemieckiego wyrwał mię na środek. Przerażony Józio zaledwie miał czas podpowiedzieć mi, że do czwartej deklinacji należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, np. *die Frau* — pani.

Ostro wyszedłem i z wielką pewnością zawiadomiłem nauczyciela, że do czwartej deklinacji należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, np. *die Frau* — pani. Ale na tem skończyła się moja wiedza.

Profesor spojrzał mi w oczy, pokiwał głową i kazał tłumaczyć. Przeczytałem po niemiecku głośno i płynnie raz, potem jeszcze płynniej drugi raz, ale gdy zacząłem czytać trzeci raz ten sam ustęp, nauczyciel kazał mi pójść na miejsce.

Wracając do ławki, spostrzegłem, że Józio pilnie przypatruje się ołówkowi profesora i że ma bardzo zafrasowaną minę. Machinalnie zapytałem garbuska:

— Nie wiesz, jaki mi dał stopień?

— Czy ja wiem? — westchnął Józio.

— Ale jak ci się zdaje?

— Ja — rzekł garbusek — dałbym ci piątkę... no, zresztą, czwórkę, ale on...

— A on ile mi dał? — spytałem.

— Zdaje mi się, że — pałkę. Ale, co on tam wie — odpowiedział Józio tonem głębokiego przekonania.

Pomimo wątłości, chłopczyna ten był pracowity i bystry. Ja zwykle czytałem w klasie rozmaite książki, a on słuchał wykładu i później mi go powtarzał. Dzięki tym korepetycjom zacząłem wkrótce miewać nawet piątki.

III.

Pewnego dnia Józio nie przyszedł do szkoły, a nazajutrz przed południem powiedziano, że ktoś mnie «wypukuje». Wybiegłem na korytarz, trochę zaniepokojony, lecz zamiast inspektora zobaczyłem tęgiego mężczyznę z ponsową twarzą, fioletowym nosem i czerwonemi oczyma.

Nieznajomy odezwał się głosem nieco chrapliwym:

— To ty, chłopcze, jesteś Leśniewski?

— Ja.

— Zajdź tam do mego syna, Józia, do tego garba-

tego, wiesz? On jest chory, bo onegdaj trochę go przejechali.

Przestąpił z nogi na nogę, spojrzał na mnie błędnym wzrokiem i odszedł, tupiąc głośno o podłogę. Mnie jakby kto oblał gorącą wodą. Zdawało mi się, że to ja raczej powinienem być przejechany, nie zaś biedny garbusek, on — taki dobry i wątły.

Po południu wypadła rekreacja [1]). Nie poszedłem już do domu na obiad, tylko pobiegłem do Józia.

Obaj z ojcem mieszkali na końcu miasta, w dwóch pokoikach parterowego [2]) domku. Gdym wszedł, zastałem garbuska, leżącego w krótkiem łóżeczku. Był zupełnie sam, sam jeden. Ciężko oddychał i drżał z zimna, bo w piecu nie napalono. Źrenice jego rozszerzyły się tak, że miał prawie czarne oczy. W izdebce czuć było wilgoć, a z dachu padały krople topniejącego śniegu.

Pochyliłem się nad łóżkiem i spytałem:

— Co tobie, Józiu?

On ożywił się, otworzył usta jakby do uśmiechu, ale tylko jęknął. Wziął mię za rękę wyschłemi rączętami i zaczął mówić:

— Ja pewnie umrę... Ale boję się tak... sam... więc prosiłem, żebyś przyszedł... To... widzisz... niezadługo, a mnie będzie trochę weselej...

Jeszcze nigdy Józio nie wydał mi się takim, jak dziś. Zdawało mi się, że z kaleki wyrasta olbrzym.

Zaczął głucho jęczeć i kaszlać, aż na usta wystąpiła mu różowa piana. Potem zamknął oczy i ciężko oddychał, a czasami wcale nie oddychał. Gdybym nie czuł uścisku jego rozpalonych rączek, myślałbym, że umarł.

---

[1]) Rekreacja — wolny czas w szkole.

[2]) Parterowy — bez piętra.

Tak siedzieliśmy godzinę — dwie — trzy, milcząc. Ja prawie straciłem władzę myślenia, Józio odzywał się rzadko i z wielkim wysiłkiem. Powiedział mi, że go złyłu najechał jakiś wóz, że ojciec poszedł szukać nowej służącej...

Potem, nie uwalniając mi ręki, prosił, żebym zmówił cały pacierz. Zmówiłem, a gdym zaczął: «Kiedy ranne wstają zorze» — powiedział mi:

— Mów jeszcze: «Wszystkie nasze dzienne sprawy». — Ja się już pewno jutro nie obudzę.

IV.

Słońce zaszło, nadciągnęła jakaś szara noc, bo poza chmurami świecił księżyc. W domu nie było świecy, zresztą nie myślałem jej nawet zapalać. Józio był coraz niespokojniejszy, bredził i tylko chwilami odzyskiwał przytomność.

Już było późno, gdy od ulicy kołatnęła furtka z wielkim hałasem. Przez podwórze przeszedł ktoś i, gwiżdżąc, otworzył drzwi naszej izby.

— To tatko? — jęknął garbusek.

— Ja, mój synu! — odparł przybysz ochrypłym głosem. — Jakże ci tam? Pewnie lepiej? — Tak być powinno! Zawsze uszy do góry, mój synu!...

— Tatku, niema światła — mówił Józio.

— Głupstwo światło! — A to kto? — zawołał, potykając się o mnie.

— To ja — odparłem.

— Aha, Łukaszowa? Dobrze. — Prześpij się dziś, a jutro sprawię ci wnyki...

— Dobranoc, tatku, dobranoc... — szeptał Józio.

— Dobranoc, moje dziecko — odparł przybysz i, nachyliwszy się nad łóżkiem, mnie pocałował w głowę.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Józio począł się trząść i mówić coraz niewyraźniej:

— Tak mnie łamie!... Czyś ty na mnie usiadł, Kaziu? Kaziu! O, nie bijcie mnie już!...

Nagle przyciągnął moją rękę do ust, schwycił zębami za palce i — puścił. Już nie oddychał.

— Panie! — zawołałem. — Panie! Józio umarł.

— Co tam pleciesz? — mruknął głos z drugiego pokoju.

— Józio umarł — powtórzyłem cały drżący.

Człowiek rzucił się na kufrze i wykrzyknął:

— Wynoś mi się stąd, błaźnie... Ja, jego ojciec, lepiej wiem, czy on umarł!

Uczułem trwogę i uciekłem.

Przez całą noc nie mogłem spać, miałem dreszcze, męczyły mnie jakieś straszne marzenia. Zrana obejrzał mię gospodarz naszej stancji, powiedział, że mam gorączkę, że pewnie się zaraziłem od przejechanego Józia, i kazał mi postawić na krzyżu 12 baniek ciętych. Po tem lekarstwie nastąpiło — jak mówił gospodarz — takie przesilenie, żem tydzień leżał w łóżku.

Nie byłem na pogrzebie Józia, którego odprowadziła cała nasza klasa z nauczycielem i księdzem prefektem. Mówiono mi, że miał czarną trumnę aksamitną, tak małą, jak pudełko od skrzypiec.

Ojciec jego strasznie płakał, a na cmentarzu złapał trumnę i chciał z nią uciekać. Ale pomimo to Józia pochowali, a jego ojca komisarz z policjantem wyprowadzili z cmentarza.

B. Prus.

Aleksander Głowacki, zmarły w r. 1912 powieściopisarz polski.

Jaki był Józio, a jaki jego kolega? Czy koledzy szlachetnie postępowali z Józiem? Jaki wpływ wywierał Józio na Leśniewskiego? Jakie uczucia i postanowienia może w was wzbudzić hi-

storja Józia? Czy widzisz jakie różnice między tą szkołą a twoją? Jakie? Czy to jest opis, czy opowiadanie?

5. Mój Piotrusiu...

Mój Piotrusiu! nie mam grosza,
Bom i mały i ubogi,
Ale siądźmy sobie razem
Na tym wzgórku koło drogi.

Ja z książeczki mojej nowej
Przeczytam ci powieść sławną,
Sławną powieść o tych czasach,
Co minęły, przeszły dawno!

Pokażę ci na obrazku
Takich mężów i rycerzy,
Aż ci w główkę najdzie blasku,
Aż serduszko ci uderzy!

Opowiem ci różne rzeczy
O tych polach, o tem niebie,
O tych naszych żytnich kłosach,
Co tu rosną wedle ciebie.

Opowiem ci o tych lasach,
Co na straży, szumiąc, stoją,
O tych rzekach modrych, bystrych,
Co nam łąki nasze poją.

Potem sobie zaśpiewamy,
Aż głos pójdzie na pół mili!
I będzie nam w sercu błogo,
Żeśmy taki dzień przeżyli.

M. Konopnicka.

Czy dziecko może podzielić się tem, co umie, z tymi, którzy się nie uczą? Czy powinno obchodzić je to, czy się uczą inne dzieci?

6. Z życia młodej Polki [1]) w połowie XVIII wieku.

Porządek naszego życia jest zwykle taki: wstajemy letnią porą o szóstej, zimową o siódmej godzinie; wszystkie cztery sypiamy razem w jednym pokoju na trzeciem piętrze, wraz z Madame; każda z nas ma łóżko żelazne z firankami. Basia, jako najstarsza, ma dwie poduszki i becik [2]) mantynowy [3]) — my po jednej i kołdrę flanelową. Wstawszy i ubrawszy się naprędce, mówimy z Madame pacierz francuski, poczem zaraz do nauki.

Dawniej dyrektor uczył nas wszystkie po polsku czytać, pisać i rachować, a ksiądz kapelan katechizmu; ale teraz tylko Kasię i Marysię uczy, a Basię i mnie sama Madame (nauczycielka Francuzka). Uczymy się na pamięć rozmów i wokabuł [4]) z gramatyki, słów i anegdot z nomenklatora [5]). O ósmej godzinie schodzimy nadół, do państwa, na dobry-dzień i na śniadanie. Polewkę piwną w zimie, mleko w lecie prawie codzień jadamy, w dnie postne żurek bardzo wyśmienity.

Po śniadaniu idziemy wszyscy na mszę do kaplicy zamkowej, która jest bardzo piękna i z chórem; tam po mszy kapelan czyta modlitwy po łacinie, cały dwór i my mówimy je głośno za nim: muszę się też kiedy spytać, co one znaczą? Po tem nabożeństwie wracamy na górę, uczyć się wokabuł i słów niemieckich; piszemy listy na zadania; Madame nam wiersze poety francuskiego Malherba dyktuje. Mamy też klawicymbał [6]) i metra [7]) do niego, Niemca, który oraz kapeli nadwornej przewodzi

---

[1]) Franciszki Krasińskiej, później żony królewicza polskiego, Karola, syna Augusta III. [2]) Becik — pierzynka. [3]) Mantyna — materja jedwabna. [4]) Wokabuły — słówka. [5]) Nomenklator — książka, zawierająca zbiór nazw technicznych i trudnych wyrazów. [6]) Klawicymbał — rodzaj fortepianu. [7]) Metr — nauczyciel.

i trzysta złotych na rok bierze. Wszystkie się uczymy grać, Basia wcale niczego brzdąka.

Potem kładziemy podwłośniki, i fryzjer nadworny po starszemu nas fryzuje; często ból srogi ponieść wypadnie, osobliwie kiedy nową jaką tworzy fryzurę. Ja mam najdłuższe i najgęstsze włosy: po ziemi się włóczą, gdy na taborecie przed gotowalnią [1]) siedzę; na mojej też głowie zwyczajnie swoje próby robi; ale prawda, że dziwnie piękne i sztuczne układa fryzury; dzisiejsza naprzykład w moim guście najpiękniejsza, bo jakby zniechcenia: włosy wszystkie sczesane do góry, część ułożona w pukle na wierzchu głowy, część zawinięta spada, kręcąc się, na kark i na ramiona; pudru na nich z pół funta.

Ubiór nasz trwa parę godzin; przez ten czas uczymy się na pamięć różnych przysłów francuskich, a bez pamięci — cierpliwości. Jak teraz to czas gotowalni krótszy mi się wydaje, bo nam Madame czyta głośno dzieło najnowsze, dziwnie zabawne i arcy-moralne: Magasin des Enfants, przez panią de Beaumont napisane. Są to rozmowy guwernantki z uczennicami; wyborne rozpowiada im bajki.

O dwunastej, skoro na Anioł Pański zadzwonią, odmówiwszy go, schodzimy nadół na obiad, i już do końca dnia państwo u siebie bawić nam pozwalają. Dwie godziny siedzi się zwykle u stołu, potem przechadzka, jeśli pora sprzyja. Mamy też raz na raz pilną robotę do naszego kościoła do Piotrkowic: haftujemy w krosnach, póki tylko widno, a przy świecy robimy siatki na wyścigi: świec pali się kilkanaście w srebrnych pająkach; chociaż żółte, bo z naszego wosku i domowej roboty, przecież bardzo widne; ja tej zimy wieczorami do całej ko-

[1]) Gotowalnia, ubieralnia — toaleta.

mężki zrobiłam siatkę z pokrzywki i poszyłam ją w drobne muszki.

Wieczerza o siódmej i zimą i latem; po wieczerzy już niema roboty, tylko zabawa; gramy w karty w marjasza albo w drużbarta; warto widzenia, jakie miny wyrabia Macieńko (trefniś), kiedy ma siódemki; ja pękam od śmiechu. Kiedy nadejdzie dzień, w którym pokojowiec, wysyłany co tydzień do Warszawy, powraca, kapelan czyta gazety, kurjera, listy; niektórym wiadomościom bardzo chętnie się przysłuchuję. Często także czyta nam Imć dobrodziej [1]) stare kroniki, czasem nudne, ale czasem wielce zabawne; wyznam jednak, że mnie francuskie książki daleko więcej od polskich zajmują, i nierównie więcej ich czytam; nasza M a d a m e ani słowa po polsku nie umie, z państwem raz na tydzień, a z nią codziennie czytujemy. Jak w zapusty to jeszcze rzadsze czytanie: gości pełno, a wtenczas gry, muzyka, taniec. Ale co słyszę? już na dwunastą dzwonią; trzeba pióro rzucić, Pozdrowienie Anielskie co tchu odmówić, fryzury poprawić, biec nadół i zostawić na jutro, com dziś jeszcze w tym dzienniku napisać zamierzała.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa,
autorka polska z pierwszej połowy XIX w.
(«Dziennik Franciszki Krasińskiej»).

Czy możemy się dziwić, że w różnych czasach i w różnych krajach rozmaicie wychowują młodzież? Wskaż, czem się różni wychowanie dziewcząt w owych czasach od dzisiejszego?

7. Dziewczyna.

Oj, wesołaż ja dziewczyna!
Wszystko mi się śmieje:
Dla mnie kwieci się dolina,
Dla mnie wietrzyk wieje,

[1]) Jegomość dobrodziej — mowa tu o ojcu.

Dla mnie wschodzą ranne zorze
I wieczorne gwiazdki,
Dla mnie dałeś wszystko, Boże,
Na piosnki, powiastki.

Bo i któżby myślał w świecie
Przy tym niepokoju
O powoju, co się plecie
Po krzakach przy zdroju,
I o lichej tej ptaszynie,
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie?

Już ja o tem myśleć muszę,
To mój kłopot cały,
Żeby w letnią, skwarną suszę
Kwiatki nie zwiędniały,
Żeby chłopcy nie wybrali
Małych ptasząt z gniazdka;
Zdrój oczyszczam, żeby w fali
Przejrzała się gwiazdka.

Zato od liliji, ruty
Kwiatki mam dla siebie,
A ptaszek mnie uczy nuty
Do pieśni o niebie.
Od zdroju mam orzeźwienie,
Tę świeżość poranka,
A z gwiazd lecą mi promienie,
Jakby srebrna tkanka.

I tak dobrze, tak mi lekko
U matki jedynej,
Że i nie wiem, jak tam cieką
Lata, dnie, godziny.

Czasem tylko, gdy do chatki
Zła wieść zakołacze,
To na łonie miłej matki
Żal nad ludźmi spłaczę.

Bo chociaż ja tak wesoła,
Taka śmieszka psotna,
Lecz i najsmutniejsza z sioła
I często samotna.
Lada co to mnie ucieszy,
Lada co zasmuci,
Czasem mała rzecz rozśmieszy,
Mała rzecz zakłóci.

Teraz to mniej śpiewam sobie,
Mniej skaczę jak dziecię:
Od czasu, jak brat mój w grobie,
Smutniej mi na świecie.

T. Lenartowicz.

Co cię najwięcej w życiu cieszy i co smuci? Czy w tym wierszu mamy opowiadanie, czy opis, czy też wyrażenie uczuć?

8. Nauka małego Chińczyka.

Gdy miałem lat 8, ojciec przyjął do mnie nauczyciela, starego uczonego, nazwiskiem Tsin. Obowiązkiem jego było uczyć mnie początków arytmetyki i geografji, oraz pisania, a raczej malowania, gdyż, jak wiadomo, my, Chińczycy, piszemy pendzlem.

Uczeni, przyjmujący obowiązki nauczycieli w znaczniejszych domach, lub utrzymujący szkoły początkowe, nie zdawszy egzaminu wyższego, tracą prawo ubiegania się o urzędy publiczne. Surowi dla swych uczniów, biją ich za najmniejsze wykroczenie.

Tsin był jeszcze gorszy od innych, surowość jego przechodziła wszelkie granice; to też dziś jeszcze, gdy

myślę o nim jako mężczyzna dorosły, uważam go za tyrana.

Twarz miał żółtą, pomarszczoną, z obwisłemi policzkami, wąsy długie, spuściste; nosił wełnianą bluzę i takież spodnie, a na nosie miał okulary, zasłaniające mu pół twarzy; z wierzchołka głowy spływał mu długi warkocz szpakowatych włosów.

Zdaleka już czuć było od niego opjum [1]), nałogowo bowiem używał tego zabójczego przysmaku, chociaż stanowczo temu zaprzeczał; dla zachowania pozorów, nosił nawet przy sobie zwykłą fajkę i worek z tytuniem, zatknięte za pasem, wraz z patyczkami do jedzenia ryżu, wachlarzem, woreczkiem do pieniędzy, zazwyczaj pustym, krzesiwkiem i flaszką z tabaką. Słowem, miał za pasem całe gospodarstwo. To wszystko za każdem poruszeniem wydawało szmer, zdradzający jego obecność. Zwykle też nosił w ręku dyscyplinę o grubych rzemieniach, którą częściej machał podczas lekcji niż wachlarzem.

Nietyle jednak bałem się dyscypliny, ile jego warkocza. Rozgniewany, chwytał to straszne narzędzie, suche, twarde, jakby z włosia końskiego uplecione, i tak mnie niem ćwiczył, że sine pręgi długo miałem na ciele.

Nie skarżyłem się jednak na to tyrańskie obchodzenie, znosiłem je ze stoickim [2]) spokojem, gdyż wiedziałem, że od niepamiętnych czasów nauczyciele tak postępują z uczniami.

Tak upłynęło kilka lat, wyrosłem na chłopca, i zdaje się, że nauka Tsina nie była najgorsza, skoro uczyniłem znaczne postępy. Matka i siostra okazywały mi widocz-

[1]) *Opjum* — sok z niedojrzałych główek pewnego gatunku maku, odurza i sprowadza dziwaczne marzenia senne.

[2]) *Stoicy* — dawni mędrcy, cierpliwie i z powagą znoszący cierpienia.

ny szacunek, a ojciec, jakkolwiek tail się z tem, cieszył się bardzo moją pilnością i jak najlepiej wróżył o przyszłości. Często zachodził do mego mieszkania i oglądał przepisane przeze mnie wyjątki z dzieł Konfucjusza [1]). Nie pochwalił jednak nigdy mojej pracy, i tylko z niektórych ruchów jego domyśliłem się, że jest zadowolony.

Ojciec nie zdradzał też swego zadowolenia przed znajomymi i przyjaciółmi. Prawa grzeczności wymagają u nas, aby poniżać — o ile można — to, co posiadamy, a osoba, z którą rozmawiamy, powinna przeciwnie przesadzać w pochwałach dla nas. Tak np., gdy wychwalamy starożytne nazwisko znakomitego mandaryna [2]) lub jego wspaniały pałac, zwyczaj wymaga, aby on odpowiadał skromnie, że nosi nieznane nazwisko i ma nędzną lepiankę. Dlatego, gdy ojca mego pytano, czy ma dziedzica swego imienia — odpowiadał zazwyczaj:

— Mam szczeniaka.

Tym szczeniakiem byłem ja. *E. Berthet.*

Czy wiesz, jakie są przymioty Chińczyków? Gdzie leżą Chiny? Jakie towary stamtąd przywożą? Do jakiej rasy należą Chińczycy? Czy jest to naród cywilizowany? Czy wychowanie dzieci jest takie, jak u nas?

9. Dobroć.

Tak mało na świecie dobroci,
A tyle jej światu potrzeba!
Nią życie jak słońcem się złoci,
Nią ziemia się zbliża do nieba.
Potęga jej, w sercu poczęta,
Nie mija bezpłodnie i marnie:
Sieroty i polne ptaszęta
Litośnie pod skrzydła swe garnie.

[1]) *Konfucjusz* — mędrzec i uczony chiński (VI w. przed Chr.).
[2]) *Mandaryn* — wysoki urzędnik chiński.

Aż leśne ptaszyny oswoi,
Że same do rąk się jej zlecą,
I serca najdziksze rozbroi,
Że same dobrocią zaświecą.

L. Rydel.

Czy naprawdę jest mało dobroci na świecie? Czy znasz dzieci lub ludzi dobrych? Co dobrego zrobili? Czy dobroć jest potrzebna? Czy dobroć jest piękna? Czy mądry człowiek może nie być dobrym? Czy tylko dla ludzi powinniśmy być dobrzy? Dla kogo jeszcze?

10. Młody Amerykanin.

«Siłą woli i odwagą można wszystko pokonać».

I.

Kiedy zaczęły powstawać osady z tamtej strony gór Skalistych, Ryszard Garry zawarł z niemi umowę, że będzie dostarczał do następnego posterunku pocztę raz na miesiąc, drogą, idącą koło źródła Czarownic, przez przełęcz górską, liczącą pięćdziesiąt trzy mile angielskie [1]). Na całej tej przestrzeni nie było ani jednej ludzkiej osady.

W grudniu 18... roku, gdy przed świętami przywieziono ostatnią pocztę i trzeba było wieźć ją dalej, do osadników za górami, Garry czuł się chory i nie mógł sam wyruszyć tak daleko.

— Słuchaj, Ben! — rzekł do swego piętnastoletniego siostrzeńca. — Trzeba odwieźć Scottowi pocztę świąteczną, czekają jej ludziska. Ja iść nie mogę. Ty pójdziesz.

— Dobrze, wuju! — rzekł Ben.

Uradzono wszystko, jak się należy. Ben miał wyruszyć o świcie z wielką torbą pocztową, zapasem żywności, łyżwami, siekierą i futrzanym workiem do spania,

[1]) Mila angielska wynosi przeszło wiorstę.

złożonemi na saneczkach, a ważącemi razem około stu funtów. Strzelbę miał na plecach, rewolwer za pasem z jednej strony, nóż w drugiej, rzemienne pasy od sanek, skrzyżowane na piersiach, i psa u nogi.

— Ben! — upominał go stary — bądźże ostrożny, chłopcze, i dostaw wszystko w porę. Możesz przecie dojść tam za cztery dni?

— Niech wuj będzie spokojny, poczta dojdzie na czas, jeżeli góry się na nas nie zwalą, prawda, Liściku?

Liścik — był to niewielki pies owczarski Ryszarda Garrego. Na pytanie Bena odpowiedział szczekaniem.

— Bywajcie zdrowi. Śnieg jeszcze niegłęboki. Będziecie mieli dobrą drogę. Szczęśliwej podróży! Bywaj zdrów, Liściku — mówił wuj.

Liścik podbiegł i z wielką powagą podał łapę na pożegnanie, a po dopełnieniu tej ceremonji, pocztmistrz patrzał za nimi, dopóki mu nie zniknęli z oczu za wzgórzem.

Nazajutrz Ben doszedł wcześnie przed wieczorem do Źródła Czarownic. Było to miejsce zwykłego odpoczynku. Tuż przy źródle stał szałas z chróstu, a w nim zapas rąbanego drzewa. Pozostawało już tylko czterdzieści trzy mile do przebycia, a czasu na to całe trzy dni. Ben, zmęczony, rozpalił ogień, zjadł wieczerzę, urządził posłanie i usnął z Liścikiem, leżącym u jego nóg.

W nocy Liścik zaczął wyć i łapami uderzać pana po piersi. Przez cały wieczór dwie pantery odzywały się wpobliżu, ale była to rzecz tak zwykła, że nie zaniepokoiła Bena ani psa.

Zadziwiony, że go pies obudził, Ben wziął strzelbę i wyszedł z szałasu. Ogień prawie wygasły tlił się tuż przy samej ścianie parowu, do którego dochodziło zaledwie słabe światło księżyca. Ben, uszedłszy parę kroków, ujrzał nagle jelenia, który zapewne przyszedł napić

się do źródła. Myśliwski duch wnet się w nim odezwał: — Wracając, zabiorę go na święta! — Wycelował i strzelił, lecz mierząc już, zobaczył uszy pantery, sterczące nad brzegiem parowu.

II.

Jeleń ugodzony padł na miejscu, a jednocześnie wielkie cielsko zwierzęcia, podobnego do kota, spadło z góry na Bena, który runął na śnieg, przygnieciony tym ciężarem.

Otrzeźwiawszy, spojrzał i zobaczył panterę, z łapą opartą na jego nodze. Zamiast chwycić go za gardło, nawoływała swego towarzysza i śledziła Liścika, który biegał wokoło, szczekając zajadle i grożąc jej napaścią.

Nagle pies skoczył i chwycił panterę za ogon. Pantera, parskając, zwróciła się ku niemu. Ta jedna chwila wystarczyła Benowi. Wyciągnął w mgnieniu oka rewolwer i strzelił jej w łeb. Próbował się podnieść, gdy wtem druga pantera dała susa i rzuciła się na psa, ale padła też, ugodzona kulą w serce.

Poruszywszy się, Ben uczuł srogi ból w prawej nodze. Nie mógł się podnieść, tylko przyczołgał się do zabitej pantery i usiadł na jej cielsku, żeby obejrzeć swoje rany. Kość w nodze między kostką a kolanem była złamana, ubranie poszarpane, a na lewem ramieniu i ręce były długie, głębokie rany. Siedział chwilę, rozmyślając:

— Co robić? Przez jakie dwa tygodnie nie będę w stanie chodzić — może nawet miesiąc, a poczta powinna dojść pojutrze... Najbliższa pomoc o dwa dni drogi. Co robić? Najpierw opatrzyć nogę, potem zabrać jelenia na zapas. Szczęściem jest tyle narąbanego drzewa. Myślę, że trzeba będzie siedzieć tu, dopóki nie wyzdrowieję, jeżeli nie przyślą kogo na zwiady, gdy poczta nie nadejdzie.

Przyczołgał się do zarośli i wyciął sześć mocnych, płaskich kawałków drzewa, któremi obłożył złamaną nogę, a wyrównawszy kości, obwiązał wszystko chustką. Dopełznąwszy do szałasu, odciął długi kawał sznura u sanek i całą nogę mocno osznurował. Poobmywał rany na ramieniu i posmarował tłuszczem, rozżarzonym nad ogniem. Toporkiem uciął dwie zakrzywione tyczki, a zawiesiwszy złamaną nogę na sznurze, uczepionym u ramienia, zaczął posuwać się zwolna, oparty na tyczkach jak na kulach.

Dowlókł się w ten sposób do zabitego jelenia, obciągnął go ze skóry, pokrajał i z pomocą Liścika zawlókł do szałasu. Ponieważ robił to wszystko, dopóki złamanie i rany były świeże, cierpiał nierównie mniej, niż gdyby to uczynił później.

Na tej robocie zeszła mu cała noc. Rankiem zjadł śniadanie, ale już rany zaczęły się zaogniać, i ból go obezwładnił. Pomimo to, wyczerpany cierpieniem, przespał kilka godzin.

Kiedy się obudził w południe, złamana noga bardzo opuchła i bolała mocno. Rany na ramieniu bolały też i paliły niemiłosiernie.

Cztery dni minęły w ten sposób. Nieustający ból, uczucie opuszczenia i bezsilności, zimno, wilgoć, bezsenność, ciągły niepokój — dręczyły chłopca narówni z troską o niedoręczone listy.

Minęły już dwa dni od chwili, kiedy poczta powinna była nadejść, i Ben zaczął się spodziewać, że osadnicy wyślą kogo na zwiady, zaniepokojeni nieotrzymaniem listów i posyłek na kolędę.

Dotąd pogoda była niezła, a Liścik wesoły; szczątki jelenia i panter składały się na biesiadę, z której korzystał dowoli.

III.

Piątego dnia zaczęła się wielka zawierucha, śnieg padał gęsty, a wicher miotał tumanami o skaliste ściany parowu i zasypywał go śniegowemi wałami.

Na szczęście szałas i źródło były pod osłoną ściany, wzdłuż której szła wąska drożyna.

Śnieżna zawierucha zawiodła nadzieję rychłej pomocy. Nikt nie wybrałby się na zwiady podczas takiej niepogody. Po trzech dniach zerwała się burza z deszczem i gradem, poczem wziął mróz, i śnieg pokrył się lodową skorupą.

Gdyby tak posłać wiadomość przez psa? On przecież nieraz chodził z listami — pomyślał nagle Ben.

Rozgrzał w ogniu kolec od klamry i wypalił na kawałku drzewa kilka wyrazów:

«Kolędowe listy przy źródle Czarownic. Złamana noga. Przyślijcie pomoc.

Garry».

Papier mógł rozmoknąć, a kawałek drzewa pewniejszy. Ben przywiązał go Liścikowi na szyi i zaczął psa uczyć, co ma uczynić.

Nareszcie nad wieczorem zawiązał drewienko w kawałek płótna, zawiesił na szyi Liścika i powiedział:

— Idź, Liściku! Idź do Scotta! Zanieś do Scotta! do Scotta — sam!

Scott był to pocztmistrz, który miał odebrać posyłkę. Liścik go znał. Zasmucił się bardzo i jakby zamyślił na chwilę, a potem położył paczkę na ziemi i wyciągnął łapę na pożegnanie. Ben uścisnął go za łapę i powtórzył:

— Bywaj zdrów! Idź do Scotta!

Liścik podniósł zawiniątko, zaskowyczał żałośnie i ruszył szparko brzegiem parowu.

Upłynęła godzina — dwie — trzy — pies nie wraca. Ale czy wytrwa całe czterdzieści trzy mile? Czy uniknie niebezpieczeństwa w drodze?

Kiedy minęły trzy dni i dwie noce, a pomoc nie nadchodziła, Ben zaczął się obawiać, że może Liścik zginął, i postanowił wyruszyć sam nazajutrz.

— Kość się już zrosła — pomyślał, opatrzywszy nogę. — Nie mógłbym się na niej oprzeć, ale mogę iść na kulach, na jednej nodze. Będę ciągnął sanki z torbą pocztową, bo listy muszą dojść rąk osadników.

Zrobiwszy to postanowienie, zasnął głęboko. W nocy obudziło go coś, padającego na jego ciało. Zerwał się, chwytając za rewolwer.

— Liścik!

Pies szczekał, skakał, tarzał się po ziemi, stawał na tylnych łapach, podawał przednie łapy do uścisku i objawiał radość na wszelkie psie sposoby. Ale Ben zauważył, że kuleje. Rozjaśniwszy ogień, spostrzegł, że Liścik jest boleśnie poraniony i mocno zmęczony. Widocznie musiał przed paru dniami stoczyć walkę z jakiemś dzikiem zwierzęciem. Ale drewienka u szyi nie było: zapewne je Liścik zgubił.

Ben nakarmił psa, i położyli się obok siebie. Zaledwie zaczęło świtać, Liścik zerwał się szczekając i pobiegł drogą nad strumieniem. Szczekanie jego słychać było woddali, a potem ktoś odezwał się głośno: — Hop! hop!

Liścik ukazał się po chwili, wiodąc z dumą trzech osadników.

Ben był ocalony... *M. G.*

Jakim był ten młody Amerykanin? Pomyśl o jego męstwie, wytrwałości, przytomności umysłu. Postaw się w jego położeniu: czy umiałbyś tak sobie poradzić? Gdzie leżą góry Skaliste?

Takie niewielkie opowiadanie o jakiemś zdarzeniu nazywa się powiastką.

Czy to wszystko jedno: męstwo i odwaga?

11. Psy.

Słodycz i cisza. Spokój i słońce,
Dwa stare wyżły u nóg leżące,
Jak pióropusze cetrów [1]) ogony
I wzrok w twarz dziecka wiernie wpatrzony...
Wspomnienie oczu tych we mnie żyje,
Tak nie patrzyły oczy niczyje
Na drogach życia nigdy już na mnie
Prosto i czule, wiernie, niekłamnie...
Pod dłonią sierść się układa miękka,
Czasami kłapnie któraś paszczęka
I muchę mknącą złowi w przelocie,
Łowieckiej folgę dając tęsknocie...
To znów dalekie od wsi szczekanie
Zbudzi łeb senny na mem kolanie,
Głuchem warknięciem wargi poruszy
I ocknie czujność wiernej psiej duszy...

Zdzisław Dębicki.

Co to znaczy wspomnienie?

12. Ptaki i dzieci.

— Posłuchajcie, co wam powiem — mówił Kazio, którego oczy błyszczały niezwykle. — Czytaliśmy dziś u Karola sprawozdanie «Małego Stowarzyszenia opieki nad ptakami». Należą do niego prawie same dzieci, a liczy dziś ono w Anglji przeszło pół miljona członków! Słyszycie: pół miljona! Z początku obowiązkiem członków było tylko karmić ptactwo w zimie i z gniazd nie

[1]) *Cetry* — odmiana psa.

wybierać, ale wkrótce dzieciom to nie wystarczyło, więc zawiązały «Związek Miłosierdzia», zobowiązując się słowem uroczystem «być dobremi, sprawiedliwemi i miłosiernemi dla wszystkich żyjących stworzeń — tak ludzi, jak i zwierząt». Okrucieństwo jest przez nie uważane za grzech, godny najwyższej pogardy, i przez to samo stają się coraz lepszemi.

Inna znowu Angielka, lady Paget, założyła w Wiedniu «Stowarzyszenie Opieki dzieci nad zwierzętami». Podobne stowarzyszenia istnieją także w Niemczech. Wielki poeta szwedzki, Zacharjasz Topelius, założył dnia 1 maja 1890 r. w Helsingforsie podobne «Stowarzyszenie Opieki dzieci nad zwierzętami» i czyn ten uważa za największą zasługę swego życia. Liczy ono dziś mnóstwo członków, głównie dzieci, a ustawa zaczyna się od słów: «Chcemy być dobrymi i miłosiernymi. Nie będziemy nigdy cieszyli się z cudzego smutku. Wszystkich będziemy kochali przez miłość Boga, bo wszystko, co jest stworzone, On stworzył».

Nie pamiętam zresztą już wszystkich zdań pięknych, ale nic nie zmieniłem. Każdy się podpisuje pod taką ustawą i powinien pamiętać zawsze, do czego się zobowiązał. Czy to pięknie?

Dzieci słuchały w głębokiem milczeniu, tylko blask źrenic świadczył, jak gorąco odczuwały każde słowo.

Zosia przemówiła pierwsza:

— To jest pięknie i uczciwie! Kocham tego poetę i te wszystkie dzieci. Chciałabym należeć do nich. Jak dobrze musi być w kraju, gdzie pół miljona dzieci broni od krzywdy zwierzęta i ptaki. O, to nie tak, jak u nas. My też sypiemy okruchy za okno dla głodnych wróbli, ale na tem samem podwórku chłopcy zaszczuli kota. Czy w tem niema naszej winy? Czy nie powinniśmy zebrać zaraz wszystkie te dzieci i związać je w Stowarzyszenie

Miłosierdzia? To byłaby zasługa. Powinniśmy tak zrobić!

Twarzyczka Zosi płonęła zapałem, z oczu biły promienie ciepła, porywała siłą uczucia i pragnieniem czynu.

— Zosia ma wielką słuszność — odezwała się po chwili Ewcia cichym, trochę nieśmiałym głosem — tylko mnie się zdaje, że — może pierwej jeszcze — nad temi dziećmi trzeba utworzyć opiekę...

Ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk uznania.

— Ach, tak! ach, tak! — koniecznie!

— Trzeba się niemi zająć!

— Uczyć je!

— Nauczyć je miłosierdzia i miłości.

— Skoro poznają dobroć, staną się dobremi.

— Słuchajcie — przerwał Władzio z niezwykłą powagą — proponuję wam rzecz bardzo ważną: łączymy się w «Stowarzyszenie Opieki nad biednemi dziećmi». Mamy obowiązek porozumieć się ze wszystkiemi dziećmi rodziców zamożnych, mieszkających w tym domu, i wspólnemi siłami bierzemy pod opiekę wszystkie dzieci ubogie z tego domu. Jestem pewny, że to wcale nie tak trudno, i że jesteśmy w możności to zrobić. Obowiązki nasze będą następujące:

1. Poznać każde biedne dziecko, jego charakter i potrzeby.

2. Dbać o to, żeby nie cierpiało głodu i miało ciepłą odzież.

3. Zachęcać je do czystości.

4. Uczyć, lub łożyć na jego naukę.

5. Przynajmniej raz na tydzień spędzić z niem godzinkę czasu na rozmowie, zabawie lub czytaniu.

6. Starać się o dostarczenie mu odpowiednich przyjemności, jak: wycieczki, ślizgawka, gimnastyka, zwiedzanie i poznawanie tego, co je może rozwijać.

7. Wysyłanie dzieci na wieś podczas lata.

— Może któremu z was jeszcze co przychodzi na myśl?

— Tymczasem nie, ale — czy my to potrafimy?

— Jeśli zechcemy szczerze, potrafimy.

— Ileż ubogich dzieci może być w tym domu?

— Nie więcej jak dziesięcioro, może się i tyle nie zbierze.

— A nas tu jest sześcioro. A przecież znajdzie się więcej. O jednem dziecku każde z nas może pamiętać.

— Powinno — rzekła Zosia z przekonaniem.

— Na koszta sami zdobyć musimy pieniądze. To nasza pierwsza praca dla społeczeństwa. Taka praca nazywa się obywatelska, czyżbyśmy nie byli do niej zdolni?

— Jesteśmy i będziemy! — rozległy się głosy, nie donośne, ale poważne. Zaczynamy od dzisiaj. Obchodzimy wszystkie mieszkania, werbujemy członków. Robimy spis biedaków, i dla bliższego poznania, urządzamy dla nich szopkę tej niedzieli.

— Doskonale! — zawołały dzieci ucieszone. — Do roboty!

— Jeszcze jedno — rzekł Kazio — postaramy się przez znajomych i kolegów, aby takich stowarzyszeń powstało jak najwięcej.

— Postaramy się o to — szepnęła z wiarą Zosia.

(«W kółku rodzinnem»).

Jaką korzyść przynosi ochrona ptaków: ptakom, dzieciom i krajowi? Łączenie się w stowarzyszenia uczy dzieci zbiorowej pracy, która największe wydaje rezultaty. To początek i szkoła życia społecznego. Czembyśmy byli, gdybyśmy nie żyli w społeczeństwie, ale każdy dla siebie? Opieka nad zwierzętami i współczucie dla nich dowodzi wyższego stopnia uszlachetnienia człowieka.

Czy mamy uznanie dla tych, którzy więcej kochają zwierzęta, niż ludzi? Daj przykład takiego dziwactwa.

13. Wśród zamieci.

Przez doliny i przez łany
Wieją wichry i tumany,
Gęsty sypiąc śnieg.
A lód w szkliste swe okowy
Chwycił lasy i dąbrowy,
Głębie wód i rzek.

Dziwnie smutno w całym świecie!
Tylko wicher śniegiem miecie,
Głucho, pusto tak...
Tylko gdzieś tam zabłąkany
Przez te wichry i tumany
Zwolna leci ptak.

Siadł na polu białem, gładkiem,
Tam, gdzie niegdyś poddostatkiem
Ziarn i wody miał. —
Lecz dziś próżno ziarnek szuka,
Próżno wątłym dzióbkiem puka
W lód, twardszy od skał.

Puste łany i doliny,
Niema żeru dla ptaszyny,
Wszędzie śnieg i lód...
Aż zmęczony, osowiały,
Padł na śniegu ptaszek mały,
Bo go zabił głód

Wł. Bełza.

Wyobraź sobie dziecko opuszczone w zamieć zimową, bez chaty i opieki. Czy ptak jest silniejszy od dziecka wobec chłodu i głodu?

14. Wychowanie małych bocianków.

I.

Naprzód do Dalewic przyleciały na wiosnę skowronki, później pokazały się bociany, a dzieci w chacie Makosza wołały: — Boćki lecą! — Po bocianach przybyły jaskółki; ostatniemi zaś przybyszami, już w kwietniu, były słowiki. Słowików corocznie znajdowała się tu jedna para, podobnie jak i bocianów, gnieżdżących się na stodole Makosza. Stadło bocianie zajęło się najprzód reparacją starego gniazda. Naprzemian więc to jedno, to drugie znosiło gałęzie, słomę, kawałki darni, szmaty; oboje wyrywali dziobami przegniły chróst, łatali dziury, utykali szpary, zagradzali, przegradzali, robili to, co robi wieśniak, gdy naprawia chałupę.

Po skończonej reparacji gniazda, żona bocianowa zniosła pięć jaj. Na jajkach kolejno przesiadywali — to mąż, to żona, co chyba świadczy o wysoko rozwiniętem poczuciu rodzicielskiego obowiązku. Zagadką była dla mieszkańców Dalewic okoliczność, iż corocznie małżeństwo bocianie, naradziwszy się z sobą, wyrzucało z gniazda jedno jaje, a niekiedy strącane było z gniazda nawet pisklę. Może to był jaki ptasi przesąd, a może też chodziło o usunięcie z rodziny jakiego niedołęgi-potomka, któryby w późniejszem życiu nie zdołał przenieść trudów ciężkiego bocianiego żywota i obronić, w razie potrzeby, rodzinnego gniazda.

Jeżeli parę bocianów nazywamy małżeństwem, to gniazdo ich możemy nazwać chatą. Otóż bociania chata umieszczona była na samym rogu Makoszowej stodoły. Czworo bocianków z szaremi dzióbkami i takiemiż nogami zachowywało się nadzwyczaj przyzwoicie w gnieździe. Od pierwszych pieluch aż do młodocianego wieku

nie słyszano tam niesfornych krzyków; zdaje się, że ważna cnota karności zdobi młodzież w rodzie bocianim. Piszczały one niekiedy, a mianowicie gdy przybywało do gniazda które z rodziców.

Pracowitość tej ptasiej rodziny, jej rozum w przeprowadzaniu podziału pracy, przywiązanie do gniazda, karność młodzieży, troskliwość, a nawet czułość rodzicielska, przytem różne inne cnoty — sprawiły, że ludność dalewicka, porównawszy sobie wspomniane zalety z ludzkiemi, musiała ptakom przyznać pierwszeństwo. Bociany więc wyrobiły sobie tutaj między ludźmi nietylko uznanie, ale rodzaj czci, na którą nie zasłużyły ani wrzaskliwe sroki, ani natrętne wróble, ani żarłoczne wrony i inne ptactwo. — Zabić boćka, to ciężki grzech — mawiali starzy gospodarze, a dzieci wierzyły ojcom i to samo powtarzały później własnym dzieciom.

II.

Gdy przeminęły czasy wychowania, polegającego wyłącznie na odżywianiu, kiedy młode bociany podrosły i okryły się dobrem pierzem, rodzice zaczęli je nauczać. Polecono malcom stanąć prosto na gnieździe, zabraniając garbienia się i niedołężnego zginania nóg. Bocianki szybko pojęły, o co chodzi. Po tych ćwiczeniach gimnastycznych z nogami, nastąpiły ćwiczenia skrzydeł. Wielki szum słychać było na stodole Makosza, kiedy młodzież, stojąc w gnieździe, na komendę ojca lub matki wprawiała się w używanie skrzydeł. — Potem nastąpiły lekcje wznoszenia się na skrzydłach, najprzód o parę cali prostopadle nad gniazdem, z zastrzeżeniem silnem, że nie wolno spaść na strzechę, a tem bardziej na ziemię. Szło to powoli, ale wychowawcy byli pobłażliwi oraz cierpliwi. Niebawem nastąpiły marsze dłuższe po samym szczycie

stodoły; ten i ów chwiał się, tracił równowagę, odzyskiwał ją znowu, aż młódź w rezultacie nauczyła się chodzić.

Dopieroż to radość była, kiedy pewnego dnia matka zaczęła na skrzydłach zataczać koła nad gniazdem.

Porwał się wtedy z szumem do góry synek pierworodny i dalejże za matką: «a wkółko, a wkółko». Inne dzieci, widząc, że «nie święci garnki lepią», poszły też w taniec. Niedosyć jest wznieść się w górę, ale trzeba umieć także opuszczać się nadół i osiadać tam, gdzie potrzeba. Więc pod tym względem bywały przypadki rozliczne: niejeden młodzieniec spadł na strzechę pochyłą i śliską, a matka z góry wołała nań z uśmiechem: — Ratuj się, jak sam umiesz! — Przylatywał na takie popisy stary ojciec z łąki, rozlegało się wówczas głośne klekotanie, opowiadano mu radośnie, co to było.

Ale wychowanie nie kończyło się na tem. Dalsze jego części odbywały się na łąkach, które dzieci znały dotąd tylko z opowiadania. Tutaj musiały one nauczyć się poznawania różnych sygnałów niebezpieczeństwa; tutaj dowiedziały się, że nie należy uciekać przed krową, koniem, świnią, ale należy strzec się rozpustnego psa. Okrom tego przyszło pozyskać wprawę w łowy różnego rodzaju, czemu towarzyszy już w gnieździe rozpoczęta pewna znajomość zoologji: co innego jest żaba, co innego pisklę skowronka, jaszczurka, wąż, salamandra, młody zajączek i t. p. Młody bocian musi wiedzieć, czem ma się karmić, oraz w jaki sposób, gdzie i kiedy zdobywać sobie kawałek chleba. Są też pewne obrzędy i ceremonje bocianie, polegające na modulowaniu głosu podczas klekotania, na przekrzywianiu szyi oraz głowy, trzepotaniu skrzydłami i t. p. Ważny nadto i użyteczny przez całe życie jest sposób tępienia pasorzytów, a bardzo trudno nauczyć się stać na jednej nodze.

Ażeby zaś młodzież nauczyła się kochać i szanować

rodzinne gniazdo, musiała do niego regularnie na noc powracać, jakkolwiek samodzielna już była.

Adolf Dygasiński.
(«Co się dzieje w gniazdach»).

Rozkład i opowiadanie. Czy tylko ludzie uczą i wychowują dzieci? Opowiedz, jak wychowuje swe małe pies, kot, kura? Czy bocian jest mądrym ptakiem? Co wiesz o jego zwyczajach?

15. Letni wieczór.

Już zaszedł nad doliną
Złocisty słońca krąg —
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słychać śpiew,
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew.

Promieni gra różana
Topnieje w sinej mgle,
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz,
Cicha poezja światów
W głąb ludzkich spływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór,
Nocnemi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze z chmur.

I wiążą swoje skrzydła,
Podarty kryjąc stok,

Jak senne malowidła
Powoli toną w mrok.

Wieczora blask niepewny
Oświetla obraz ten —
Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

Adam Asnyk.

Jak wygląda wieczór w mieście i na wsi? Utwórz czasowniki z rzeczowników: krąg, głos, śpiew, szelest, rosa, gra, woń, głąb, chmura, stok, mrok, sen.

16. Przygoda Stasia.

I. Szarakowa wybierała się w drogę. Wyciągnęła wózek na podwórze, włożyła na dno sienniczek, na sienniczek poduszeczkę, a na wierzch Stasia — i ucałowawszy męża, ruszyła w drogę.

Wszystkie te przygotowania niezmiernie cieszyły Kurtę, a gdy gospodyni wzięła dyszel wózka do ręki, pies wpadł w szał. Skoczył najprzód na Stasia i zdarł mu chusteczkę z głowy, potem o mało co nie oberwał wąsa kowalowi, a zgromiony przez niego, rzucił się z wielkim impetem na gospodynię i ledwie jej nie przewrócił.

Tak gwałtowne oznaki radości na złe wyszły Kurcie. Szarakowa bowiem przypomniała sobie, że nie można domu bez psa zostawić, i kazała go wziąć do izby. Dziewucha Magda z niemałym trudem zaniosła Kurtę do kuchni, psisko jednak w tej samej chwili wyskoczył na dwór oknem i weselił się jeszcze bardziej. W rezultacie dostał niebożę w kark chustką od pani, w bok obcasem od pana, w grzbiet drewnem od dziewuchy, poczem zaniesiono go do pustego chlewa i zamknięto na kołek. Pies

wył tak strasznie, że niejedna baba w polu, usłyszawszy go, przewidywała nieszczęście.

Dzień był skwarny. Tu i owdzie na niebie stały białe obłoki, jakby rozmyślając, gdzie ukryć się przed spiekotą. Pod nogami Szarakowej i kołami wózka cicho skwierczały ziarnka ciepłego piasku. Niedostrzeżony w górze skowronek świergotem witał podróżną matkę i syna, a z pomiędzy zboża maki i chabry ciekawie wychylały się na drogę, jakby chcąc sprawdzić, czy nie jedzie kto znajomy.

Szarakowa zatrzymała się i spojrzała za siebie. Oto ich dom na wzgórzu, jak sukienką odziany winogradem. W tej chwili żóraw studni zniża się, pewnie Magda poszła po wodę. Przed kuźnią stoi jakiś człeczyna z konikiem, ale ich kowal widać jeszcze nie spostrzegł, bo bez przerwy biją młoty, nad których stukiem i brzękiem góruje żałosne skomlenie Kurty.

Istny obrazek. Zdało się, że Szarakowa zaczerpnęła w nim nowych sił, i ciągnąc wózek, pędem zbiegła ze wzgórka.

Droga szła kręto i falisto. Co kilkadziesiąt kroków wznosiły się pagórki coraz większe. Najwyższy przypada wśród brzozowego lasku, który leży tam w dole tak blisko, że napozór dosyć rękę wyciągnąć, aby uchwycić go za gałązki. W rzeczywistości było do niego z pół godziny marszu.

II. Powoli chatka i kuźnia znikły, a nawet lament Kurty ucichnął. Piasek pogłębiał się, słońce piekło coraz mocniej, obłoki stały w jednem miejscu, jak puste promy na brzegu Wisły, i tylko coraz inny skowronek życzył wędrowcom szczęśliwej drogi.

Staś leżał w wózku oczarowany nowemi wrażeniami. Pierwszy raz wprost oczu widział niezmierną głębię szafirowego nieba. Nie umiał jeszcze zapytać: co to jest?

ani dziwić się, czuł tylko rzeczy niezwykłe. Ziemia, po której dotychczas chodził, znikła; gdziekolwiek zwrócił spojrzenie, spotykał niebo. Był on jak anioł, złożony z głowy i skrzydeł, unosił się wśród bezmiarów i czuł nieskończoność.

Nagle horyzont zaciemniły mnogie zielone gałązki, na wózek padł cień. Wjechali w las i zbliżali się do najwyższego pagórka.

Spiekota i ciężar wózka zmęczyły kowalową. Chciała usiąść między drzewami i odpocząć, ale... w lesie? Gdyby była sama, nicby jej las nie obchodził, ale obecność Stasia robiła ją ostrożną, niewiadomo przed czem. O wilkach i zbójcach nikt tu nie słyszał, kobieta jednak zlękłaby się dziś i zająca, gdyby nagle wyskoczył.

Ach, ten las, długi na jakie dziesięć pacierzy. Żeby choć Kurtę wzięła z domu, byłoby jej weselej. On tam płakał zamknięty, a w tej chwili nawet psia krzywda padła na duszę kowalowej ciężkiem brzemieniem.

Ach, żeby z tego lasu prędzej wyjechać! Żeby choć na ten wzgórek się dostać! Szarakowa zdjęła chustkę i położyła ją na wózku. Mała ulga. Pot spływał z niej strumieniami, a z nim razem i siły. Zdawało jej się, że chyba nie dociągnie do wzgórka, a cóż dopiero mówić o szczycie!

Przed samym wzgórkiem, na prawo od podróżnej biegła w głębi lasu inna droga, i w tej właśnie chwili na tamtej bocznej drodze rozległ się łoskot lekkiego powoziku. W Szarakową wstąpiła otucha: przynajmniej nie będzie sama! Niebawem też ujrzała powozik ładnie zbudowany i skórzanym daszkiem okryty. Ciągnął go piękny koń gniady, a wewnątrz siedział jakiś pan, którego dobrze zobaczyć nie mogła, ponieważ ekwipaż zawrócił na drogę i stanął do niej tyłem. — Oj, żebyś ty

mnie podwiózł! — pomyślała kowalowa, lecz nie śmiała się odezwać, chociaż szła tuż za powozikiem.

Podróżnym był pan Łoski, obywatel i sędzia gminny. Wracał z sądów do siebie i chętnieby podwiózł zmęczoną kobietę, gdyby ją spostrzegł. Ale nawet nie słyszał jej przyśpieszonego oddechu.

Tak dotarli do stóp pagórka. Wzgórze miało ze dwieście kroków wzwyż i było dość przykre. Skutkiem tego Szarakowej przyszła myśl ulżyć sobie na koszt konia. Nie zastanawiając się długo, zaczepiła dyszelek wózka o oś powozu. Plan był cudowny: zahaczony dyszelek trzymał się doskonale, wózek ze Stasiem jechał jeszcze lepiej, i kobiecina przynajmniej odetchnęła. Byle na szczyt! Sama szła ztyłu wózka i, ulegając głosowi znużenia, mocno obiema rękami oparła się na krawędzi. Było jej znakomicie lżej. Ale cóż, kiedy zadowolenia ludzkie na tym świecie trwają bardzo krótko! Już przejechali połowę wysokości pagórka... Już tylko pięćdziesiąt kroków do szczytu... Bóg ci zapłać, koniku, żeś nas tu wciągnął! Pora odpiąć wózek.

III. Nagle koń ruszył kłusem, i wózek, a w nim Staś — zjechali nadół!

Szarakowa skamieniała. Nim zdążyła krzyknąć: — Stójcie! — już wózek Stasia był na dole.

— Ratunku! — jęknęła kobieta, puszczając się z rozpostartemi rękoma nadół. Jak błyskawica przemknęła jej myśl, że o byle kamień wózek może się przewrócić.

Ale w piasku małe kółka kręciły się jak szalone, niby w puchu, Stasiowi zaś szybka jazda sprawiała zadowolenie niezmierne. Sędzia, nie wiedzący o niczem, był wesół, a jego koń, któremu ubyło ciężaru, parskał i rwał się galopa.

Przez chwilę zdawało się Szarakowej, że uciekających dopędzi, że ją choć usłyszą. Ale gdzie tam! Za-

trzymała się, chcąc krzyknąć ze wszystkich sił, choćby płuca pękły. Lecz zaledwie otworzyła usta, głos w niej zamarł: ujrzała, że coś wypadło z wózka. Dobiegła bliżej — to tylko jej chustka. Koń zwolnił. Zbliżyła się jeszcze bardziej. Już widzi wyraźnie główkę Stasia i jego rączki, ślicznie ułożone około boczków.

— Stasieńku mój! Ratujcie!

Wózek zachwiał się i potoczył znowu prędzej. Już dziecku rączek nie widać, już główka niewyraźna, już wózek coraz mniejszy.

Szarakowa nie mogła pojąć, dlaczego przed koniem nie wyrasta wał ziemi, dlaczego niebo drogi nie zagradza, dlaczego drzewa nie zabiegają jadącym. Ileż tu ptaków siedzi na gniazdach i widzi jej macierzyńską rozpacz, a żaden nie śpieszy z pomocą! Gdyby choć który ptaszek odezwał się do pana: — Stój! — Gdyby choć który kamień na tę ciężką chwilę ocknął się ze swej drzemki... Napróżno! wszystko milczy.

Spojrzała w niebo. Nad jej głową wiewiórka spokojnie gryzie szyszki. Obłoki stoją na miejscach. Słońce pali jak dawniej. Spojrzała na drogę — a tam wózek ledwie żółcieje. Zdawało jej się, że na tym nieszczęsnym wózku leży jej serce, gwałtem z piersi wydarte, bez miłosierdzia niewiadomo gdzie ciągnione, a przywiązane do niej nitką, która coraz bardziej cieniała. Jeszcze chwila, a pęknie nitka, i razem z nią serce i życie biednej matki.

Powozik stopniowo malał i tonął między chwiejącą się zielenią drzew. Już jest taki — jak ptak. Teraz na chwilę znikł, lecz znowu się pokazał... Znowu znikł...

B. Prus. («Przygoda Stasia»).

Dokończ tego opowiadania, jak ci się podoba.

17. Wspomnienie.

Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam jak gdyby wczora:
W cieniu starego jawora,
Gdy byłam jeszcze maleńka,
Siadała ze mną mateńka,
Taka biedna, taka chora!
Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam, jak gdyby wczora.

Te uśmiechy, te pieszczoty,
Gdym u kolan jej usiadła!
Czasami przede mną kładła
Wśród uśmiechów i pieszczoty
Swój stary «Ołtarzyk złoty»
I uczyła abecadła...
Te uśmiechy i pieszczoty,
Gdym u kolan jej usiadła!

Więc bronię cichej ustroni
Pod jaworem przy studzience...
Wspomnienia moje dziecięce
Wabią mię do tej ustroni;
Tam w gałęziach słowik dzwoni,
Tam pamiątki lube święcę,
Więc bronię cichej ustroni
Pod jaworem przy studzience.

L. Rydel.

Dlaczego ten kącik miły jest dziewczynce? Kiedy ludzie wspominają dziecięce lata ze wzruszeniem? Czy masz już jakie wspomnienia? Zwróć uwagę, że niektóre wiersze powtarzają się tu w strofce 2—3 razy. Czy ci się to podoba?

18. List do kolegi.

(Porównanie).

Zawierucha, 9 lipca 1912 r. sobota.

Kochany Staśku!

Od tygodnia już jestem na wsi, nie uczę się, wcale nie widuję książki, pogoda cudowna, więc bujam po polach, kąpię się, jeżdżę konno, poprostu szaleję z radości, nie mogę się nacieszyć niebem, słońcem, lasem, powietrzem, polem, łąką, przestrzenią, tem wszystkiem, co wieś daje, a czego, niestety, tak nam brakuje w mieście.

Dzisiaj mieliśmy burzę, i teraz jeszcze leje, ale napewno wypogodzi się do jutra, a tymczasem znalazłem sobie jakieś pióro, potoknąłem dobrze wyschnięty kałamarz i — jak widzisz — piszę do ciebie. Stanęło mi tak jasno w myśli porównanie naszego życia w zimie i podczas wakacyj, że muszę się podzielić z Tobą tą mądrością. To jest mądrość, bo przecież nikt mi tego nie tłumaczył, czerpię te uwagi i myśli sam z siebie, więc są moim rozumem i moją mądrością.

Otóż przyznać muszę, że dziś pierwszy raz zatęskniłem do kolegów i do szkoły. Nic się równać nie może ze swobodą wiejską, ale może dlatego jeszcze tak nam smakuje, że jej nie mamy ciągle. Miasto jest więzieniem; nie lubię miasta, ale nie mogę zaprzeczyć, że zima i szkoła dużo nam daje dobrego. Po powrocie z wakacyj skaczemy, jak ten nurek, głową nadół w rzekę — robotę. Otacza nas nauka: rano, w południe, wieczorem. Szkoła, dla szkoły, do szkoły, ze szkoły, i t. d. Poza szkołą świat przestaje dla nas istnieć. Nawet przyjemności i rozrywki zwykle łączą się ze szkołą, z koleżeństwem.

I daje nam to wiele bardzo pięknych wrażeń, chwil takich, które zostaną w pamięci na całe życie. Dziś oto pękła mi jakaś zasłona, i ujrzałem nowe światy, których nie domyślałem się wczoraj. Stają przede mną jakieś nowe słońca, nowe prawdy i nowe drogi. I to mi dała szkoła, kilka słów nauczyciela. Jakiemże zadowoleniem przejmuje mię poczucie, że coś wiem, że coś umiem! Albo koleżeństwo! — Jakże w nas serce rośnie i wzbiera uczuciem, i hartuje się jakąś siłą, gdy jednoczymy się wszyscy w jakiej wspólnej sprawie — czy to dajemy możność kształcić się koledze, czy zaznaczamy zgodnie jakieś silne przekonanie!

Piękne jest koleżeństwo, piękna jest nauka, choć życie jednostajne nuży i męczy czasem. Zapominamy prawie, że poza szkołą i miastem jest świat szeroki, natura, do której tęsknimy bezwiednie.

A wtem nadchodzi lato. Pękają mury naszego więzienia, wyrywamy się z klatki i jesteśmy na swobodzie. Kto tu myśli o książce? I poco? Tu prostujemy się, jak drzewo zgięte, wyciągamy ramiona het, daleko, szeroko, a z nieba, ziemi, słońca — spływa na nas siła i wiedza. Naprawdę, Staśku, ja to czuję. O sile nikt nie wątpi: ten ruch, swoboda, odpoczynek, wzmacniają nasze ciało, nabieramy zdrowia, sił do pracy. Ale ja utrzymuję, że nic się nie ucząc, uczymy się i mądrzejemy podczas lata. Najpierw coś tam w głowie samo się porządkuje i układa z tego, cośmy usłyszeli w zimie; a powtóre — patrzymy na życie natury i mimowolnie robimy tysiące spostrzeżeń, z których w nas rodzą się myśli, nasze własne myśli. Czyż nie nazwiesz tego nauką?

Powiedziałbym także, iż życie nasze w zimie jest więcej sztuczne, w lecie naturalne, ale sam sobie dokończ tego porównania, a może zanotujesz jeszcze niejedną

różnicę, co przyniesie ci wielką korzyść, gdyż będzie samodzielnem Twojem spostrzeżeniem.

Tymczasem bądź zdrów i odpisz, gdy deszcz zacznie padać, bo w dzień pogodny nie mogę żądać, abyś tracił czas przy stoliku.

Pozdrawiam cię serdecznie i życzę przyjemnego lata.

Twój Adaś.

Wytłumacz przysłowie: «Szkolne gospodarstwo, a z ksiąg hetmaństwo — oboje niepewne». Czy tylko szkoła nas uczy? Co to znaczy: szkoła życia? Co każda z nich nam daje? Co znaczy: wykształcenie, rozum, mądrość?

19. Przyjaciele.

Zajączek jeden młody,
Korzystając ze swobody,
Pasł się trawką, ziółkami, w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.
A że był grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go wszystkie zwierzęta lubiły;
I on też, używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.
Raz, gdy wyszedł w świtaniu i bujał po łące,
Słyszy przerażające
Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie.
Stanął, słucha, dziwuje się;
A gdy się coraz zbliża ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.
Spojrzy za siebie: aż dwa psy i strzelce!
Strwożon wielce
Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.
Spotkał konia, prosi go, iżby się użalił:
— Weź mnie na grzbiet i unieś. — Koń na to: — Nie mogę,
Ale od innych pewną będziesz miał załogę.

Jakoż wół się nadarzył. — Ratuj, przyjacielu!
Wół na to: — Takich, jak ja, zapewne niewielu
Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie,
Jałowica mnie czeka, niedługo zabawię,
A tymczasem masz kozła, on ci dopomoże.
Kozieł: — Żal mi cię, niebożę,
Ale ci grzbietu nie dam: twardy, nie dogodzi,
Oto wełnista owca niedaleko chodzi,
Będzie ci miękko siedzieć. — Owca rzecze:
— Ja nie przeczę,
Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,
Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę;
Udaj się do cielęcia, które się tu pasie.
— Jak ja ciebie mam wziąć na się,
Kiedy starsi nie wzięli? — cielę rzekło
I uciekło.
Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

J. Krasicki.

Co znaczy przysłowie: «W biedzie poznasz przyjaciela»? Kto jest naprawdę naszym przyjacielem? Przykłady prawdziwej przyjaźni. Używamy tego wyrazu lekkomyślnie. Czy należy ten wiersz rozumieć dosłownie? Kogo oznaczają te wszystkie zwierzęta?

Tego rodzaju utwór, w którym ludzkie ułomności i charaktery są przedstawione pod postacią zwierząt, nazywa się bajką. Wymień tytuły znanych ci bajek.

20. Przyjaciele.

Zając miał za przyjaciół: konia, wołu, barana i osła. Kochał ich bardzo, lecz znał doskonale. Zdarzyło się jednego razu, że w lesie usłyszał strzały, szczekanie psów, nagankę. Zrozumiał, co się dzieje, i z całych sił uciekał przed niebezpieczeństwem. Wypadł na łąkę, gdzie paśli się spokojnie jego czterej najlepsi przyjaciele.

Już chciał ich prosić o pomoc, ale przemknęły mu w myśli odpowiedzi, jakie usłyszy:

— Chętnie — odpowie koń — ale dziś nie mam czasu, może jutro.

— Zaraz, zaraz — rzeknie wół — tylko jeszcze trochę poleżę, bom się nieco przejadł.

— Widzisz, kochany zajączku — oświadczy baran — pomógłbym ci najchętniej, tylko że boję się o własne kudły.

— Dobrze — mruknie osieł — ale przynieś mi przedtem lwią skórę, abym mógł psy nastraszyć.

Tak sobie pomyślawszy, bo przecież znał dobrze swych kochanych przyjaciół — zając nie tracił czasu na daremne próby, ale śmigał przed siebie, co miał siły.

Dopadł krzaków z przeciwnej strony łąki i ocalał.

(Podług J. Lemańskiego).

Czy tego zająca także psy zjadły? Dlaczego nie? Czy nie trzeba wierzyć przyjaciołom? — Owszem, ale trzeba liczyć tylko na własne siły, bo często się mylimy, oceniając swoich przyjaciół. «W biedzie poznasz przyjaciela» — to znaczy, że sam do ciebie przyjdzie w potrzebie, i ten będzie naprawdę przyjacielem. Szukać pomocy powinniśmy w sobie, we własnych siłach. To nam zjedna szacunek i prawdziwych przyjaciół. Licz na siebie, a nie zginiesz, bo nie zmarnujesz czasu i energji, nie będziesz miał żalu do nikogo. I wtedy tylko znajdziesz przyjaciół prawdziwych.

21. Zabawa dziecięca.

(Wyjątek z listu Słowackiego do matki).

W tym miesiącu miałem przyjemną scenę. Wizytator szkółek tutejszych prosił panią Pattey[1]), aby mu ogrodu na majówkę pozwoliła. Porobiono więc w ogro-

[1]) W pensjonacie pani Pattey w Szwajcarji mieszkał Juljusz Słowacki.

dzie wszelkie przygotowania, jak to: zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszone były cacka dla dzieci, ponaczepiano na drzewach w alei hojdałki, pozastawiano stoły, i do tak urządzonego ogrodu o godzinie 1-ej weszły dzieci ordynkiem[1]), z bębnami wojskowemi na czele, niosąc mnóstwo chorągiewek... Nie uwierzysz, mamo, jaki to ładny widok 400 dzieci, ładnie ubranych, ubogich, bogatych; z jaką wesołością wchodziły do ogrodu, jak mrówki rozsypały się po trawie, potem znów koło chorągiewek zasiadły.

Pani P., która zostawiła w Rosji małego synka, chodziła między dziećmi, szukając, czy którego podobnego nie znajdzie, i łzy miała w oczach. Ja także, nie wiem dlaczego, oczy miałem łez pełne, i coś mnie dusiło w gardle... Prawdziwie, że nie wiem, jakie to było uczucie. Człowiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dziecięcego oddaliła.

Podczas gier cała nasza kompanja domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypomniałem sobie Czackiego, przypomniałem własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na egzaminach, i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia.

Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12-letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas. Wziąłem go za rękę, powiedziałem mu kilka pochwał i dałem mu ładny mój medal... prosząc, aby sobie kiedyś, będąc starszym, przypomniał tę chwilę. Wiecie, że podczas tej sceny wielu przytomnych łzy miało w oczach... Mały chłopczyk ściskał mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Droga mamo, są czasem chwile, o których myślę, że tybyś była ze mnie kontenta, i myśl

---

[1]) Ordynkiem — w porządku wojskowym.

ta będzie mi zawsze przytomna w życiu i pewny jestem, że mię do dobrego prowadzi.

J. Słowacki.

Czy znasz jakie wiersze Juljusza Słowackiego? Czy wiesz, że ten poeta był współcześnie z Adamem Mickiewiczem i niemniej pięknie od niego pisał, choć nie tak zrozumiale dla wszystkich? Był wygnańcem i umarł młodo. Matkę bardzo kochał i często pisywał do niej długie, szczere listy. Kształcił się w Wilnie, tak samo jak Mickiewicz.

Czy w Polsce dzieci miały takie zabawy?

22. Duch sieroty.

Przez zagony, przez pole idzie sobie pacholę;
Wielki wicher, ulewa, a to idzie i śpiewa.
Wyszedł z gaju gajowy i ozwie się w te słowy:
— Taka bieda na dworze, a ty śpiewasz, niebożę?
— Oj, długom ja płakała, gdy mię nędza wygnała,
Kiedym, biedna sierota, drżąca stała u płota.
Aż raz nocy niedzielnej przy dzwonnicy kościelnej
Mróz wszelakie czucie ściął, i Pan Jezus duszę wziął.
Jedna zimna mogiła moją biedę skończyła.
Siwy dziad mię pochował. On mię płakał, żałował,
On mnie ubrał w sukienki do tej zimnej trumienki.
Teraz nic mi nie trzeba, idę sobie do nieba.
— Oj, sieroto, oj, dziecię, nic ci nie żal na świecie?
— Żal mi jeno tej łąki, gdzie fiołki i dzwonki;
Żal mi słońca w zachodzie, kiedy świeci po wodzie,
I fujarki wierzbowej z nad zielonej dąbrowy.

T. Lenartowicz.

Dlaczego sierota się cieszy, że opuściła świat? Czy jej dobrze było na ziemi? Dlaczego źle? Czy niczego już nie żałuje? Dlaczego żałuje łąki, słońca i fujarki? Czy nic na świecie nie kochała? Czy ją kto kochał? Kogo wspomina z wdzięcznością i za co?

23. Tęsknota do kraju.

Dzieci nie wiedzą zwykle, co to znaczy, może dopiero podczas wielkiej wojny ostatniej niektóre z nich poznały, jak smutno żyć zdala od swoich, od ludzi i od ziemi. Ale ponieważ Polska przeszło sto lat była w niewoli, pod panowaniem obcych, więc wygnańcami stawali się nieraz najlepsi jej synowie. Musieli kraj opuścić dla ocalenia życia, tułać się po obczyźnie bez powrotu, i wtedy to w ich sercach budziło się uczucie ogromnej, nieskończonej tęsknoty do kraju. I już nie opuszczało ich nigdy — w pracy i odpoczynku, w zdrowiu i chorobie, w złych i szczęśliwych chwilach, aż do godziny śmierci tęsknili do swej ziemi i marzyli o niej.

Tak umierali polscy legjoniści, którzy biegli na wezwanie Dąbrowskiego, aby pod Napoleonem walczyć o przyszłość Polski — tak umierali polscy poeci-wygnańcy, pisarze, powstańcy z 1830 roku i późniejsi.

Mickiewicz pisze:

Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję — bo tęsknię po tobie!

A dalej zwraca się z prośbą-modlitwą:

Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy:
. . . . . przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem!...
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Nieraz wygnańcy mieszkali w najpiękniejszych krajach, we Włoszech, w Szwajcarji, we Francji, a jednak

piękniejszemi wydawały im się polskie sosnowe lasy i równiny.

Mickiewicz mówi:

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową jasne niebo, obok piękne lice,
Dlaczegóż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i niestety, jeszcze dalsze czasy?
(Tam) weselszy deptałem swoje trzęsawice,
Niż (tu) rubinowe morwy, złote ananasy.

Słowacki, też wygnaniec, bardzo często maluje swoją tęsknotę do kraju. Raz, płynąc po morzu, uczuł się tak smutnym, że napisał wiersz, wyrażający prześlicznie to uczucie; np.:

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał niegdyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!
Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

W innym poemacie maluje Polaka-wygnańca, którego czarownik usypia i wywołuje z niego duszę. A dusza, wydostawszy się z ciała, ucieka do Polski! Przywołana przez czarownika mocą słowa, opuszcza białe skrzydła i powraca do ciała z boleścią...

Zygmunt Krasiński marzy i pisze o Polsce — w jednym poemacie przedstawia suchotnika-wygnańca, który umiera w pięknej, włoskiej okolicy, słuchając opowiadań

wiernego sługi o naszych polach, łąkach, żniwach, sianokosach, borach szumiących, piaszczystych równinach.

Tęsknota do kraju skraca życie Klementynie Hoffmanowej. Teofil Lenartowicz marzy o wsi polskiej i w dumkach wypowiada żal, że nie ujrzy jej więcej! Iluż innych jeszcze umiera i cierpi! Ich nazwiska dziś dla was obce, zczasem usłyszycie niejedno, a więcej jest takich, o których nikt nie wie, bo nie byli sławni i znani, chociaż tak samo czuli.

Tęsknota do kraju staje się czasem chorobą, nazywa się nostalgja i często zabija człowieka. Ci, którzy mogą mieszkać w swoim kraju, nawet nie wiedzą, że to wielkie szczęście, za które wygnańcy oddaliby życie.

Czy znasz wygnańców, którzy tęsknili do ojczyzny? O których wiesz i co?

24. Tęsknota.

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów nieba!...
Tęskno mi, Panie!

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie!

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są jak odwieczne Chrystusa wyznanie:
«Bądź pochwalony» —
Tęskno mi, Panie!

C. Norwid,
poeta współczesny Mickiewiczowi.

Wytłumacz każdą strofkę.

25. Dumka wygnańca.

Na dolinie, na zielonej,
Widzę wdali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą;
Do gościńca droga długa,
Na niej lipy i topole,
Poza wzgórkiem srebrna struga,
A za strugą szczere pole.

Nawet kwiatki takież prawie
Na pagórku, na przydrożu:
Dziki piołun w bujnej trawie
I bławatki kwitną w zbożu.
Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku,
Tobym myślał, żem już w kraju.

Jaka cicha, szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje...
Czemuż to nie moja matka?
Czemuż to nie siostry moje?
Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoły idzie z pracy,
Czemuż się nie cieszę z wami?
Czemuż wyście nie Polacy?

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
Zwinął skrzydła utrudzone;
Chmurna losów moich gwiazdo,
Gdzie mię wiedziesz, w którą stronę?

Płyńcie, płyńcie łzy tęsknoty,
Nieutulne łzy tułacze,
Może, jeśli dzień przepłaczę,
Noc przyniesie mi sen złoty.

T. Lenartowicz.

Czy to jest opis, czy opowiadanie? Co wiesz o Lenartowiczu? Jakie znasz jego wiersze?

26. Mali niewidomi.

(Z dziennika chłopca).

20 czerwca, czwartek.

I.

Nauczyciel jest chory i przysłał na swoje miejsce tego, który był dawniej nauczycielem w Instytucie niewidomych. Zaledwie wszedł do klasy i zobaczył jednego z uczniów z zawiązanem okiem, zaraz zapytał, co mu jest w to oko?

— Szanuj, chłopcze, wzrok! Strzeż oczu! Dbaj o nie — mówił mu, dowiedziawszy się, że to nic wielkiego.

A wtedy Derossi zapytał: — Czy to prawda, panie nauczycielu, że pan uczył niewidomych chłopców?

— Prawda. Przez długie lata.

— To niech pan opowie co o ślepych!

Nauczyciel odszedł od ławki, siadł przy swoim stoliku i pokiwał siwą głową.

— Ślepych... ślepych... Tak mówisz: ślepych, jakbyś mówił: chorych, biednych, czy tam co?... Ale czy ty dobrze rozumiesz znaczenie tego słowa? Pomyśl tylko.

Być ślepym... Nie widzieć nigdy, nigdy nic! Nie odróżniać dnia od nocy, nie widzieć słońca i nieba, ani rodziców własnych, ani nic z tego wszystkiego, co nas otacza, czego się dotknąć można. Być pogrążonym

w wieczystej ciemności i jak gdyby pogrzebanym we wnętrznościach ziemi. Spróbujcie na chwilę zamknąć oczy i pomyśleć, że tak zostaniecie na zawsze! Alboż nie czujecie przestrachu i zgrozy? Alboż wam się nie zdaje, że niepodobna tak wytrzymać, że zaczniecie zaraz krzyczeć, że zwarjujecie chyba i pomrzecie...

A przecież, moje dzieci, kto wejdzie po raz pierwszy do Instytutu niewidomych podczas rekreacji, a posłyszy tych biedaków, jak grają na skrzypcach, na fletach, jak rozmawiają głośno i ze śmiechem, kto zobaczy, jak wbiegają na schody i zbiegają z nich szybkiemi kroki, z jaką swobodą kręcą się po korytarzach, po sypialniach, ten nigdyby nie powiedział, że są tak nieszczęśliwi, jak są w istocie.

Trzeba im się tylko przypatrzyć.

Są tam młodzieńcy szesnasto- i osiemnastoletni, silni i weseli, którzy kalectwo swoje znoszą jakby od niechcenia, owszem, jakby z brawurą [1]); ale widać z gorzkiego i dzikiego wyrazu ich twarzy, ile przecierpieli, ile przewalczyć musieli, zanim się pogodzili ze swojem nieszczęściem.

Są inni z twarzą bladą i łagodną, w której uderza wielka rezygnacja [2]), a przytem taki przejmujący smutek, iż łatwo zrozumieć, że jeszcze nieraz płaczą nad sobą w ukryciu.

Ach, dzieci moje! Pomyślcie tylko, że wielu z tych nieszczęśliwych straciło wzrok nagle, w dni kilka; że inni znowu oślepli po latach męczeństwa, po różnych okropnych operacjach. Że jeszcze inni urodzili się już niewidomymi, w jakiejś straszliwej nocy, która nigdy dla nich rozednieć nie miała, i że weszli w świat, jak-

---

[1]) Brawura — śmiałość. [2]) Rezygnacja — pogodzenie się z losem.

by w wielki grób czarny; że nie wiedzą, jak twarz ludzka wygląda.

Więc kiedy pomyślę, ja, który na nich patrzyłem lat tyle, kiedy wspomnę wszystkie te oczy, raz na zawsze zamknięte, wszystkie te źrenice bez wzroku, bez światła, bez życia, a potem spojrzę na was, to zdaje mi się niepodobieństwem, żebyście nie czuli, jak ogromnie szczęśliwi jesteście! Pomyślcie tylko: jest we Włoszech około dwudziestu sześciu tysięcy niewidomych!

Dwadzieścia sześć tysięcy ludzi, którzy nie widzą jasności dziennej! Rozumiecie? Przecież to cała armja, której przejście przed naszemi oknami zabrałoby przynajmniej cztery godziny czasu!

Nauczyciel zamilkł. W całej klasie nie było słychać nawet oddechu.

II.

Po chwili Derossi przerwał tę ogólną ciszę, pytając, czy prawda, że ociemniali mają zmysł dotykania delikatniejszy, niźli ci, co widzą?

— Prawda! — rzekł nauczyciel. — I nietylko dotykanie. Wszystkie inne zmysły doskonalą się u nich szybko, bo każdy z nich musi w pewnej mierze wzrok im zastępować. Po głosie mówiącej osoby umieją wzrost jej rozpoznać. My z oczu, ze spojrzenia odgadujemy duszę człowieka, oni z dźwięku mowy. Latami też całemi pamiętają brzmienie czyjegoś głosu. Rozpoznają, czy w pokoju jest jedna osoba, czy więcej, choć jedna tylko mówi. Dotknięciem miarkują, czy łyżka jest dobrze oczyszczona. Małe dzieci rozróżnić potrafią, wziąwszy wełnę w palce, czy jest farbowana. A gdy idą parami przez ulicę, rozróżniają powonieniem każdy sklep niemal, taki nawet, w którym my żadnej nie czujemy woni.

Strzelają z procy i po świście pocisku wiedzą, gdzie padł, i prosto do niego idą. Biegają za kółkiem, grają w kręgle, skaczą przez sznur, wyrabiają pudełka, kobiałki, koszyki, dokładnie podług rysunku. Takie mają czucie w palcach.

Ogromnie to wzruszający widok, kiedy ich poprowadzą do muzeum przemysłowego i pozwolą im tam dotykać wszystkiego! Trzeba widzieć, z jaką radością rzucają się na figury geometryczne, na sprzęty domowe, na instrumenty, narzędzia, na modele domów, kościołów! Z jaką uciechą obwodzą dłonią kształt każdy, jak pocierają przedmioty palcami, jak wszystko obracają w ręku, żeby *widzieć*, jak to jest zrobione.

Uczą się z wielką łatwością. Mają do tego umyślnie przygotowane książki z wypukłym drukiem. Czytają biegle. Piszą bardzo chętnie wypracowania, a także listy między sobą. A żebyście wiedzieli, jak pamiętają wszystko, jak malcy nawet rozprawiają między sobą o gramatyce i historji.

Każdego nauczyciela rozpoznać potrafią po odgłosie jego kroków, po woni odzieży. Między sobą żyją zgodnie, życzliwie: dobrzy z nich koledzy!

Mają bardzo jasne, bardzo głębokie pojęcie złego i dobrego. Żaden też z was, moje dzieci, nie odczuwa tak żywo, z takiem uniesieniem pięknego, szlachetnego czynu!

Muzykę miłują nadzwyczajnie. Muzyka to ich radość, ich życie! Muzyka dla ich serca tem, czem światło jest dla naszych oczu.

III.

Zamyślił się nauczyciel, podparłszy głowę, gdy wtem Derossi zapytał, czy nie możnaby iść tam ich zobaczyć?

Owszem — odpowiedział nauczyciel — ale lepiej później, kiedy będziecie starsi, kiedy będziecie mogli pojąć cały ogrom takiego nieszczęścia i uczuć całe współczucie dla tych, którzy są niem dotknięci.

To bolesny widok, moje dzieci.

Wszak przechodząc tam niekiedy, widzicie chłopców, siedzących w otwartych oknach dla odetchnięcia świeżem powietrzem, którzy, zdaje się, patrzą na szerokie, zielone doliny, na błękity gór, widnych tam zdala. I pomyślcie, że oni, siedząc tak i patrząc, nie widzą nic i nigdy nic nie zobaczą z tej niezmiernej piękności rodzinnego kraju. Jeden z tych nieszczęśliwych tak mówił do mnie pewnego dnia z niewysłowionym smutkiem:

— Chciałbym, pragnąłbym gorąco, choć na jeden moment odzyskać wzrok dawny, żeby zobaczyć twarz mamy, bo już jej nie pamiętam prawie!

A kiedy matka przyszła go odwiedzić, dotykał twarzy jej rękoma, od czoła wodząc dłonią aż do brody, żeby uczuć jej drogie rysy, i jakby nie mogąc wyperswadować sobie, że jej nie zobaczy, wołał za nią: — Mamo! mamo! — jak gdyby błagając, żeby mu się objawiła, pokazała, żeby mu się dała widzieć choć na jedną chwilkę.

Kiedy się stamtąd wychodzi, to zdaje się, że ci, co widzą niebo, słońce i ludzi-współbraci, są jakimś szczęśliwym wyjątkiem. Pewien jestem, że niema wpośród was takiego, któryby, opuszczając tamte smutne progi, nie pragnął oddać choć odrobiny swego wzroku tym nieszczęsnym dzieciom, dla których słońce nie ma światła, a matka nie ma oblicza.

E. Amicis.

Jakie uczucia w człowieku szlachetnym budzi kalectwo, słabość, nieszczęście, cierpienie bliźniego?

Powiedz (napisz) wyrazy podobnego znaczenia, co: niewidomy, brawura, rezygnacja, twarz, brzmienie, kolor, powonienie, woń, smutek.

27. Słonko.

Wędrowało sobie słonko
Uśmiechnięte, jasne, złote;
Szło nad gajem, szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.
Ten się żali: — Tak wesoło
Świecisz światu, słonko moje,
Uśmiechami sypiesz wkoło,
Gdy ja smutny we łzach stoję.
Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczą.
Słonko na to: — Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myślę świecie
I o ludzi ciężkich losach.
Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną,
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając, co kazano.
Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trza polecić —
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść — i świecić!...

A. Asnyk.

Jaki przykład daje nam słońce? W jaki sposób można «świecić» ludziom? Wymień mi czyny, które nam «świecą». Czy tylko wielkie czyny świecić mogą? Czy nie znaczy to również, że chociaż nam smutno i źle, nie mamy prawa zaniedbywać swego obowiązku? Może dasz przykład tych, co nam świecili i świecą.

28. Przyjaciele-robotnicy.

(Uwagi ojca w kajecie syna).

...Dlaczego, Henryku: «Już nigdy?!» Przecież to będzie zależało od ciebie. Gdy skończysz czwartą klasę swojej szkoły, pójdziesz do gimnazjum, a oni zaczną pracować; prawda. Ale będziecie w jednem mieście być może przez długie lata.

Więc dlaczegóżbyście się widywać nie mieli? Kiedy wstąpisz do uniwersytetu, albo do liceum, będziesz ich odwiedzał w ich sklepach, w ich warsztatach, i zobaczysz, jak ci będzie miło mieć przyjaciół i towarzyszy lat dziecięcych między ludźmi pracy.

Czyżbyś nie pobiegł do Coretti'ego, do Precossi'ego, gdziekolwiekby byli? Pobiegniesz nieraz, spędzisz niejedną godzinę wraz z nimi i zobaczysz, poznawszy świat i życie, ile od tych dawnych kolegów będziesz mógł nauczyć się takich rzeczy, których nikt inny nauczyćby cię nie potrafił. I o ich rzemiosłach, o ich stanie społecznym, i o twoim własnym kraju.

I to jeszcze uważ, że gdybyś tych przyjaźni zachować nie umiał, to byłoby ci niezmiernie trudno zawrzeć w przyszłości podobne przyjaźni, t. j. poza klasą towarzyską, do której należysz. Człowiek zaś, który tylko w zakresie swojej klasy czyli sfery żyje, podobny jest do tego, kto umie czytać z jednej tylko książki.

Postanówże zaraz, mój chłopcze, dotrzymać przyjaźni swoim towarzyszom szkolnym i wtedy także, kiedy się rozłączycie, i odrazu zacznij wyróżniać tych przyjaciół właśnie dlatego, że są dziećmi robotników.

Widzisz, to tak: ludzie, należący do klas wyższych, są jakby oficerami, a robotnicy — jakby żołnierzami wielkiej, narodowej armji. Ale tak samo w społeczeństwie, jak i w wojsku: żołnierz nie jest mniej godny, niżeli ofi-

cer: bo godność w pracy leży, a nie w zapłacie, i leży w wartości, a nie w stopniu. Owszem, jest prawie coś godniejszego tak w żołnierzu, jak w robotniku, którzy ciężej pracując, mniejszy zysk odnoszą. Kochaj więc ich nad innych kolegów, szanuj synów wielkiej armji pracowników, uczcij w nich trudy i ciężką dolę ich rodziców! Wzgardź różnicami klas i stanów, podług których tylko nikczemni stopniują grzeczność swoją i uczucia swoje; pamiętaj, że krew błogosławiona, która ci odrodziła ojczyznę, wypłynęła wszystka niemal z żył robotników, pracujących w polach i przy warsztatach.

Kochaj Garonne'a, kochaj Precossi'ego, kochaj małego Coretti'ego, kochaj twojego «mularczyka», bo oni w swoich piersiach małych robotników mają książęce serca, i niech żadna odmiana losu nie wydrze ci z duszy tych świętych, dziecięcych przyjaźni.

I pomyśl: jeśli po latach czterdziestu, przechodząc koło jakiejś stacji kolei żelaznej, poznasz w bluzie maszynisty dawnego Garonne'a z czarną od dymu twarzą, czyż nie skoczysz na maszynę, nie zarzucisz mu rąk na szyję, choćbyś był senatorem państwa?

Edmund Amicis.

Co ludzi naprawdę różni między sobą: czy sfera, w której się urodzili, czy uczucia i charakter? Jeżeli jesteś kupcem, urzędnikiem, ziemianinem, — czy bliższy ci wieśniak lub rzemieślnik Polak, czy kupiec, urzędnik lub ziemianin cudzoziemiec? Czy masz przyjaciół z innych klas społecznych?

Wszelką uczciwą pracę z głębi serca szanować należy.

29. Dobre rady.

Wstawaj rano, sypiaj twardo,
Hartuj duszę, jadaj miernie,
Z bólem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie.

Ucz się słuchać, abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie.
Ucz się pracy, byś zrozumiał,
Co tam leży w sercu na dnie.
Ucz się myśleć, byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy;
Ucz się modlić, byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.

W. Pol.

Czy to poezja, czy proza? Czy może być proza wierszem?

30. Szopka.

Słońce w Wisłę się chyli,
Mrze niedzieli dzień świętej,
Chce uciechę familji
Zrobić majster Jacenty.
Miasto huczy i brzęczy,
Bo karnawał na świecie,
I sen złota i tęczy
Jacentemu się plecie.

Wspomniał lata dziecięce,
Wspomniał dawne zwyczaje,
Serce bije goręcej,
A w źrenicach łza staje.
Próżno duszy wezbranie
Obojętną kryć maską,
I Jacenty, mospanie,
Woła szopkę warszawską.

W dużej izbie rodzina
Siadła społem pod ścianą,
Zacny majster wziął syna,
Swą latorośl kochaną.
Tuż majstrowa z córkami,
Babka stara i siwa.
— Kasiu, pójdźno, siądź z nami,
Niech i sługa używa.

Już przybyli szopkarze,
Już się szopka zaczyna:
Zaraz śmierć się pokaże,
Co królowi łeb ścina.
Ot, Krakowiak wywija,
Błyszczy świetnym sukmanem!
Ot, urocza lilija!
Małgorzatka z ułanem!

Dziatwa klaszcze radośnie,
Zachwycona z widoku;
Jacentemu pierś rośnie,
I łza srebrzy się w oku.
Babka patrzy i mruga
Zmęczonemi oczyma...
A pieśń płynie jak struga,
Na uwięzi myśl trzyma.

A gdy śmierć się z Herodem Pan Jacenty, człek znany,
Załatwiła nareszcie, Sypnął suto «co łaska»:
Z torbą, jakby z niewodem, — Naści, dziadku kochany,
Wyszedł dziadek po kweście. Wiwat, szopka warszawska!

Or-Ot.

Czy widziałeś kiedy szopkę? Co w niej stanowi najważniejsze przedstawienie? Co malują inne sceny? Czy wiesz, skąd powstała szopka? Dawniej nazywano to: *jasełka;* chłopcy sami odgrywali je w kościele.

31. Przytułek noclegowy.

Czy byliście kiedy w domu noclegowym, wy, młodzi czytelnicy? Jabym was wszystkich zaprowadzić tam chciała, pokazać ten przytułek prawdziwej nędzy, bo pewna jestem, że na całe życie zachowalibyście jego wspomnienie.

Wielkie cztery sale mieszczą około trzystu osób. Pomyślcie: ile osób nie ma własnego dachu! Domów noclegowych jest w Warszawie cztery i zawsze są przepełnione.

Wejdźmy na lewo. Jest już późno, godzina jedenasta, przytułek pełny. Rzędami na ziemi, na gołej ziemi, leżą szeregi mężczyzn. Ostrożnie stąpajmy, bo jest ich tylu, że się pod ścianami pomieścić nie mogą; możemy nadeptać tych, którzy leżą na przejściu. Są między nimi zbrodniarze, są nałogowi pijacy — ale ileż jest kalek, nieszczęśliwych, wydziedziczonych, iluż miało niegdyś dostatek, rodzinę? Dziś w przytułku szukać muszą schronienia.

Bywają między tym tłumem i młodzi, a żądni nauki; i starzy, którzy goniąc za ideałem, nie zdobyli chleba; i chłopcy w waszym wieku, których tu zapędziła nędza lub próżniactwo.

Chodźmy na prawo: to sala kobiet. Jakież ich mnóstwo! Ach, jakie biedne te staruszki, których zbolałe ciało leżeć musi na gołej podłodze! Uważajcie: bez żadnej pościeli, bez odrobiny słomy.

Słyszycie: tu płaczą dzieci, więc tu są i matki. Tak, są, bywa ich nawet dużo. Matki, które dla maleńkich nie mają kołyski ani poduszeczki, nic, coby podłożyć mogły pod wychudzone ciałka.

Widziałem między temi kobietami matkę, która karmiła dwoje bliźniąt.

Pomyślcie, och, pomyślcie, młodzi i szczęśliwi, o tej nędzy!

A jednak przytułek jest dobrodziejstwem. Za osiem groszy dostaje tu każdy biedak kubek herbaty, kawałek chleba i prawo do przebycia nocy w ogrzanym pokoju. I może tu ukryć swą niedolę, bo nikt nie pyta go o nazwisko. A szkoda, że tych nazwisk wymienić wam nie mogę, znaleźlibyście między niemi dużo takich, które w herbarzu Niesiecki[1]) wspomina. Stary wytarty szal, cienka bielizna, schludny wygląd — zdradzają czasem przeszłość dostatnią, może świetną, ale to przebłyski, przy których dzień obecny jeszcze straszniej się odbija. Czy znajdą się serca, któreby z tego przybytku nędzy, upadku, próżniactwa wyławiały dzieci, potrzebujące opieki, matki, przeciążone obowiązkami nad siły, starców, których przeszłość karta dziejowa zasługi we wspomnieniach swych mieści?

A jednak ci najnędzniejsi i ci wydziedziczeni mają jaśniejszy dzień w roku.

Takim dniem jest dzień wigilijny Bożego Narodzenia. W przytułkach noclegowych zapalono także wigilijne drzewko dla tłumu nędzy, który odnajduje w tej

---

[1]) Autor historji wielu rodów szlacheckich czyli heraldyki.

uroczystości wspomnienie lepszych chwil i szlachetnieje może tem wspomnieniem.

Znalazły się może własnym bólem złamane serca, może osierocone i pozbawione pociech wigilijnej wieczerzy, które tę wigilję poszły dzielić z nędzarzami w przytułku. Tu ludzie dobrej woli łamali się opłatkiem z trzystu takimi, którzy prócz łachmanów, nie mają nic: ani dachu, ani nawet sprzętu żadnego.

Z. Bukowiecka, zmarła w r. 1920.
(«Dzieci Warszawy»).

Czy człowiek, który ma rozum i serce, może żyć spokojnie, szczęśliwie, bez troski, nic nie robiąc dla nędzy i nieszczęścia? Wytłumacz przysłowie: «Długo radź, prędko czyń».

32. Chodzi Jezus malutki.

Noc grudniowa, śnieżyca,
Wiatr z północnej dmie strony,
Tylko światło księżyca
Przez chmur pada zasłony.

Wyją wilki po lesie,
Drży bór głuchy, sosnowy,
A wichura wdal niesie
Grozę nocy zimowej.

W tę noc ciemną i groźną,
Co kir czarny rozpina,
Drogą śnieżną i mroźną
Idzie mała Dziecina.

Dziwny blask u Jej czoła
Promieniami się żarzy,
Choć bez skrzydeł anioła
Wdzięk anielski ma w twarzy.

I podnosi rączęta
Ponad jasne swe czoło,
Błogosławiąc zwierzęta
I twór wszelki wokoło:

I te chaty wieśniacze,
I te sady, i drzewa,
I to dziecię, co płacze,
I to dziewczę, co śpiewa.

I ten krzyżyk przy wiosce
Pochylony nad miedzą,
I tych ludzi, co w trosce
Swój powszedni chleb jedzą.

I tak, kojąc ich smutki,
Z jasną gwiazdą nad głową,
Chodzi Jezus malutki
W tę noc śnieżną, grudniową.

W. Bełza.

Co to znaczy? Poeta chce powiedzieć, że Bóg czuwa nad wszystkiem na świecie, zarówno nad ludźmi, jak nad wszystkiem stworzeniem: «błogosławi zwierzęta i twór wszelki wokoło». Czy Bóg sam opiekuje się każdą istotą, czy stworzył prawa, które jej byt osłaniają? Czy ludzie zawsze te prawa Boskie szanują? Czy je zawsze znają i rozumieją?

33. Przyjaciele św. Jana Kantego.

Pewnego razu święty Jan Kanty, profesor szkoły Jagiellońskiej, dostał kosz jabłek. Były piękne, rumiane, i pachnące. Ucieszył się na widok tak ślicznych owoców.

— Zaraz poślę je Szymonowi z Lipnicy — powiedział i skinął na chłopca, aby odniósł podarunek. — Szymon od ławy szkolnej był mu przyjacielem, i zwykle jak bracia dzielili się wszystkiem.

Szymon z Lipnicy był zakonnikiem, bernardynem. Właśnie kopał studnię w podwórzu klasztornem, kiedy chłopiec z jabłkami stanął przed nim.

— Przysyła wam Jan z Kęt — powiedział chłopiec i skłoniwszy się grzecznie, odszedł.

Szymon otarł pot z czoła, wyprostował postać schyloną, popatrzył na owoce i powiedział:

— Śliczne jabłka! Muszę je posłać Izajaszowi Bonarowi. Ubogim jest dziś braciszkiem w zakonie augustjanów, a pochodzi z możnego rodu i bardziej od nas pewno brak odczuwa. Niech mu przyjemność sprawi ten przysmaczek.

Izajasz Bonar odmawiał pacierze, kiedy mu przyniesiono kosz z jabłkami. Z przyjemnością popatrzył na owoce.

— Dawno nie widziałem takich pięknych jabłek — pomyślał — wiem już, komu je poślę: Stach Kazimierczyk pracuje ciężko nad księgami, mięsa nie jada nigdy, a młody jest i potrzebuje pokrzepienia. Będzie miał chociaż jabłka do chleba i wody.

Stanisław Kazimierczyk był w bibljotece klasztornej u Bożego Ciała, kiedy przed nim postawiono śliczne jabłka. Blady, mizerny, chudy, uśmiechnął się do nich, ale nie przyszło mu na myśl skosztować. Czytał dalej pośród miłego zapachu.

Nakoniec podniósł głowę.

— Poślę je Michałowi Giedrojciowi — szepnął — wszystkiego sobie ten człowiek odmawia, lecz nie pogardzi może darem przyjaciela.

Michał Giedrojć do wieczora zajęty był pośród ubogich i kalek, którym rozdzielał jałmużnę, wspierał dobrą radą, pocieszał w kłopotach i dodawał otuchy. Wróciwszy do swej celi, znalazł kosz przepysznych jabłek.

— A to dobrze! — zawołał. — Idę do Jana z Kęt, za-

niosę mu te jabłka. Niech się niemi pokrzepi ten prawdziwie święty pracownik.

I zabrawszy kosz jabłek, udał się do Jana Kantego.

Tym sposobem prześliczne jabłka odwiedziły wszystkich przyjaciół Jana Kantego i wróciły do jego celi, aby dostać się w ręce dzieci, którym sprawią największą radość.

Podług *Miecz. Śleczkowskiej.*

Co wiesz o św. Janie Kantym? Jacy byli ci przyjaciele? Czy pamiętasz zdarzenie, kiedy św. Jan Kanty wrócił do zbójców, żeby im dobrowolnie oddać grosz, znaleziony przy sobie, ponieważ przysiągł przedtem, że nic nie ma? Dlaczego to zrobił? Czy człowiek szlachetny kłamie? Czy można kłamstwo porównać do błota, które za dotknięciem wala?

34. Zdarzenie prawdziwe.

Pewien lekarz wracał raz od chorego robotnika smutny i zamyślony. Nie spostrzegł nawet, że szedł pustą i źle oświetloną ulicą, co sięga już okopów.

Nagle uczuł, że ktoś go chwyta za rękę. Nie miał nawet kija, a zaczepiającym był silny, wyższy od niego mężczyzna.

— Obedrze mnie — pomyślał i przeliczył w pamięci pieniądze wraz z wartością złotego zegarka.

— Czego chcesz? — zapytał jednak ostro, bo chciał nadrobić miną.

— Głodny jestem — odpowiedział pokornie nieznajomy — puszczono mnie wczoraj tu, z tego więzienia, nie mogłem znaleźć żadnej roboty. Zlituj się, panie, daj na chleb, bo inaczej muszę kraść znowu.

Doktór odpiął palto i wyjął pugilares. Z mimowolnem jednak niedowierzaniem spojrzał na nieznajomego: sądził, że skorzysta z tej chwili, żeby mu wydrzeć pieniądze.

Biedak może odczuł myśl doktora, bo odsunął się o kilka kroków.

Na ulicy było wciąż pusto. Zdaleka tylko migotały światła w oknach więzienia, które lud zwykle Pawiakiem zowie.

Lekarz, zawstydzony niesłusznem posądzeniem biedaka, wręczył mu rubla.

— Gdyby taki jak pan był się znalazł wtedy, kiedy kradłem po raz pierwszy, nie byłbym złodziejem.

W głosie nędzarza drżały łzy.

— Co teraz myślisz zrobić z sobą? — zapytał doktór.

— Szukać roboty; za tego rubla kupię chleba i siekierę. Z siekierą znajdę zarobek przy galarach na Wiśle.

— Nie potrzebujesz więc pomocy?

— Nie, niech ją pan da takim, jak ja, którzy, wychodząc stąd, stają się znów złodziejami z głodu.

Wskazał na Pawiak i odszedł w stronę Powązek. Doktór popatrzył za nim, potem wolnym krokiem minął więzienie i dążył do miasta.

Pilno mu było uciec z pod tych ścian, poza któremi mieściło się tyle występków i tyle łez.

A ludzie nie zrobili nic dla wyrzutków, które po odsiedzeniu kary wracają do społeczeństwa.

Kainy — prawda. Winni — prawda. Ale między nimi może być głodny, co ukradł chleb dla dzieci; może być nawrócony, który chciałby odzyskać straconą godność. Czyż nie znajdzie się nikt, ktoby powołał szlachetnie myślących ludzi do czuwania nad wychodzącymi z więzienia?

Z. Bukowiecka. («Dzieci Warszawy»).

Obowiązkiem oświeconych czuwać i pracować nad ciemnymi, nie dopuszczać do występku, dostarczając im możności pracy, oświaty, rozrywki szlachetnej.

35. Kamień na drodze.

Szedł Chrystus wąską parowu drogą
Z uczniami swymi,
I coraz trącił najświętszą nogą
O głaz na ziemi.

Rzekł tedy uczniom: — Zbierzmy z tej drogi
Trochę kamieni,
Bo kto wie, czyje zmęczone nogi
Krew zarumieni.

Może iść tędy człek zmordowany,
Pielgrzym zdaleka,
Którego — wodą by obmyć rany —
Któż z drogi czeka?

Więc się pochylił na rozkaz Boży
Każdy mąż święty,
I każdy w sakwę podróżną włoży
Kamień podjęty.

I poszli dalej z tym wziątkiem swoim
Wąwozu szyją,
Wiedząc, że spoczną w górze nad zdrojem,
Gdzie się napiją.

Lecz na wieczerzę kędyż w pustyni
Chleba dostanie?
Więc rzekli z wiarą, która cud czyni:
— Nakarm nas, Panie!

— Chleb w torbach macie — Chrystus powiada
Głosem łagodnym. —
Niechaj spożywać go przy mnie siada
Ten, kto jest głodnym.

I chleb był w torbach, z twardych kamieni
Zmienion w tej chwili,

Jedli go wszyscy i posileni
Dosyta byli.
Tylko Piotr święty woła: — O, Chryste,
Głodny zostałem,
Bo w torbie swojej jeden zaiste
Kęs chleba miałem.
A Chrystus na to — Bardzoś malusi
Wziął głaz kamienia,
Małym dla ciebie teraz być musi
Cud nakarmienia.

M. Ilnicka.

Co znaczy ta legenda? Dlaczego św. Piotr mało miał w torbie chleba? Czy to było sprawiedliwie? Jaką naukę chciał dać Chrystus apostołom? Czy ludzie skarżą się czasem niesłusznie, że mało mają? Co tu oznaczają kamienie, które Chrystus zbierać kazał? Co to znaczy: legenda?

36. Michałko.

Michałko jeszcze raz podziękował stróżowi za pozwolenie przespania się w piwnicy i wyszedł. Był zupełnie rześki, choć od wczorajszego deszczu jeszcze lepiły mu się włosy, a parcianka stężała jak skóra.

Czy znajdzie robotę? Czy szukać roboty, czy wracać na wieś? — rozmyślał.

Wtem gdzieś niedaleko rozległ się huk, podobny do krótkiego grzmotu — potem drugi, głośniejszy.

Chłop spojrzał. O paręset kroków widać było szczyty rusztowań, a nad niemi jakby czerwony dym.

Stało się coś niezwykłego. Michałka ogarnęła ciekawość, popędził w tamtą stronę, poślizgując się i brnąc w kałużach.

Na niebrukowanej ulicy kręcili się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękoma niewysoką budowlę,

przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzy. Nad wszystkiem unosił się czerwony pył cegły.

Chłop przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło: oto nowy dom upadł. Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga w większej części. W poszczerbionych murach wisiały futryny, a duże belki, przeznaczone do dźwigania sufitów, opadły, pogięły się i potrzaskały jak wióry.

W oknach sąsiednich domów ukazały się zalęknione kobiety, ale na ulicy, oprócz robotników, było ledwie kilka osób.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nikt. Wszyscy byli na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż się mylił.

— Jędrzeja niema — odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę zaniemieli.

— Tak, on był we środku.

— Trzeba go szukać — rzekł majster ochrypłym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmiałych.

Michałko machinalnie zbliżył się także.

— Jędrzeju! Jędrzeju! — wołał majster.

— Usuń się pan — ostrzegali go — ta ściana ledwo wisi.

— Jędrzeju! Jędrzeju!

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednem miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi. Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał i chwycił się oburącz za głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi

zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwila mógł się oberwać.

Jeden z cieślów począł oglądać miejscowość, a skamienieli z trwogi robotnicy patrzyli mu w oczy, gotowi pójść, jeśli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcał się i stanął, opierając się na dwu rękach. Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadłe oczy. Patrzył na ludzi, stojących o kilkanaście kroków, i jęczał, ale wzywać o ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój! Boże miłosierny!

— Tu nie można wejść — rzekł cieśla głucho.

Gromada cofnęła się wtył. Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej niż inni.

Strach, co się z nim działo. Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód. Zdawało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek — i musi ratować człowieka, który przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: — Pójdę! — on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru niż inni.

— Nie pójdę — szepnął i podniósł drąg, który leżał mu prawie przy nogach.

Między ludźmi zaszemrano: — Patrzcie! Co on robi?

— Cicho!

— Boże miłosierny, zmiłuj się! — wołał ranny, szlochając z bólu.

— Idę, idę! — rzekł Michałko i wszedł między gruzy.

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył

jego zdruzgotane nogi, kałużę krwi, i pociemniało mu w oczach.

— Bracie mój! bracie — szeptał ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

— Wali się! — krzyknęli robotnicy, rozbiegając się.

Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy, czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słychać było jakieś szamotanie. Ranny jęknął głośniej i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko, zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i, stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedzie, jedzie! ino mu tam jeden but ostał!

— Wody! — wołali.

— Po doktora!

Michałko powlókł się za nimi, myśląc:

— To ci dobry naród w tej Warszawie! Nie bój się.

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktór? czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać. Biegli ciekawi, pędziły dorożki, słychać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował. Nowy tłum skupił się przed bramą, a goręts torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawej hecy.

Jednemu z nich stojący przy furtce Michałko zawadzał.

— Usuń się, gapiu jakiś! — krzyknął jegomość, widząc, że bosy chłop niebardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko zdziwiony.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? — wrzasnął ciekawy. — Co to, niema policji, żeby takich próżniaków rozpędzała?

— Oj, na złe idzie — pomyślał chłop i zląkł się, żeby za taki występek nie wsadzono go do kozy. I nie chcąc budzić licha, wcisnął się między gromadę.

W kilka minut później zaczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł z pośród gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy.

— Niema tam takiego na ulicy?

— Był tu taki — krzyknął ktoś — ale poszedł.

Rozbiegła się policja, robotnicy i — nie znaleźli Michałka.

B. Prus.

Jak można nazwać czyn Michałka? Co go do tego skłoniło? Czy szlachetny czyn potrzebuje nagrody? Czy można dla nagrody spełnić czyn szlachetny?

37. Przypowieść o talentach.

Podobne jest królestwo niebieskie panu, odjeżdżającemu w daleką podróż, który, wezwawszy sługi swoje, rozdał im majętność swoją, dawszy jednemu pięć talentów [1]), drugiemu dwa, trzeciemu jeden. A który był wziął

[1]) Talent — moneta starożytna wartości około 60 funtów srebra.

pięć talentów, robił niemi i zyskał drugie pięć; również i ten, który wziął dwa, zyskał drugie dwa, lecz ten, który dostał jeden, poszedł i zakopał go w ziemi. Gdy pan powrócił, przystąpił ten, który wziął pięć talentów, mówiąc: — Otom drugie pięć zyskał. — Rzekł mu pan jego: — Dobrze, sługo dobry, gdy wiernym byłeś nad małem, nad wielą cię postawię; wnijdź do wesela pana swego. — To samo się stało ze sługą, który wziął dwa talenty. A gdy przystąpił ten, który był jeden talent wziął, rzekł pan: — Sługo zły i gnuśny! Weźmijcie od niego talent i dajcie temu, który ma dziesięć talentów, a niepożytecznego sługę wrzućcie do ciemności.

Ks. Serwatowski.

Co należy rozumieć przez «talenty», które Pan powierza swym sługom do dobrego spożytkowania? Czy można za taki talent uważać zdrowie, siły, rozum, naukę, dostatek, władzę i t. d.? Co ma oznaczać zakopanie talentu w ziemi? Jak powinniśmy naszych talentów używać?

38. Kamienie wyklęte.

(Legenda bretońska).

I.

Było to w wigilję Bożego Narodzenia. Wiadomo, że w taką noc woły mogą się odzywać głosem ludzkim... a mówią ludzie, że dlatego się to dzieje, ponieważ te zwierzęta były świadkami narodzenia Chrystusa Pana.

W owym czasie tułał się po tutejszej okolicy żebrak, zwany Plankoet.

Ten człowiek, jak mówiono, nie był ani Żydem, ani chrześcijaninem, nigdy nie widziano go wchodzącego do kościoła, i dziwne o nim obiegały wieści. Utrzymywano, że umiał rzucać uroki na ludzi i na bydło, że potrafi

zsuszyć zboże na pniu, opróżnić orzechy z ziarna, zmrozić winne grona, skwasić wino w kadziach, stopić sól, poprzemieniać wszystkie pszczoły w trutnie i odjąć mleko krowom. A co najważniejsza, byli tacy, którzy twierdzili, że ów żebrak, jak tylko zechce, może się przemienić w gobelina [1]).

Owóż ten niedowiarek wiedział, tak jak i wszyscy w okolicy, że co sto lat wyklęte kamienie z tej góry chodzą napoić się do morza, i że podczas kiedy piją, skarby, które się kryją pod niemi, pozostają jawnemi dla każdego, przechodzącego tamtędy, i dostępnemi dla lada śmiałka, który po nie sięgnąć się odważy. Jednakowoż takiemu śmiałkowi wielkie grozi niebezpieczeństwo, bo kamienie wyklęte, napoiwszy się w morzu, powracają na swoje miejsca, i to tak szybko, że przygniatają zwykle tych, którzy podczas ich nieobecności odważyli się sięgnąć po skarby. Istnieje jednak jeden sposób ustrzeżenia się od nich: należy im dać na pastwę jaką chrześcijańską duszę, a przytem trzymać w ręku kwiat paproci; każdemu zaś wiadomo, jak trudny jest taki kwiat do znalezienia. Ale Plankoet znalazł był już ten kwiat, brakło mu tylko duszy chrześcijańskiej, i w tym zamiarze wpadł mu jakoś w oko mój pradziadek, Piotr Bernez.

Poszedł więc Plankoet odwiedzić mojego pradziadka w wigilję wigilji Bożego Narodzenia.

— Jutro — rzekł — wypada czas, w którym kamienie wyklęte mają iść napoić się w morzu. Czy chcesz, ażebyśmy poszli razem w celu wykradzenia skarbów, które znajdują się pod niemi?

— A czy masz paproć? — zapytał mój pradziadek.

— Naturalnie, że mam.

---

[1]) Gobelin albo wilkolak — człowiek, który może, ile razy zechce, przybrać kształty zwierzęcia.

— Ale wiesz przecię, że oprócz tego potrzeba im dać na pastwę duszę chrześcijańską? — mówił dalej mój pradziadek.

— O, to znowu nie jest tak koniecznie potrzebne — rzekł Plankoet, który umyślił sobie poświęcić w ofierze mojego pradziadka. — Zwykle się zdarza, że one, powracając, przytłoczą kogoś, a więc zawsze znajdą sobie duszę.

— To ma znaczyć — rzekł Bernez — że aby posiąść skarby tych wyklętych kamieni, ty pragniesz szatanowi iść na służbę. Ale ja wolę się trzymać Pana Boga, i zobaczymy, kto wygra.

— A jakże sobie poradzisz? — zapytał go Plankoet.

— Pójdź ze mną — rzekł pradziadek — a zobaczysz.

To powiedziawszy, wziął młot i dłóto i udał się ku górom. Przybywszy tam, wybrał największy i najgrubszy z kamieni, przyłożył do niego dłóto, i bijąc młotkiem, począł w nim krzyż żłobić. Widząc to, Plankoet począł się śmiać, ale tak głośno, że echa okoliczne powtarzały śmiech jego, i zdawało się, że wszystkie kamienie wyklęte śmieją się także. Ale pradziadek, nie zważając na to, kończył dalej swoje dzieło. I kiedy krzyż był gotów, rzekł do Plankoeta:

— A więc jutro o północy.

— Jutro o północy — odpowiedział Plankoet.

II.

Nazajutrz (była to właśnie wigilja Bożego Narodzenia) obaj trochę przed północą spotkali się u stóp góry. Plankoet niósł z sobą z jakie dwanaście sporych sakw, zawieszonych naokoło pasa, a pradziadek mój miał w ręku

poświęconą gałązkę palmową, którą w Kwietną Niedzielę wyniósł był z kościoła. I obaj zaczęli wchodzić na górę.

— Cóż myślisz zrobić z nabytemi skarbami? — zapytał Plankoet, ciesząc się już zgóry z pomyślnego skutku zamierzonego przedsięwzięcia.

— Udzielę ich ojcu, matce, braciom i siostrom.

— A dalej?

— Dalej — wybuduję piękny kościół dla Pana Boga.

— A dalej jeszcze?...

— Dalej... no, i cóż dalej... będę rozdawał pieniądze tym wszystkim, co mnie o to poproszą. Ale teraz ty mi powiedz, Plankoecie, co zamierzasz ze swojemi skarbami uczynić?

— Zachowam je w wielkich skrzyniach i codziennie będę przerachowywał.

— A dalej? — zapytał pradziadek.

— Dalej... każę sobie piękny pałac postawić.

— A dalej jeszcze?...

— Dalej... dalej... będę pokazywał pieniądze wszystkim tym, którzy mię prosić będą o wsparcie, ale nie dam im ani grosza, żeby pozdychali z zawiści.

Tak rozmawiając, przybyli wreszcie na szczyt góry. I jak raz w tej chwili nadeszła północ, a obaj śmiałkowie usłyszeli nagle wielki huk i łoskot, jak gdyby ogromnych głazów, uderzających o siebie i roztrącających się na sztuki. Były to kamienie wyklęte, które biegły napoić się w morzu. Bernez i Plankoet zobaczyli je tuż obok, staczające się z góry, a czyniły to one tak szybko, iż widoczne było, jak wielkie pragnienie im dokucza. Kiedy wreszcie ostatni kamień przeleciał, Plankoet i mój pradziadek zbliżyli się do miejsca, które zajmowały przed chwilą, i stanęli w osłupieniu. Było tam co niemiara złota, srebra, drogich kamieni i Bóg wie jakich skarbów. Bernez upadł na kolana i począł dziękować Bogu, że

takie skarby oddał mu do rozporządzenia, ale Plankoet, nie tracąc czasu, począł napełniać sakwy, i to tak szybko, że zadyszał się cały, co mu jednak nie przeszkadzało śmiać się z mojego pradziadka, który nie wziął był ze sobą żadnego worka ani naczynia.

Ale mój pradziadek, pomodliwszy się, podniósł się także i począł nabierać złota do kieszeni, kiedy nagle straszny hałas dał się słyszeć. Były to kamienie wyklęte, które, napoiwszy się dosyta, wracały na swoje miejsca, łamiąc i druzgocąc wszystko po drodze.

— Nogi za pas! — zawołał Plankoet, cofając się nabok i wystawiając naprzód rękę, w której trzymał paproć.

Mój pradziadek tak się zląkł, że ze strachu zapomniał nawet wyjąć z za pazuchy poświęconej palmowej gałązki, a widząc kamienie toczące się na niego całą masą, rzucił się na kolana, polecając duszę Bogu, bo zdawało mu się, że to już jego ostatnia godzina... I widział, jak kamienie ustępowały na jedną i na drugą stronę przed czarodziejskiem zielem, które Plankoet trzymał w ręku, a wszystko się ku niemu waliło z hałasem. Ale w chwili, kiedy ten kamień, który biegł na przedzie, miał już uderzyć na niego, jakiś ogromny głaz, gruby a wysoki, stanął pomiędzy nim a napastnikami, odtrącając ich na stronę. Spojrzał pradziadek i spostrzegł, że to ten sam kamień, na którym był krzyż wyżłobiony.

Zwolna wyklęte głazy pozajmowały swoje dawne miejsca, więc też i kamień z krzyżem, wypełniwszy swoją powinność, począł się toczyć ku odwiecznemu łożysku, ale w drodze napotkał Plankoeta, który stał z wystawioną naprzód paprocią. Ponieważ jednak ziółko czarodziejskie nad kamieniem z krzyżem żadnej władzy nie miało, a nawet owszem głaz ten, jako świeżo znakiem

świętym opatrzony, miał wstręt do wszelkiego szataństwa, więc niby nie widząc czarownika, potrącił go tak silnie, że ten bez życia padł na miejscu. A pradziadek mój, odziedziczywszy po nim sakwy i wielkie skarby, został bardzo bogatym, wymurował, jako był przyrzekł, kościół dla Pana Boga, a z reszty wraz z rodziną żył długo, swobodny i szczęśliwy.

W. Szymanowski,
pisarz polski z drugiej połowy XIX w.
(«Obrazki z życia znakomitych ludzi»).

Gdzie leży Bretanja? Nad jakiem morzem? Czy w kraju, w którym niema gór ani morza, mogłaby powstać taka legenda? Czy w innych baśniach i legendach spotykamy martwe przedmioty, obdarzone życiem? Przypomnij sobie baśń albo legendę, w której martwy przedmiot żyje, czuje, mówi, działa? Co to znaczy: «Wisłę przepłynął, na Dunajcu zginął»?

39. Mądry i głupi.

Nie nowina, że głupi mądrego przegadał,
Kontent więc, że uczony nic nie odpowiadał,
Tem bardziej jeszcze krzyczeć przeraźliwie począł.
Nakoniec zmordowany, gdy sobie odpoczął,
Rzekł mądry, żeby nie był w odpowiedzi dłużny:
—Wiesz, dlaczego dzwon głośny? bo wewnątrz jest próżny.

I. Krasicki.

Czy mądrość polega na gadaniu? Ludzie, którzy wiele myślą i zastanawiają się głęboko, nie mogą być gadatliwi. Kto dużo mówi i wygłasza wszystko, co mu przyjdzie do głowy, często powie głupstwo. To, co głupiemu wydaje się śmieszne, dla myślącego człowieka jest nieraz bardzo poważne. Co to znaczy: Człowiek do śmierci rozumu się uczy?

40. Mężny.

Gromadka chłopców utworzyła obóz Zielonych. Każdy miał przy kapeluszu kawałek zielonej wstążeczki. Franka obrali wodzem, przysięgli sobie wierność, posłuszeństwo i założyli «Gniazdo» na Zielonej Wyspie w Botanicznym ogrodzie. Na budce powiewała zielona chorągiew. Tam była ich jaskinia, kiedy się bawili w zbójców, twierdza, zamek królewski, lub stolica.

Lecz nie mieli dobrego placu do zabawy, bo w ogrodzie przeszkadzali im dozorcy. Postanowili zatem odebrać plac Błękitnym, chłopcom z innej szkoły, którzy oddawna wybrali sobie jako miejsce zabaw pustą przestrzeń, gdzie były składy drzewa i niezamknięta szopa.

Wypowiedzieli wojnę. Franek poszedł na plac Błękitnych i zabrał im chorągiew ze szczytu ich twierdzy. Teraz wiedzą, czego mają oczekiwać.

Lecz i Zieloni byli zaniepokojeni. Zebrali się właśnie na Zielonej Wyspie, aby złożyć radę wojenną, gdyż w czasie ich nieobecności ktoś zabrał stąd zdobytą chorągiewkę, i tylko na mokrym piasku pozostały ślady nóg bardzo małych.

— Ktoś z Błękitnych napewno — rzekł przywódca.— Obcy zabrałby broń.

— Tak, tak — potwierdzili wszyscy.

Teraz dowódca zwrócił się do Jacka, który przeszedł do ich obozu, obrażony, że chłopcy z placu nie wybrali go wodzem.

— Jeśli chcesz zostać z nami, musisz złożyć przysięgę na nasze prawa.

— Zgoda — odparł Jacek. — Chcę pozostać z wami.

— Na jutro naznaczono początek napadu — mówił Franek dalej. — Zbierzemy się tu wszyscy zaraz po obiedzie i wyruszymy dwoma oddziałami. Jeden wejdzie na

plac od strony tartaku, drugiemu Jacek otworzy furtkę od drogi. Gdy tamci przyjdą, uderzymy na nich.

— Niech żyje wódz! — zawołali chłopcy i podnieśli lance do góry.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy chłopcy z placu nie wiedzą, że przeszedłeś do nas?

— Nie jeszcze. Ale choćby wiedzieli, to cóż? Wszyscy się mnie boją. Niema pomiędzy nimi ani jednego odważnego chłopca.

— Może się znajdzie! — przerwał nagle jakiś cieniutki głos.

Wszyscy się obejrzeli. Franek spytał ze zdumieniem:

— Kto mówi?

Nikt nie odpowiedział, ale cieniutki głos powtórzył jeszcze donośniej:

— Znajdzie się!

Teraz usłyszeli wyraźnie, że głos pochodzi z wierzchołka drzewa. Niebawem też gałęzie zaszeleściły, i w tej samej chwili zsunął się na ziemię mały, jasnowłosy chłopiec. Wszyscy milczeli, tak byli zdumieni zjawieniem się małego gościa.

Jacek zbladł i wyszeptał z przestrachem.

— Michaś!

A malec odpowiedział:

— Tak, to ja. Oto jestem. Mogłem się nie odezwać, zostać tam na górze i czekać, aż się rozejdziecie, bo i tak siedzę już od wpół do czwartej; ale kiedy Jacek powiedział, że między nami niema ani jednego odważnego chłopca, pomyślałem: — Nie, nie, nie mogę pozwolić, żeby tak mówiono przy mnie. To wstyd. Jestem najmniejszy, ale mam odwagę. Odebrałem wam naszą chorągiew, chociaż jestem najmniejszy. Teraz możecie mnie zabić, wy-

drzyjcie mi chorągiew, bo jej dobrowolnie nie oddam. Jestem sam, a was dziesięciu.

Wyciągnął rękę, w której trzymał chorągiewkę, i stał odważnie. Jeden z chłopców rzucił się, aby mu wyrwać chorągiew, ale Franek zawołał:

— Stój! Podoba mi się ten chłopiec. Czy chcesz się przyłączyć do nas?

— Ja? Nigdy!

Franek uśmiechnął się lekceważąco i odwrócił od niego.

— Nie będę cię przymuszał. Nikogo nie prosimy, żeby do nas wstąpił.

— Co z nim zrobimy? — zapytali inni.

— Zabierzcie mu chorągiew.

— Wykonane.

Michaś zacisnął zęby, stał nieruchomy, blady, ale nie wydał głosu.

— Co z nim zrobić? — myślał dowódca. — Bić nie można, za słaby.

— Wykąpcie go.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Znakomicie! Podrzucili czapki i krzyknęli: — Wiwat!

Michaś milczał i zaciął usta. Opór na nic się nie przyda, zniesie tę przykrość mężnie. Nie zrobi wstydu towarzyszom.

Zanurzono go w głębokiej wodzie stawu aż po szyję. Jeden trzymał go za kark, a drugi za ręce — inni wyskakiwali na brzegu, śmiejąc się i krzycząc. Nakoniec go puszczono.

Wyszedł natychmiast na brzeg, mokry, zabłocony, ociekający wodą. Woda ciekła z kurtki, lała się jak z rynny.

Na ten widok chłopcy pokładali się ze śmiechu. Jacek spytał z szyderstwem:

— Jakże ci było?

— Dobrze — odpowiedział Michaś, zdejmując mokrą kurtkę. — Wolę tam moknąć w wodzie, niż tu śmiać się z wami — dodał, patrząc Jackowi prosto w oczy. Wolałbym cały rok siedzieć tam w wodzie, niż łączyć się z wrogami moich przyjaciół. Możecie mnie wrzucić do stawu sto razy, a ja przyjdę tu po chorągiew. Nie boję się nikogo z was. Nie sztuka dziesięciu pastwić się nad jednym. Możecie mnie bić, nie obronię się przed wami, ale wolę, żebyście mnie utopili, niż zostać — zdrajcą, jak ten.

I wskazał ręką Jacka.

Wszyscy chłopcy umilkli. Zapanowała cisza, słychać było tylko szelest kropel wody, padającej z Michasia na ziemię.

— Czy mogę iść? — zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział, więc czekał jeszcze chwilę, a potem zwrócił się w kierunku mostu. Nikt go nie zatrzymywał. Wszyscy czuli, że ten mały chłopiec postąpił jak mężczyzna. Wartownicy na moście spojrzeli na niego, lecz żaden tknąć go nie śmiał.

Wtem rozległ się głos Franka.

— Prezentuj broń!

Straż podniosła lance z posrebrzanemi końcami. Wszyscy chłopcy stanęli w wojskowej pozycji i podnieśli lance do góry. Nikt nic nie mówił, słychać tylko było kroki Michasia, coraz dalej, dalej.

— Ja myślę... — zauważył Jacek.

Lecz chłopcy odwrócili się od niego. Odwrócili się i odeszli. Żaden na niego nie spojrzał, nie przemówił. Zrozumiał, że musi odejść. Skierował się ku mostowi — i szedł, tylko że nikt mu nie oddawał honorów wojskowych.

Molnar.

(«Chłopcy z placu broni»).

Osądź, jakim był Michaś, i dlaczego tak o nim myślisz? Jaki był Jacek (dowody), i jaki Franek?

41. Jaki ma być Polak?

Polaka celem:
Skrucha przed Bogiem,
Mir z przyjacielem,
A walka z wrogiem.

Cześć dla siwizny,
Czyste sumienie,
Miłość Ojczyzny
I poświęcenie.

Chętnie krew własną
Dać w dobrej sprawie,
Zacnie i jasno
Dążyć ku sławie.

Umieć na progu
Złożyć urazy,
Mieć ufność w Bogu
I żyć bez skazy.

Trudy i znoje
Znosić z weselem,
To, dzieci moje,
Polaka celem. *W. Bełza.*

Czy taki cel podoba ci się? Naucz się tego wiersza.

42. Co jabym ci chciała dać.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Pyszny pałac na mieszkanie,
Z kolumnami, kryształami,
Złocistemi wezgłowiami
I miękkiemi kobiercami
Pod twe drobne stopy.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Mały domek na mieszkanie,
Z okienkami zielonemi,
Z ławeczkami brzozowemi,
Z akacjami cienistemi
Nad twe białe czoło.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Szafir nieba na ubranie,
Promień słońca na wianeczek
I z gwiazdeczki pierścioneczek
Na twą śliczną rękę.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Biały muślin na ubranie,
Wianek, z chabru upleciony,
Krzyż, z olszynki wyrobiony,
I pierścionek, poświęcony
W samej Częstochowie.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Na co tylko Boga stanie:
Wiarę niczem niewzruszoną,
Miłość nigdy nie zdradzoną
I szczęśliwość wymarzoną,
A trwałą na wieki.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Na co biedną ziemię stanie:
Śmiech z próżności tego świata,
Pobłażanie na grzech brata
I modlitwę, co ulata
Ku niebu w złej doli.

Narcyza Żmichowska,
(poetka polska XIX w. 1819–1876).

Wytłumacz każdą strofkę tego wiersza. Które z tych darów wybrałbyś i dlaczego?

43. Punktualność.

— Mój drogi, pożycz mi Geografji, jutro odniosę.

— O, nie, mój kochany, znam twoje odnoszenie — albo jej wcale nię zobaczę, albo nie będę miał na czas.

Zawstydzony Władzio szuka innego dobrodzieja. Ale niełatwo znajdzie, wszyscy wiedzą, co znaczy jego obietnica.

— Władziu, trzy na dziewiątą, spóźnisz się do szkoły.

— Zaraz, zaraz, czapka mi się gdzieś podziała.

Naturalnie, że się spóźnia bardzo często.

— Wróć do domu prosto z kościoła, bo idziemy dzisiaj do babci. Pamiętaj, jak babcia lubi punktualność.

— Wiem, mamo, dzisiaj babci imieniny, nie zrobię jej przykrości.

I prosto z kościoła idzie do domu, ale na jedną chwilkę wstąpił do kolegi, tam spotkał znajomego chłopczyka, wyszli razem, rozmawiali, na minutkę skręcili w Marszałkowską zobaczyć w jednej wystawie model samolotu — no, i spóźnił się tylko o godzinę.

Niebardzo się wesoło zaczęły imieniny babci, bo od bury.

— Kolej odchodzi o szóstej, więc nie wyjdziesz już z domu, bo się spóźnisz.

— Mamo droga, przecież to dopiero trzecia.

— Wpół do czwartej.

— To wszystko jedno.

— Dlatego się właśnie spóźniasz, że dla ciebie wszystko jedno: trzecia czy wpół do czwartej. A dla innych ludzi to wcale nie wszystko jedno, ani dla kolei.

Wyszedł, spóźnił się, przyjechał nazajutrz z wujaszkiem, ale to go nie nauczy: nie rozumie znaczenia czasu.

A to dla człowieka nieszczęście.

Z tego powodu Władzio szkół nie skończył. Z tego powodu nie mógł dostać poważniejszej pracy, któraby mu zapewniała spokojne życie. Nikt mu nie ufał, nikt mu nie chciał nic powierzyć: — Niepunktualny, z takim lepiej nie zaczynać.

Sam już zaczął rozumieć, ile stracił z tego powodu, lecz nie umiał się poprawić: nie miał dość silnej woli, zanadto mu to weszło w nałóg.

I przemarnował życie w biedzie, w ciężkiej walce o suchy kawałek chleba, bez rozumnych i wartościowych przyjaciół, którzyby mu pomogli.

Nie da się pomóc człowiekowi z taką wadą. Nie można mu dopomóc: on i pomoc zmarnuje, jak zmarnował siebie.

Biedny i nieszczęśliwy.

Zwróćcie uwagę na punktualność w życiu. Przypomnijcie sobie przykłady, ile wynika szkód, gdy nie liczymy się z czasem? Czy potrzebne są zegary? Poco je ludzie wymyślili? Czy to wielki wynalazek? Czy ułatwia życie? Czy można sobie z niego nic nie robić? Czy można wierzyć człowiekowi, który nie pamięta o czasie? Czy można z nim wspólnie pracować?

44. Wagi Ofira.

Najdawniejszym bogaczem świata był Ofir. Ziemie jego na tydzień drogi ciągnęły się wzdłuż Tygru [1]). Miał 2.000 niewolników, nad nimi 100 ekonomów i włodarzy i posiadał wielką moc bydła.

Działo się to wkrótce po wygnaniu człowieka z raju. Nie widzieli już ludzie ówcześni tego miejsca, skąd przylatują i odlatują dusze, i wielu z nich przestało wierzyć w życie wiekuiste, a także w nagrody i kary. Miejsce to skryło się już za gwiazdami. Ale przy dniu pogodnym

[1]) Tygr, Tygrys — rzeka w Azji.

jeszcze można było dostrzec w niebie Jehowę [1]), siedzącego na tronie złotym z jaspisowemi [2]) kolumnami. Dokoła — wyżej i niżej (tak się zdawało patrzącym z ziemi) — wisiały wagi zasług ludzkich. Gdy kto umierał, wagi jego znikały. Gdy się kto rodził, wagi jego zawieszano, a wtedy talerz, na którym leżały skarby doczesne, i ten, na którym były skarby wieczne — stały w równej mierze. Dopiero z biegiem życia jeden albo drugi talerz przeważał.

Waga Ofira co rok mocniej pochylała się w stronę majątku doczesnego, i wszyscy mu zazdrościli, a Ofir sam był kontent.

Jednego dnia (miał Ofir już lat 120 i chodząc opierać się musiał na prawnukach) ekonomowie i włodarze jego złożyli mu rachunki z ostatnich zbiorów.

Było 20,000 owiec, 10,000 bydła, 4,000 wielbłądów, 3,000 niewolników, 500 osłów, 100,000 miar ryżu, 10,000 miar oliwy i nieprzebrane mnóstwo innych rzeczy. Każdy sykl [3]) wypożyczony przynosił bogaczowi sto syklów, a kto procentu nie płacił, stawał się jego niewolnikiem.

Kupcy z Zachodu, którzy u Ofira kupowali ryż, deski cedrowe i sierść zwierzęcą, zeznali pod przysięgą, że takiego jak on bogacza nie było jeszcze na ziemi.

I Ofir cieszył się. A gdy słońce zaszło, wsparty na prawnukach, poszedł spać do izby, która zamiast dachu miała szkarłatny namiot nad sobą.

Był to dla Ofira dzień wielki, lecz dla niewolników jak inne.

Gdy powiał gorący wiatr od południa i rozsunął makaty, bogacz widział zdaleka ognie, zapalone przy młynach, które stu mocno okutych niewolników obracało.

[1]) Jehowa — Bóg, stwórca i władca świata. [2]) Jaspis — rodzaj kwarcu zielonego. [3]) Sykl — moneta.

A jeżeli który ustał, albo chciał wody zaczerpnąć z kałuży dla zmoczenia warg spiekłych, włodarze siekli go tęgiemi batami od stóp do głowy. I całą noc słychać było w tamtej stronie turkot młynów, szczęk łańcuchów, chłostanie batami i wycie niewolników. Czasem tylko młyn nagle stawał, co było znakiem, że jaki niewolnik wyzionął ducha, a wtedy wagi jego zdejmowano z nieba.

Gdy powiał chłodniejszy wiatr od północy i rozsunął makaty, bogacz widział w tamtej stronie długi szereg jaskiń, gdzie spali niewolnicy. Stamtąd dolatywały go chrapania znużonych pracą, płacz matek i kwilenie niemowląt. Czasem który człowiek, przywalony innym, bo było ciasno w jaskiniach, zrywał się ze snu i wydobywał się nawierzch, a wtedy klęli go i potrącali inni, że im spać nie daje. Czasem spadł który w obrzydłą wilgoć i — topiąc się — ryczał. Innym złe robactwo zasnąć nie pozwalało, i ci siedząc rozmawiali o lepszych czasach.

Niekiedy na niebie ukazywały się nowe wagi, na których skarby wieczne i skarby doczesne stały w równej mierze. Wtedy Ofir wiedział, że mu przybywa jeden niewolnik. Rozpamiętując zaś, co widział i słyszał, rzekł do siebie, że wszystko jest dobrze.

Chciał się modlić za tyle dobrodziejstw i podniósł oczy ku niebu. Tam na złotym tronie siedział wielki Jehowa z obliczem spokojnem i patrzył daleko, daleko, aż gdzie błyskawice spojrzeń jego stwarzały nowe piętra nieskończoności i światy przeogromne.

Wtedy pomyślał Ofir:

— Co będzie, jeżeli Pan na mnie spojrzy? Czy pod Jego wzrokiem nie rozpadłaby się w proch ziemia cała?

Wtem zobaczył nad głową Wszechmocnego wagi z napisem: Wagi Ofira. Jeden ich talerz ze «skarbami wiecznemi» był tak lekki, że unosił się w górę aż tam, gdzie już nic nie było. Drugi talerz ze «skarbami do-

czesnemi» zdawał się wciąż pochylać nad zamyślonem czołem Stwórcy. Ile razy niewolnik jęknął, albo bat świsnął, albo kobieta zapłakała — tyle razy talerz «skarbów doczesnych» pochylał się mocniej, aż gięła się belka wagi.

Jeszcze chwila, a wagi Ofirowe potrącą Przedwiecznego.

Bogacz struchlał i uczuł straszny ból. Zdawało mu się, że najmocniej poraniony niewolnik, przysypany w swojej kałuży mrowiskiem robactwa — jest szczęśliwszy od niego w tej chwili.

A tymczasem młyn turkotał, dzwoniły łańcuchy, wyli ludzie, a wagi Ofirowe spadały wciąż niżej.

Na wschodzie ukazał się biały rąbek. Lecz słońce nie mogło wzejść nad ziemię z obawy, aby nie zobaczyć, jak Pana potrącą wagi bogacza. Drzewa stuliły liście, ptactwo upadło na ziemię, a dzikie zwierzęta kryły oblicza swoje w piasku pustyni.

Cały świat czekał na jakieś wielkie nieszczęście.

Wtedy Ofir szepnął zsiniałemi ustami:

— Całoroczny dochód mój oddaję niewolnikom!...

Na niebie waga drgnęła, i talerz skarbów doczesnych poszedł nieco w górę, choć daleko mu było do skarbów wiecznych.

Świat odetchnął, i pokazał się skrawek słońca.

Ofir zwołał ekonomów i kazał wszystkie roboty na dzień dzisiejszy wstrzymać, a potem sprowadzić niewolników do siebie.

Waga podniosła się znowu w górę.

Gdy przyszli zdziwieni i zatrwożeni niewolnicy, Ofir rzekł do nich:

— Będziecie wykąpani dziś w wodzie czystej, a rany wasze będą wytarte oliwą.

Wagi szły w górę.

— Zamiast świńskiej żołędzi jeść będziecie mąkę. Łańcuchy zdejmą z was i bić przestaną. Dostaniecie płótna dla siebie i żon waszych i po dwa sykle pieniędzy.

Wagi szły w górę.

Niewolnicy z początku milczeli z bojaźni, czy ich pan nie zwarjował? Ale gdy poczęto rozdawać im mąkę, oliwę, płótno i po dwa sykle pieniędzy, rozległ się okrzyk trzech tysięcy poranionych ludzi:

— Niech cię Bóg błogosławi!... Niech ci da szczęście!...

Wagi wciąż szły do równej miary, i już widać było talerz «skarbów wiecznych» — choć jeszcze bardzo wysoko.

Niewolnicy rozbiegli się do bliskiego miasteczka i poczęli kupować zabawki dla dzieci. Ten chwytał batożek, inny świstawkę glinianą, inny papierowego pajaca, albo grzechotkę.

Gdy zaś wrócili do swoich jaskiń, usłyszano rzecz niezwykłą. Oto zamiast płaczu niewiast i kwilenia niemowląt, rozległy się śmiechy, krzyki, świstania, strzelania z batożków i grzechotanie.

Waga «wiecznych skarbów» Ofira spadła nagle do równej miary, i bogacz stał się jak dziecię, które, przychodząc na świat, tyle posiada skarbów doczesnych, ile wiecznych.

Aż Jehowa, którego uszu dolatywały tylko płacz i skargi, usłyszawszy w ziemi Ofira śmiechy, błogosławieństwa, świstanie i grzechotanie dzieci — zadziwił się.

I oderwawszy wszechmocny wzrok swój od nieskończoności, w którą był zapatrzony, spojrzał na Ofira.

Starzec padł, jakby w niego sto gromów uderzyło, i już nie podniósł się. Duszę jego, niewinną jak dziecię, porwał wicher nadziemski i odniósł w odległą krainę,

gdzie Adam z Ewą zażywają wiekuistej młodości, i gdzie litościwy Abel tuli na własnej piersi łzami zalanego bratobójcę Kaina.

Bolesław Prus.

Co to znaczy?

45. Ksiądz definitor [1]).

O milę w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica, w ziemię schowana;
Krzyżyk się wznosił na facyjacie,
I człowiek Boży mieszkał w tej chacie:
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny.
Przybył z klasztoru w wioskowe progi
I wziął w opiekę kościół ubogi;
Wziął półwłócz gruntu — i na tej ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz, bywało, widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,
Czytając hymny z kart brewijarza [2]),
Bronuje zagon lub sieje zboże!
Dwa chromiejące kościelne dziady —
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,

---

[1]) Definitor — radca zakonny. [2]) Brewjarz — zbiór modlitw do codziennego nabożeństwa kapłańskiego.

A idąc, pacierz łaciński śpiewa.
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę:
— Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
Masz waszeć, bratku, prace domowe,
Ja sam chcę orać pole ojczyste!
I tak modlitwę szepcząc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, pożnie.
Na jego sznurach najlepiej rodzi,
Jego przekosów [1]) nie znosi woda:
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota
Jakby wyrocznię mieli kmiotkowie:
Drożyzna, pomór, pogoda, słota —
Ksiądz definitor zawsze przepowie.
I cóż dziwnego? Wszak jego oko
Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie:
Może mu nawet w samotnej celi
I święci Pańscy coś poszepnęli.
Kiedy śpiew starca zadrżał w kościele,
Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie,
Rzekłbyś: — Apostoł, kiedy w niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię,
Kiedy tłumaczył ze świętej księgi,
Jak to pokorny Zbawiciel świata
Składa majestat Bożej potęgi
I w ciele ludzkiem z człekiem się brata.
Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
Między grzeszniki siada do stołu

---

[1]) Przekosy — pokosy, rząd ściętej kosą trawy.

I daje siebie przybić do krzyża,
I składa ciało w człowieczym grobie:
Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
By nas uzacnił, podniósł ku sobie.
A u nas szlachcic — jasne wielmożę,
Rad, że mu herby dała ojczyzna,
Bóg został człekiem, a on nie może,
Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
Za jeden puhar starego wina
Głodna i chłodna chłopska rodzina
Na rokby miała chleba i soli.
Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy
Pany się waśnią, idą na noże:
Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
Bo nie dla niego honor człowieczy! [1])

Tak to bywało, głośno i śmiele
Ksiądz definitor gromił w kościele.
Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
Żadna nienawiść lub dzikość sroga:
W oczach — do braci prośba za braćmi,
Ale za ludźmi prośba do Boga.
Ani przeklina, ani się dąsa,
Lecz z płaczem przyszłość stawi przed oczy —
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.
A spowiedź jego — wieczna nauka!
Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakreśli,
Nim w trybunału kratkę zapuka,
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli,

[1]) Ksiądz definitor był z czasów saskich.

I tak przekona, i tak poruszy,
Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
A po spowiedzi długo, ach, długo
Będzie spokojne sumienie twoje,
Będziesz skwapliwy z bratnią posługą,
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
Wesołe serce — och, popamięta,
Że w niem złożona Hostyja święta!

Kiedy wieczorna szarzeje pora,
On pieszo zwiedzał pobliskie domy;
Zdala poznałeś definitora
Po kapeluszu z zielonej słomy.
Za cieniem wzniosłej, świętej postawy
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko,
Jak owca biały i kędzierzawy,
Pamiętam: S e r v u s jego nazwisko.
A ksiądz czeczotką [1]) kroki podpiera,
Idzie powoli i kwiatki zbiera.
On i w pałacu i w prostej chacie
Pomagał, radził, krzepił na duchu,
Z panem i chłopem za panie-bracie,
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

L. Kondratowicz.
poeta polski XIX w.

Jaki był ksiądz definitor? Opowiedz wszystko, co z tych wierszy wiesz o nim. Czego uczył własnym przykładem? Co znaczą wyrazy: definitor, brewjarz, przekosy, czeczotka (4 znaczenia)?

---

[1]) Czeczotka — 1) drewno z pnia brzozy, nierówne, sęczkowate, 2) kij z drzewa czeczotkowego, 3) gatunek pliszki, 4) papla.

46. Dobroczynność Piotra Skargi.

Za panowania Zygmunta III słynął w Polsce z wymowy kaznodzieja królewski, ksiądz Piotr Skarga. Cichy, skromny, pobożny, miłosierny, ojciec ubogich, którym rozdawał wszystkie swe dochody, był zarazem prorokiem, napominającym Polaków, wytykającym ich błędy, nawołującym naród do poprawy, jeżeli chce uniknąć sprawiedliwej kary.

Dopominał się zgody, miłości ojczyzny, zapomnienia o własnych interesach dla dobra kraju, sprawiedliwości dla uciśnionych i słabych.

Choć śmiało mówił prawdę, szanowali go wszyscy, i hojnie się sypały ofiary dla biednych na jego miłosierne ręce. Mimo to Skarga nigdy nie wystarczał dla wszystkich, którzy potrzebowali pomocy, odmawiał sobie nieraz najpotrzebniejszych rzeczy, byle dla biednych było.

Razu pewnego, jadąc do Krakowa, ujrzał w małem miasteczku zbiegowisko ludzi i dowiedział się, że sprzedają rzeczy biednego rzemieślnika, który się zadłużył z powodu choroby, a teraz nie ma czem zapłacić długu.

— Ile winien? — zapytał Skarga.

— Dziesięć dukatów — odpowiedziano.

Dukat była to złota moneta, wartości dwudziestu złotych.

Skarga pojechał dalej, ale skoro się oddalił, wyjął pieniądze, policzył, czy znajdzie jeszcze tyle, a ponieważ miał, kazał swojemu woźnicy zostawić go na wózku, powrócić z pieniędzmi i kupić pierwszy sprzęt za dziesięć dukatów.

Jakież było zdziwienie i radość rzemieślnika, gdy tym sposobem został ocalony od nędzy i mógł na nowo zabrać się do pracy dla swej licznej rodziny.

Kto był Piotr Skarga? Kiedy żył? Co po nim wielkiego zostało? Jakim był dla ubogich? Jakim był Polakiem? Co przepowiadał?

47. Ojczyzna.

Ojczyzna moja — to ta ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce i gdziem poznał Boga,
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.

Ojczyzna moja — to wioski i miasta,
Wśród pól zielonych sadzone od Piasta,
To rzeki, lasy i niwy, i łąki,
Gdzie pieśń nadziei śpiewają skowronki.

Ojczyzna moja — to praojców sława,
Szczerbiec Chrobrego, Cecorska buława,
To duch rycerski, szlachetny a męski,
To nasze wielkie zwycięstwa i klęski.

Ojczyzna moja — to te ciche pola,
Które od wieku zdeptała niewola,
To te kurhany, te smutne mogiły,
Co jej swobody obrońców przykryły.

Ojczyzna moja — to ten duch narodu,
Co żyje cudem wśród głodu i chłodu,
To ta nadzieja, co się w sercach kwieci,
Pracą u ojców, a piosnką u dzieci.

Jan Sawa.
(M. Konopnicka).

Co jest twoją ojczyzną? Gdzie leży twoja ojczyzna? Co o niej wiesz? Jakie jej części znasz? Coś jej winien?

48. Anielka.

I.

Anielka siedziała na niewielkiem wzgórzu i patrzyła na drogę. Za ogrodzeniem ciągnął się gościniec do miasteczka. Zdaleka widać było furę, otoczoną tumanem

kurzu, w którego kłębach iskrzyły się promienie słońca.

Bliżej, między konarami drzew, tuż naprzeciwko białych kominów dworu, była chata włościanina Gajdy, a przy niej dziewczynka w grubej koszuli.

Siedziała ona na ziemi i okruchami chleba karmiła spore prosiątko. Potem wzięła ciągle chrząkające prosię na kolana i bawiła się niem, jak pieskiem.

Na Anielkę szczególna ta grupa wywierała taki wpływ, jak magnes na żelazo. Zeskoczyła z ławki, zeszła ze wzgórza, ale po chwili zatrzymała się.

Gajdy, właściciela chaty, bardzo nie lubił ojciec Anielki; nie brano go nigdy na robotę do dworu, a że Gajda miał mało gruntu, więc często na terytorjach [1]) swego niegdyś pana dopuszczał się nadużyć.

Zniecierpliwiony dziedzic chciał już kupić grunt Gajdy, byle pozbyć się niewygodnego sąsiada, ale wieśniak nie słuchał podobnych propozycyj. Nie było prawie miesiąca, żeby Gajdzie nie zajęto krowy, konia albo świni. On wówczas chodził ze skargą do gminy [2]) i odbierał bydlę, albo je wykupywał. Dziedzic mówił, że Gajda płaci pieniędzmi, wziętemi za drzewo, kradzione w dworskich lasach.

Anielka wiele o tem słyszała, bała się Gajdy i nie lubiła jego chaty. Mimo to pociągał ją widok dziewczyny, bawiącej się z pogardzonem przez wszystkich prosiątkiem. Zdawało się Anielce, że dziecko musi być biedne i dobre, a zresztą — coś ciągnęło ją tam.

Odgarniając gałęzie krzaków, Anielka powoli zbliżała się do płota, zbudowanego nakształt palisady [3]). Był

---

[1]) Terytorjum — obręb ziemi, przestrzeń ziemi. [2]) Gmina — kilkanaście wiosek pod zarządem jednego wójta. [3]) Palisada — ostrokół, ogrodzenie z kołów, ostro zakończonych.

on stary, obrosły ciemnozielonym mchem i popielatym porostem. Co kilkanaście kroków stały tęgie, zaostrzone słupy, które, zmęczone długoletnią służbą, całym ciężarem chyliły się naprzód, albo wywracały wtył.

II.

Zapominając o swych trzynastu latach i stanowisku dziedziczki, Anielka przez jeden z szerszych otworów wydostała się na dziedziniec i podeszła do dziewczyny w grubej koszuli.

Ubogie dziecko w pierwszej chwili przestraszyło się ładnie ubranej panienki ze dworu. Otworzyło szeroko usta i podniosło się z ziemi, jakby chcąc uciekać. Wtedy Anielka wydobyła sucharek z kieszeni i ukazując go dziewczynce, zawołała:

— Nie bój się mnie, ja ci przecież nic złego nie zrobię. Widzisz, com dla ciebie przyniosła! Pokosztuj to!

I włożyła dziecku do ust kawałek lukrowanego ciasta. Dziewczyna zjadła, nie spuszczając z Anielki zdziwionych oczu.

— Masz jeszcze. Smakuje ci? co?

— Dobre! — odpowiedziało dziecko.

Anielka usiadła na przewróconym pniu, obok niej przykucnęła na piasku dziewczynka.

— Jak ci na imię? — spytała, głaszcząc dziecko po jasnożółtawych włosach.

— Magda.

— Masz, Magdziu, jeszcze sucharek. A to prosię czy twoje? — dodała, patrząc na prosiaka, którego Karuś chciał za ogon schwytać, i który odwrócił się do niego ryjem, pokwikując w sposób, okazujący mało ufności.

— Tatulowe — odparła już nieco ośmielona dziewczyna. — Żeby go choć pies nie zagryzł.

— Karusek, do nogi... — To ty zawsze bawisz się z prosiątkiem?

— A juści. Jałoszka urosła, a Kaśka tego roku umarła... Malu! malu!... I on woli być ze mną, bo także nie ma z kim chodzić. Maciorę dziedzic kazali zastrzelić, a drobiazg tatulo sprzedali. Ino ten ostał.

— A za co maciorę zastrzelili?

— Bo ją zdybał dziedzic w szkodzie.

— A wyście tylko jedną mieli?

— A skądby więcej? Tatulo przecie chłop, to u nas dobytku nie może być wiele...

To mówiąc, głaskała prosiaka, który położył się obok niej.

— I bardzo ci było żal maciory?

— O, i jak! A jeszcze lepiej, kiej mnie tatuś zbili...

— Zbił cię?

— I, nie tak zbili, ino mnie wzięli za łeb i kopnęli parę razy nogą.

Dziecko opowiadało to spokojnie. Anielka aż pobladła. Zdawało jej się, że Karusek został zabity, i że ją samą skatowano tak okrutnie. Uczuła potrzebę wynagrodzenia tylu krzywd biednej, ale czem? Gdyby miała majątek, podarowałaby jej maciorę, sprawiła piękną sukienkę, — lecz dziś... cóż jej da?

Wtedy spostrzegła, że Magda pilnie przypatruje się szafirowej wstążeczce, którą miała na szyi. Nie namyślając się więc, zdjęła szybko wstążkę i zawiązała ją przy koszuli małej.

— Teraz będziesz ubrana tak, jak ja — rzekła.

Magda roześmiała się na cały głos, wyobrażając sobie, że już posiada nietylko szafirową wstążkę, lecz i różową sukienkę, białe pończochy i wysokie buciki.

— A to jeszcze sobie zjedz — mówiła Anielka, dając jej drugi sucharek.

— Zjem aż jutro, bo to słodkie.

— A za to, że cię zbili...

Ucałowała ją.

Pocałunek przecie, który Anielka uważała za najwyższą nagrodę, najmniej oddziałał na Magdę. Ściskała ona sucharek i co chwila spoglądała na szafirową wstążkę, myśląc, że jest całkiem podobna do wielkiej damy.

III.

Za konie, złapane w szkodzie, musiał Gajda zapłacić dziedzicowi trzy ruble. Odchodząc, groził pięścią i zaklinał się, że porachuje kości swojej dziewczynie.

Anielka słuchała tego z przerażeniem.

— Porachuje kości swojej dziewczynie! — powtórzyła, i dreszcz ją przebiegł. — Biedna Magda.

Myśląc o losie Magdy, nie mogła się uspokoić. Chciała ją ratować, ale jak?

Na prawo od ganku, za inspektami [1]), leżały budowle gospodarskie — stodoły, obory i stajnie. Tam poszedł Gajda z fornalem po swoje konie. Za parę minut wróci do domu i zacznie bić Magdę.

Anielka okrążyła dwór, skręciła na lewo za inspekta i pobiegła do płotu, ciągnącego się naprzeciw stajni aż do gościńca. Tu się zatrzymała, czekając na Gajdę, równie zatrwożona mającą nastąpić z nim rozmową, jak losem Magdy, jak wreszcie i tem, żeby jej samej nie spostrzegł ojciec.

Usłyszała powolny tętent kopyt i ciężkie kroki chłopa. W tej części płotu jedna ze sztachet była zła-

---

[1]) Inspekta — zagon w ogrodzie, opatrzony pokryciem ze szkła.

mana. Anielka odsunęła ją, przeszła rów pełen pokrzyw, które jej ręce i nogi poparzyły, i zabiegła drogę Gajdzie.

Chłop, ujrzawszy ją, zatrzymał się i popatrzył ponuro na zbladłą twarz i bojaźliwe, szafirowe oczy pańskiego dziecka.

— Gospodarzu — rzekła Anielka ledwie dosłyszalnym głosem.

— Czego? — spytał krótko.

— Gospodarzu, prawda, że wy nie będziecie bili Magdy?

Chłop aż się cofnął.

— Posłuchajcie mnie, proszę was!... Ona taka mała, czy mogła utrzymać takie wielkie konie? Ona jest taka — o... mnie po ramię... Widzieliście wy jej ręce? Cóż ona poradzić mogła koniom takiemi rękoma? I pewnie bała się ich jeszcze... Ja, gdyby mi koń uciekł, płakałabym tylko... Ona może goniła je, ale... gdyby ją który uderzył kopytem, pewnieby ją zabił...

Na twarzy chłopa malowało się zdziwienie, graniczące z przestrachem. Z oczu, głosu, każdego ruchu Anielki biła taka potęga uczucia, że groźny olbrzym widział się wobec niej małym.

— O, nie bijcie jej! — mówiła Anielka, składając ręce. — Wy jesteście tacy silni, a ona taka słaba... Gdybyście ją mocniej schwycili, moglibyście udusić... Żebyście wiedzieli, jak ona boi się teraz!... Pewnie siedzi w oknie i słucha, czy nie nadchodzicie... Musi płakać i trząść się... bo cóż ona poradzi? Konie zawiniły, a ją bić mają... Za co?

— Anielko! Anielko! — odezwał się głos z ogrodu.

Anielka na chwilę umilkła. Z rozpaczą niemal obejrzała się dokoła, a potem, jakby szczęśliwą myślą na-

tchniona, szybkim ruchem wydobyła z poza gorsu złoty medaljonik i zdjęła go z szyi.

— Patrzcie, Gajdo. Ta Matka Boska jest złota i poświęcona w Rzymie. Dostałam ją od mamy... Kosztuje bardzo dużo... więcej niż 3 ruble. Dała mi ją mama i kazała przez całe życie nosić... Ale macie ją, byleście nic złego nie zrobili Magdzie!

Dziewczynka, trzymająca taką świętość w ręku, urosła w oczach chłopa do znaczenia księdza, trzymającego Hostję. Zdjął czapkę i bardzo wzruszony, przemówił:

— Schowaj se panienka ten obrazik przenajświętszy. Ja tam nie Żyd, żebym takiemi rzeczami handlował.

— A nie będziecie bili Magdy?

— Niech mnie Bóg broni! — rzekł, uderzając się w piersi.

— I nigdy?

— Już nigdy nie będę bił małych dzieci, boby chyba Pan Bóg jaką karę na mnie zesłał.

— Anielko! Anielko!

— No, to bądźcie zdrowi! Dziękuję wam!

I cofając się do płotu, przesłała mu pocałunek ręką.

Chłop stał, patrzył na nią i słuchał ostatniego szelestu. Potem przeżegnał się i zaczął pacierz mówić. Chwila ta cofnęła go we wspomnieniach aż do pierwszej spowiedzi. Serce mu prędko biło. Gdyby widział cud, nie byłby więcej zmieszany.

Potem zaczął iść wolno, ze spuszczoną głową, i znikł na zakręcie, trzymając wciąż czapkę w ręku.

B. Prus.

Jaka była Anielka? Co to znaczy: «Kto wiatr sieje, burzę zbiera»? Jak nazwiesz tego rodzaju utwór?

49. Pod Twoją strażą.

Listopadowe, posępne noce:
Wiatr za oknami drzewem szamoce,
Jak grochem bębni deszcz w okienice,
Ani psa wygnać na tę ciemnicę...

Przed Matką Boską w pokoju dzieci
Oliwna lampka, mrugając, świeci,
W blasku jej twarz się promieni święta,
Szramami dwiema naskos przecięta...

Cicha tu łaska się rozprzestrzenia,
Równe oddechy, senne marzenia,
Łóżeczka białe pod ścianą stoją,
O, Matko Boża, pod strażą Twoją...

Wicher w zaparte uderza wrota,
Zły duch nad domem skrzydłem łopota —
A tutaj cisza, słodycz i spokój
W ramiona wzięły dziecięcy pokój.

Zdzisław Dębicki.

50. Dwór wiejski.

...Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów,

Orzących wcześnie łany ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze, nakształt ogrodowych grządek,
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama nawściąż otwarta, przechodniom ogłasza,
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.
Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek,
I obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu, konie, porzucone same
Szczypiąc trawę, ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto, bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział, bo w dalekiem mieście
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne;
Te same widzi sprzęty, też same obicia,
Z któremi się zabawiać lubił od powicia,
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdały,
I też same portrety na ścianach wisiały:
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan, żałosny po wolności stracie;
W ręku trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon [1]) i żywot Katona [2]).

---

[1]) Fedon — tytuł dzieła filozofa greckiego, Platona, o nieśmiertelności duszy. [2]) Kato — Rzymianin dzielnego charakteru i nieskażonej cnoty.

Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny;
Stoją na szańcach Pragi, na stosach Moskali,
Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali.
Nawet stary, stojący zegar kurantowy [1])
W drewnianej szafie poznał u wnijścia alkowy
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Adam Mickiewicz.

Kto był Rejtan? Jasiński?

Objaśnij wyrazy: ruczaj, chędogi, nawściąż, oburącz.

Opisz dwór wiejski, jaki znasz. Czem się dwór różni od chaty? Czem się różni od pałacu lub zamku? Czy pałac i zamek to jedno i to samo?

Objaśnij przysłowie: «Pszczoła, owca i pszenica — bogaciła dawniej szlachcica».

51. Izba wiejska.

I.

Izba Łuczyny jest duża i czysta. Łuczyna lubi porządek, bo wie, że on i ubóstwo przyozdobić może. Coraz to przyniesie w ceberku wapna i oblepi komin i ściany; czasem nawet coś nie coś się z tego dostanie poczerniałym belkom pułapu. Drzwi od izby zbite są z desek sosnowych. Kiedy słońce zabłyśnie na wschodzie, to smolne szpary i sęki przeświecają jakby szczerem złotem.

A tuż zaraz odzywa się jaskółka, która w sionce nade drzwiami ulepiła gniazdko i świergotem swoim budzi Małgosię, najstarszą córkę Łuczyny.

U drzwi nazewnątrz jest skobel żelazny, a przy nim na sznurku drewniana przetyczka. Kiedy Łuczyna

[1]) Zegar grający.

z Małgosią w pole na robotę idzie, a Jędruś i Kasia, dwoje młodszych dzieci, pasą graniastą krowę na ugorze, to skobelek zatyka się przetyczką, żeby do izby nie wchodziły prosięta. W kącie przy drzwiach stoi duża, brzozowa miotła, którą Łuczyna codzień chędogo wymiata izbę. W izbie niema podłogi z desek, tylko ubita mocno glina; taka podłoga z gliny nazywa się boisko. W boisku pod ścianą, w najciemniejszym kątku, jest otwór, którym ze swej jamki wysuwają się na izbę białe, puszyste króliki. Jak tylko zobaczy to Jędruś, zaraz je do siebie zwołuje i daje im to listków kapusty, to listków sałaty, to ziemniaków trochę. Jędruś bardzo się w królikach lubuje i wychował już sporą ich gromadkę. Jak nachowa ich więcej, to sprzeda i kupi sobie bucięta na zimę, bo matce ciężko wszystkiemu zaradzić.

Obok miotły stoją w kącie grabie, rydel i motyka. Narzędziami temi uprawia Łuczyna swój mały, zarosły wiśniami ogródek, w którym, oprócz zagonków kopru, buraków, bobu i sałaty, widać zbite w kupkę pod okienkiem różowe malwy i żółte nogietki. Okienko ma szybki drobne i oddawna przepalone słońcem; śnieg je zasypuje zimą, a w lecie brzęczą po niem uprzykrzone muchy.

II.

Znaczną część izby zajmuje wielki, rozłożystym okapem [1]) opatrzony komin. Wczesnym rankiem, w południe i przed wieczorem rozpala Łuczyna wesoły, od suchego chróstu trzaskający ogień i gotuje przy nim to groch i kapustę, to barszcz z żytniej mąki, do którego czasem buraka dorzuci, to zacierkę, to kaszę tatarczaną albo jaglaną, to nawet niekiedy, przy dużem święcie,

[1]) Okap — rodzaj dachu wmurowanego nad kominem.

siaki taki kawałek mięsa, ale najczęściej, bo trzy razy na dzień, gotuje Łuczyna ziemniaki. Ziemniaki bywają albo skrobane, albo w mundurach, czasem do kapusty, a nieraz do barszczu albo polewki, czasem do kwaśnego mleka, a na przednówku, kiedy w chacie bieda, to wprost tak gołe z solą.

Z prawej strony komina stoi na trzech wysokich nogach tak zwany «miśnik». Łuczyna zmywa w nim miski, garnki i łyżki. Nad miśnikiem przeciągnięty jest po ścianie sznurek, za którym sterczą pozatykane pokrywki. Nad sznurkiem przybite są dwie police. Na górnej, większej, stoją oparte o ścianę miski i rynki. Niższa i węższa powyrzynana jest z brzegu w rowki, w których tkwią blaszane i drewniane łyżki i warząchwie.

Z lewej strony komina stoją dwie konewki i kubełek z wodą; nad kubełkiem wisi na ścianie drewniana czerpaczka do picia. Na szerokim okapie stoi sól w drewnianej solniczce, leży nożyk żelazny do szatkowania kapusty i skrobaczka do skrobania kartofli. Wszystkie te statki Łuczyna pięknie co sobota piaskiem u studni szoruje, tak że zawsze wyglądają jak nowe. Zaraz za konwiami stoją żarna. Jest to płytko wyżłobiona ciężka dębowa kłoda, w której otworze obraca się duży płaski kamień, osadzony na ruchomym drągu. Na tych żarnach miele Łuczyna mąkę dla dzieci i robi kaszę. Twardy to chleb i w pocie czoła zdobyty.

III.

Za żarnami stoi na czterech cegłach ustawiona skrzynia. W skrzyni przechowuje Łuczyna swój nowy, w domu utkany wełniak, piękną kraciastą chustkę, fartuch zielony, watowany kaftan, trzewiki i wełniane zimowe pończochy. W półskrzynku leżą zwinięte w szmatę

dwa sznurki korali po matce i kilkanaście groszaków za jajka od siemieniatej kokoszy. Odzież Małgosi i Jędrka wisi na kołku nad skrzynią; mała Kasia przez lato tylko w koszulinie chodzi, dopiero na zimę kupi jej matka jaką taką katankę cieplejszą, tylko uskłada pieniędzy za masło. Wie o tem Kasia i pilnie pasie Granulę, żeby aby więcej mleka na masło owo dała.

Wprost okienka stoi łóżko, na którem sypia Łuczyna. Wysłane jest ono prostą żytnią słomą i grubą lnianą płachtą, na której leży pierzyna i dwie kraciaste poduszki. Pod pierzyną tulą się przez całą zimę przy matce Kasia i Małgosia. Latem śpią dziewczęta na drugiem, tylko słomą i płachtą zasłanem łóżku. Jędruś już wtedy wynosi się z izby do stodółki na siano, i dopiero gdy św. Marcin przyjedzie na białym koniu [1]) i zimnem przestraszy, wraca chłopak na szeroki zapiecek, gdzie mu tylko z pod sukmanki nos widać.

Nad łóżkami wiszą oprawne za szkło obrazy: Matka Boska Częstochowska, św. Józef z lilją w ręku, św. Antoni z Dzieciątkiem Jezus i św. Barbara. Obrazy te stroją dziewczęta w kwiaty i pachnące ziółka. Czasem to i Jędruś zatknie za ramę pawie piórko, gdy je gdzie znajdzie, przechodząc mimo dworskiego podwórka. Tuż przy łóżku stoi zydelek, a przed nim kołowrotek z nawiniętą lnem miękkim przęślicą. Na tym kołowrotku przędzie Łuczyna przez zimowe wieczory i «doświtki», nim to jeszcze późny dzień zimowy na dobre się rozwidni. Za belką zatknięte motowidło i drążek, na którym wisi przędza, pięknie w pasma pomotana. Cały kąt pomiędzy łóżkami a stojącą pod okienkiem ławą, przed którą stoi prosty, wąski stół, zajmuje tkacki warsztat domowy. Kiedy jesienią roboty w polu i w ogródku skoń-

---

[1]) 11 listopada.

czone, rozsnuwa na tym warsztacie Łuczyna zeszłoroczną przędzę i tka płótno. To cieńsze na sprzedaż do miasta albo do dworu, a to grubsze, «paczesne», na koszule dla siebie i dla dzieci. Z najgrubszego, które się «zgrzebne» zowie, szyją potem worki i płachty.

W takiej to izbie mija dzień po dniu pracowite i pełne trudu życie wieśniacze. Dużo w niem troski, mało chleba i pociechy skąpo.

M. Konopnicka.

Czy byłeś w chacie wiejskiej? Czy umiałbyś nazwać sprzęty, jakie się w niej znajdują? Czy wszystkie chaty są jednakowe? Opisz chatę wiejską, jaką sam widziałeś. Porównaj pożywienie włościanina i swoje: które jest posilniejsze? A kto więcej pracuje?

Co to jest pułap, boisko, okap, warząchew, rynka?

52. Wiochna.

Już słoneczko powstało
I przegląda się w rzece,
Oj, na rosę, na białą
Polecęż ja, polecę!
Jak to z brzozy płaczącej,
Co wyrosła nad rzeką,
Krople rosy świecącej
Zwieszają się i cieką!
Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworzc,
Jakie czyste potoki!
O, mój Boże! mój Boże!
Jaskółeczka przed bramą
Wciąż uwija się wkółko;
Ja nie jestem jaskółką,
A potrafię tak samo.

Teraz matki się boję,
Lecz niech ogień rozniccę,
Niechno krówkę wydoję,
Polecęż ja, polecę!
Jak to dobrze Bóg zrobił,
Że ten piękny świat stworzył,
Tak go ślicznie ozdobił,
Tyle kwiecia namnożył.
I że dał mi braciszka,
Z którym codzień się pieszczę.
Pójdę cicho jak myszka,
Zajrzeć, czy też śpi jeszcze?
Śpi w kolebce, więc dalej,
Prędko ognia trza skrzesać,
Jak się ogień rozpali,
Pójdę włosy uczesać.

Oj, robotaż to nudna,
Te warkocze do ziemi,
Plątanina, och, żmudna
Tak tam bawić się z niemi.
Kiedy mówią o oczach,
W których ja nic nie widzę,
I o moich warkoczach,
To się tylko nawstydzę.
Skarżą się też, mój Boże,
Że mam oczy uroczne —
Może prawda — a może...
Ale cóż ja z tem pocznę?
Mateńka mi powiada,
Że ja wcale nie rosnę.
Niechno tylko popada
Ciepły deszczyk na wiosnę,
Niech ja na deszcz wysko-
[czę
A dobrze się przemoczę,
To nim skończy się burza,
Już urosnę tak duża!
Pająk przędzie, oj prze-
[dzie
Swoje szare włókienko —
I ja umiem tak cienko,
I moje też tak będzie.
Bo ja przecież coś umiem:
Kądziel przędę i pielę,
I na książce rozumiem,
I zaśpiewam w kościele.
Jakem raz na święcone
Ulepiła baranka,
Co miał wełnę kręconą
I klęczące kolanka,
To się bardzo dziwiono,
Bo tak siedział, jak żywy,
Jak baranek prawdziwy
Z chorągiewką czerwoną.
Jak zrobiłam w Trzy Króle
Świętą Pannę i Syna,
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule,
I z liliją staruszka,
I z lirenką pastuszka —
To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lecieli,
I za głowy się brali,
Matce wierzyć nie chcieli!
A gaiki, a wianki
W listki srebrne i złote,
Jakie chcecie równianki
Jak najpiękniej uplotę.
Kwiatki lubię ogniście:
Boże drzewko, lilije
I to, co tak na liście
I na prątki się wije.
Oj, niedobra to córka,
Co się próżno zabawia,
Dalejże do podwórka,
Trzeba ciągnąć żórawia!
Oj, da — dana! — A cicho!
Matka będzie się gniewać,
Podkusiło mię licho,
Chciałam sobie zaśpiewać.
Idzie w górę wiaderko,
Z boku woda się leje;
Spojrzę w wody lusterko —
W niem ja druga się śmieję.

Jak też to tam głęboko,
Nim się wiadro zabrodzi.
To aż wzdryga się oko,
Aż mię zimno przechodzi!
Nie spotka mię nic złego —
Choć nad studnią tak stoję,
Nie boję się niczego,
Oho! prawda — nie boję!
Najprzód straszą mnie bąki,
Co latają w ogrodzie,
Żółte osy z nad łąki
I jałówka, co bodzie.
Potem boję się tęczy
Na wilgotnym obłoku,
Choć się do mnie tak wdzię-
Pijąc wodę z potoku. [czy,
Bo ta tęcza świecąca,
Gdybym poszła—broń Boże!
Z ziemi unieść mię może
Do białego miesiąca.
Wreszcie straszą mię grzmoty
I piorunów trzaskania,
Kiedy niebios blask złoty
Tak się strasznie odsłania.
Lecz w kościele nie czuję
By najmniejszej bojaźni —
Mnie tam radość przejmuje,
W sercu jeszcze mi raźniej,
Tak mi rzeźwo, wesoło,
Jak u matki w chałupie;
Ludzie szepczą wokoło:
— Ot, cieszy się, bo głupie!
A co mi tam, niech sobie,
Mnie ogarnia myśl błoga.
Co ja robię? Co robię?...
Raduję się do Boga.
Kiedyć może skowronek,
Wylatując nad kłosy,
Jak świt tylko, jak dzionek,
Trzepotać się w niebiosy,
To i mnie nikt nie wzbroni
Przed ołtarza jasnością
Złożyć oto tak dłoni
I spoglądać z radością!
U spowiedzi gdym była,
Ksiądz, co ludzi spowiada,
Mówił, gdybym zgrzeszyła,
Że pokutę mi zada.
Więc umyślnie dlatego
Dziś zgrzeszyłam od rana:
Na stół miodu złotego
Usączyłam ze dzbana.
Niechże zada raz przecie,
Bobym sobie myślała:
Otóż żyłam na świecie,
A pokutym nie znała.
Jako ptaszek na roli
Prześpiewałam dni płoche
I nie znałam niedoli...
Oj, znam ci ją, znam trochę...
Już trzy razy płakałam,
I serdecznie, mój Boże!
Raz — gdy babka skonała
W tej tam ciemnej komorze -
A drugi raz — gdy w nocy
Ludzie po wsi biegali,
Krzycząc nagwałt pomocy,
Że kościołek się pali!

A trzeci raz, gdy w progu
Stanął dziadek pochyły,
Taki oto ubogi,
Ale dobry i miły.
I piosenka zabrzmiała
O tułaczu, niewoli —
Wtedym bardzo płakała,
Bo mnie zaraz tu boli.
Całowałam go w rękę:
— Nie smućcie się, dziadulu!

A łzy żalu i bólu
Upadły mu w lirenkę.
Z za mgły słonko powstało,
Wronka kracze na roli,
Nie wiem, co mi się stało:
Coś mnie smuci, coś boli!...
To chciałabym zapłakać,
To mię pusta myśl łechce,
Weselić się i skakać —
I chciałabym i nie chcę...

T. Lenartowicz.

Porównaj Anielkę i Wiochnę. Czy znasz bliżej jaką wiejską dziewczynę? Co wiesz o niej? Czy to jest poezja czy proza? Czy znasz jaki inny wiersz Lenartowicza?

53. Woda i wino.

Przymawiało jednego razu wino wodzie:
— Ja panom, a ty chłopom służysz ku wygodzie.
— Nie piłoby cię państwo — rzecze woda skromnie —
Gdyby chłop nie dał na cię, co chodzi pić do mnie.

I. Krasicki.

Jak to rozumieć?

54. Co Kurta robił w podwórku.

I.

Pan Kurta miał w podwórku niemało roboty, za dużo nawet jak na psa o trzech tylko nogach, bo czwartą już dawno postradał w jakiejś wojennej przeprawie.

Zaledwie z rana pan Pietuch Pietusiński, czerwony kogut z drugiego podwórka, krzyknął mu przez płot: — Dzień dobry, sąsiedzie! — zrywał się zaraz Kurta, biegł do sionki i łapą we drzwi skrobał, póki gospodyni

po wodę z wiadrem nie wyszła. Skakał wtedy koło niej pan Kurta wesoło, bo wiedział, że ta woda — to na barszcz, na śniadanie, i że jak się gospodarze najedzą, to mu też resztkę dadzą.

Ale do tego śniadania to jeszcze daleko. Gospodyni wodę do chaty wniosła, skopek wypłókała, wzięła stołek i poszła do obórki krowę doić. Pan Kurta wie, że tam niepotrzebny, mógłby jeszcze mleko wylać. Nie idzie więc do obórki, tylko się uwija koło gospodarza, który kosę na progu chaty klepie i wybiera się kosić łąkę. Słonko wzeszło pogodnie, rosa aż pachnie z pola, skowronki w powietrzu dzwonią, jak te dzwoneczki Boże. Gospodarz rad z takiego złotego dzionka, tylko sobie pogwizduje, a pan Kurta ogonem macha i także się raduje, choć sam nie wie czego.

— Pamiętaj, Kurta — mówi gospodarz — żebyś mi tu domu upilnował, jak gospodyni poniesie w pole śniadanie albo obiad. Niech cię Bóg broni, żebyś tu jakiej szkody dopuścił; miałbyś ze mną sprawę!

Pan Kurta wie, że sprawa z gospodarzem niebardzo bezpieczna dla jego grzbietu, podwinął tylko ogon i łasi się i naszczekuje zcicha, jakby mówił: — Już tylko wy się nie bójcie, gospodarzu, już tu wszystko będzie dobrze.

II.

Wyleciały z gniazda jaskółki na świat Boży, a z izby wyszedł Maciuś i dalejże do Kurty:

— A mój Kurta! a moje psisko! A cóżeś ty w nocy robił?

Tu mój Kurta opowiada, jak umie, a wtem już gospodyni od doju wraca. Zaraz też Maciuś krajką się podpasuje, bierze w rękę okropne biczysko i krówkę w pole wygania. Za krową pędzi cielak, zadarłszy ogo-

na. Pan Kurta wskok za nim. Wiadome rzeczy: cielę głupie, w szkodę wpaść może, a i krowa też rada skubnąć, co nie dla niej: rozsadę [1]) albo co. Więc Maciuś biczem śmiga, a Kurta zagania to od prawej, to od lewej strony, aż ich wszystko troje szczęśliwie za wrota wyprawił. Okropnie się przytem naszczekał i zmęczył, więc wpadł do chaty i siadł sobie na dwóch łapach przed kominem, gdzie gospodyni właśnie gotowała śniadanie. Woda wre, kipi, mój Kurta tylko macha ogonem z uciechy; wtem mała Maryś odetchnęła i zapłakała w kołysce. Pan Kurta niezmiernie lubi małą Marysię, zrywa się tedy od komina i sztykut, sztykut, biegnie do kąta, gdzie kołyska stoi, łeb na nią zakłada i Marysiną buzię czerwonym językiem liźnie raz i drugi. Jak tylko Maryś Kurtę zobaczyła, zaraz się roześmiała; a tu już gospodyni barszcz dymiący na miskę wylewa, dwojaki szykuje, jedne dla gospodarza, drugie dla Maciusia, sama też podjadła, do reszty trochę wody dolała i zawołała: — Na tu, Kurta, na!

Pan Kurta nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Skoczył tedy do misy, łeb w niej zanurzył i chlap, chlap! chlap, chlap! wychłeptał wszystko doczysta, a resztę dobrze wylizał. Gospodyni tymczasem małą Marysię nakarmiła, umyła, włoski jej zaczesała, koszulkę czystą włożyła i posadziła ją na piasku przed chałupą. A tu już kury gdaczą w komórce, wypuścić je trzeba; poszła gospodyni do komórki zobaczyć, czy która kokoszka jajka nie zniosła. Zaledwie drzwi otworzyła, wszystkie kury z okrutnem gdakaniem i trzepotem wyleciały na podwórko, ponad głową, ponad płotem, gdzie! kto je tam dogoni! A mój Kurta za niemi! Kury gdaczą, Kurta szczeka, niby to je

---

[1]) Rozsada — to znaczy kapusta gęsto zasiana, którą się potem rozsadza rzadziej.

zagania, a jeszcze bardziej płoszy, gospodyni krzyczy: — Kurta tu! Kurta na! Do nogi, Kurta, tu!

Wszystko na nic! jak zaczął gonić jarzębatą kokoszkę, tak jej wyrwał dwa pióra z ogona i dopiero wtedy się uspokoił, zgrzany, zziajany i z wywieszonym językiem.

Więc gospodyni raz i drugi przez łeb go trzepnęła, ale niewiele, bo jej było pilno nieść w pole śniadanie. Wzięła dwojaki, Kurta na nią miłosiernie patrzy, radby też w pole razem...

Ale gospodyni nogą tupnęła: — A leżeć! — Więc się zaraz przy Marysi położył, bo wiedział, że to jego rzecz dziecka pilnować, kiedy starsi w polu.

III.

Skrzypnęła furtka, gospodyni wyszła; Marysia w piasku grzebie się jak ten wróbel, a Kurta muchy łapie, ale nic złapać nie może. Co mu która mucha na nosie usiądzie, to on kłap pyskiem, a moja mucha już gdzie... daleko!...

Aż mu się to sprzykrzyło, więc się wyciągnął i chrapnął sobie. Tak chrapał, że nie słyszał nawet, jak Marysia płakać zaczęła. Płacze Marysia, a tu gospodyni do domu wraca. Usłyszała głos dziecka i zdaleka już woła:

— Co ci to, Maryś, co? cichoj, córeczko, cichoj!

Zerwał się Kurta, jakby nigdy nic, i raduje się, a ogonem macha i w oczy gospodyni patrzy, właśnie jakby mówił: — A to czysta bieda z temi dziećmi, proszę pani gospodyni! Co się tutaj Marysi nie nabawiłem, nie naperswadowałem, i to wszystko na nic! Maże się to, maże, sama nie wie czego. — A o tem, że spał, ani piśnie. Nakarmiła gospodyni Marysię, uśpiła, ugotowała obiad,

zjadła, statki pomyła, Kurcie też zacierek z serwatką dała. Mój Kurta jakby jeszcze nic dziś w pysku nie miał, chlap, chlap! wychłeptał i wylizał wszystko doczysta. Przygotowała gospodyni znów dwojaki i niesie obiad w pole, a Kurcie przykazuje: -- Pamiętaj, Kurta, żebyś chałupy pilnował. Niech ręka Boska broni, żeby się tu co stać miało!

Pan Kurta ogonem macha, podskakuje, zupełnie jakby obiecywał, że wszystko będzie dobrze; a kiedy gospodyni na skobel izbę zamknęła, położył się na progu i warczy.

— Będę warczał, myśli sobie, to jak tu przyjdzie dziad jaki, albo kto, to sobie pomyśli: — To jakieś zjadliwe psisko! — i pójdzie dalej. — Warczy więc, nogi pod siebie podkulił, żeby nie widać było, że ma tylko trzy, boby go się może nie bali. A tu słonko przygrzewa silnie, a drogą co wóz przejedzie, to kurzawa taka powstaje, że strach. Zdala, zdaleka słychać klepanie kos, i stukot grabi, i głos Maciusia, jak zawodzi na pastwisku: — Dana, oj, dana! — I tak to wszystko jakoś razem zmorzyło pana Kurtę, że warczał coraz ciszej, aż nareszcie westchnął, ogon pod siebie podwinął i znów chrapnął. Aż furtka skrzyp, skrzyp... wszedł dziadek siwy, żebrzący, z sakwami na plecach i koszturem w ręku. Wszedł i od furtki zaraz się odzywa: — Niech będzie pochwalony! — A mój Kurta jak nie skoczy, jak się na dziadka nie porwie, jak nie zacznie ujadać: ham, ham! ham, ham! aż ochrypł. A co go najbardziej gniewało, to że dziadek nic sobie jakoś z tego szczekania nie robi, tylko się zwolna koszturem opędza, a pacierz sobie mówi. Już głosu z siebie Kurta dobyć nie mógł, tak się zmordował, kiedy gospodyni nareszcie wróciła z pola. Jak zobaczyła dziadka, tak zaraz na Kurtę: — A cicho! a leżeć! do nogi! a nie rusz! — Uspokoił się Kurta nieco i pod próg leżeć

poszedł. Ale co spojrzał na dziada, to się w nim jeszcze gotowało ze złości, i coraz to warknął i zęby pokazał.

IV.

Leży sobie Kurta i zęby pokazuje, aż tu wieprzak wyrwał się z chlewa. Gospodyni za nim: — A do chlewa! A do chlewa! A ciu! — Zerwał się Kurta i dalej za wieprzakiem. Co prawda, niebardzo mu się chciało tak uganiać, bo się z tym dziadem okrutnie zmordował, ale bał się gospodyni. Mogłaby mu kartofli na wieczór nie dać, i dopieroby było! A gospodyni jak na złość woła: — Nuż go, Kurta! — niby tego wieprzka. Mój wieprzak w ogród — Kurta za nim; tylko smyrgnął przez płot, zaleciał z prawej strony, wieprzak w lewo; zaleciał z lewej — wieprzak w prawo. Oj, namęczył się niemało, zanim go nareszcie przy pomocy gospodyni z ogrodu wypłoszył i do chlewka zapędził.

Dopadł potem do studni i z koryta wody się napił, a potem pod gruszę, co na podwórku rosła, na trawę się rzucił i dyszał, wywiesiwszy język. Właśnie i słońce zniżać się poczęło. Od pastwisk, od boru słychać klaskanie biczów i poryk wracającego bydła, gospodyni nawoływała swoje kokosze na grzędę, wieprzak krząkał przy pełnem korycie, a siwy dym ulatywał z białego komina, bo już się warzyła wieczerza.

Słuchał tego i patrzył na to Kurta, bijąc lekko ogonem o ziemię, aż gdy usłyszał Maciusiowe granie na fujarce, skoczył, żeby mu pomóc zapędzić krówkę do obory. A nie tak krowę, jak cielę, bo krówka zawsze sama do obory szła, a cielęciu to się coraz zachciewało gdzieś bieżeć. Więc Maciuś za niem, za Maciusiem Kurta, a cielę bryka! Byliby tak wkółko do północka biegali, ale że gospodarz nadszedł z kosą na ramieniu i cielęciu drogę

zastąpił, więc je już potem łatwo Maciuś do obórki nawrócił.

Gospodarzowi od dziennej roboty na skwarze słonecznym aż koszula do pleców przylgnęła, a pot mu na czole stał jak rosa. Siadł też ciężko na ławie przed chatą, a koło siebie oparł kosę, błyszczącą jak srebro. Nim gospodyni misę z ziemniakami i z mlekiem kwaśnem wyniosła, poklepał Kurtę po łbie, a widząc, że wszystko w porządku, rzekł: — Dobre psisko! Dobre psisko! — Uradował się Kurta z tej pochwały, aż zaskomlał z uciechy, a kiedy wreszcie ogień w izbie zagasł, i wszystko się uciszyło, on zasiadł pod progiem i patrzył, pilnując chaty swoich gospodarzy.

Gwiazdy już wzeszły, i księżyc błysnął, a Kurta przez sen jeszcze poszczekiwał i mruczał, jak na wiernego stróża przystało.

M. Konopnicka.

Wytłumacz przysłowia: «Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie», «Żyje jak pies z kotem», «Ni pies, ni wydra», «Nie dla psa kiełbasa».

55. Chłopski koń.

A czegóż rżysz po rosie,
Koniku ty mój siwy?
Nie będę ja ci w jedwab
Zaplatał długiej grzywy...
Hej! długiej grzywy!...
Nie będę ja cię wodził
Na uździe z karmazynu,
W parciankach [1]) będziesz
[chodził
U pługa, chłopski synu,
Hej! chłopski synu!
Nie będziesz ty się pysznił
Pod siodłem, pod czerwonem,
Łeb tylko spuścisz smutnie
Nad czarnym tym wygo-
[nem... [2])
Hej! nad wygonem...
Zębatą ciągnąc bronę,

[1]) Parcianka — odzież płócienna. [2]) Wygon — droga, którą bydło w pole na pastwisko wyganiają.

Spotniejesz białą rosą,
Ani cię wiatry one
W kraj świata nie poniosą...
Hej! nie poniosą!...
Ani ja nie dam ciebie
W złociste kuć podkowy,
Cobyś tak stąpał zgóry,
Jakoby nasz karbowy...
Hej! jak karbowy!...
Nie będą drobną sieczką
Karmiły ciebie panny...
Nie padniesz w krwawem
[polu,
Świszczącą kulką ranny!...
Hej! kulką ranny!...
Na piasku, na ugorze
Gospodarz cię zostawi,
A rosa oczy wyżre,
A słońce kości strawi,
Hej! kości strawi!...
Nie będą tobie grały
Muzyki, ni trębacze...
Jeno cię wiatr pogrzebie,
A deszczyk cię opłacze...
Hej! deszcz opłacze!...

M. Konopnicka.

Czy dobrze jest koniom na świecie? Jak im się człowiek odpłaca za służbę? Czy jest to sprawiedliwe i szlachetne? Które konie uważasz za najnieszczęśliwsze?

56. Stary przyjaciel.

Niepomyślnie zapowiadał się jarmark w miasteczku: deszcz lał od rana zimny i ulewny już w przeddzień targu, wcale się nie zanosiło na pogodę. Niewielu się odważy przybyć w taką słotę, i mało kto załatwi swoje sprawy.

Naturalnie, że wszystkie zajazdy w samem mieście były zapełnione, i wieśniacy zatrzymywali się w wielkiej oberży przy drodze, a nawet wszyscy ludzie, wpobliżu szosy mieszkający, udzielali przytułku na noc nieszczęśliwym. Tym sposobem każdy człowiek znalazł wreszcie schronienie, ale biedne zwierzęta!

Biedne krowy i konie, pomęczone, głodne, stały na deszczu, w błocie, drżąc z zimna, i nie mogły się nawet wyciągnąć na ziemi. Zimna woda spływała z nich strugami, wiatr smagał je bez litości, ludzie myśleli o sobie.

Pomiędzy niemi była stara szkapa, tak chuda i wynędzniała, że zaledwie można sobie wyobrazić. Miała nogi sztywne, jakby sparaliżowane, wystające z pod skóry żebra, a łeb spuszczony ku ziemi.

Zmierzch zapadł, kiedy przeciskał się drogą młody gospodarz o twarzy surowej, pan obszernej i pięknej zagrody przy drodze. Właściciel starej szkapy zatrzymał go z chytrym uśmiechem.

— Gospodarzu, odkupcie tego konia. Drogo wam nie policzę, a to wasz znajomy, możebyście mu dali chleb łaskawy.

Wieśniak brwi zmarszczył, lecz spojrzał na konia i poznał go natychmiast. Tak, sam go przecież wyhodował, ujeździł. Ojciec mu go darował jeszcze małem źrebięciem, a on, mały chłopiec, przywiązał się dziwnie do tej pierwszej swojej własności. Ojciec narzekał, że go zbyt obficie karmi, i co prawda, wykradał owies dla swego ulubieńca.

Póki miał tego konia, nie chodził nigdy pieszo do kościoła, zaprzęgał go do bryczki, żeby się nim popisać. Bryczka była nędzna i niemalowana, on sam w parciankach, lecz koń wyglądał pięknie, był najpiękniejszy ze wszystkich, które stały przed kościołem.

Raz uniesiony dumą, zdobył się na odwagę i spytał ojca, czyby nie mógł kupić farby i pomalować bryczki. Wspomniał także nieśmiało o własnem ubraniu.

Ojciec spojrzał na niego przerażonym wzrokiem. Przez całe życie ciężko walczył z biedą, spłacając długi, które odziedziczył, więc przestraszył się teraz rozrzutności syna, do której piękny koń mógł być pokusą.

To też w kilka dni potem, nic nie mówiąc chłopcu, udał się do miasteczka i sprzedał konia na jarmarku.

Trudno opisać rozpacz młodego wieśniaka. Uciekał z chaty i krył się przed ludźmi, ażeby nikt nie wiedział,

jak płacze po koniu. Myślał tylko o tem, aby zebrać pieniądze i odkupić go znowu. O tem marzył przez całe lata i nauczył się surowej oszczędności.

Nareszcie ojciec umarł, syn jedynak odziedziczył gospodarstwo, lecz konia nie odkupił, nie myślał już o nim. Przywiązał się do pieniędzy, pragnął być bogatym, nazywano go skąpym.

I teraz obojętnie przeszedł koło konia: na cóżby go dziś odkupywał? Do roboty niezdatny, a piękność dawno stracił.

Wszedł do domu, gdzie matka przygotowała uczciwą wieczerzę, ale jakoś jeść nie mógł. Zamyślał się i siedział chmurny.

— Czyś nie chory? — troskliwie zapytała matka, widząc niezwykły wyraz jego twarzy.

Odpowiedział jej jakby smutnie:

— Nic mi nie jest. Tylko przypomina mi się coś z dawnych czasów.

Rzeczywiście przesuwało mu się przed oczyma całe dzieciństwo, młodość. W tem wszystkiem koń miał udział, łączył się z każdą chwilą jego życia. A zarazem widział go nędznym i starym, tam na deszczu i słocie.

To jego dawny koń... drogi przyjaciel.

Matka posłała łóżko, ogień przygasł na kominku, a gospodarz wciąż siedział pogrążony w myślach, z których jakoś nie miał siły się otrząsnąć.

Wreszcie podniósł się z miejsca, ażeby jak codzień obejrzeć gospodarstwo, przekonać się, czy wszystkie budynki zamknięte. Zdjął ze ściany klucze i wyszedł na podwórze. Lecz zaledwie otworzył drzwi od sieni, wiatr szarpnął gwałtownie, wyrwał mu je z ręki i uderzył o ścianę domu.

Gospodarz zszedł po schodkach i spostrzegł natychmiast przytulone do ściany dwie małe dziewczynki. Nie

śmiały pukać do drzwi, więc stały pod murem, w nędznych, mokrych łachmanach, osłonięte tylko wielkiemi workami, w jakie dzieci miejskie zbierają dla fabryk gałgany.

— Co tu robicie? — zapytał niemile zdziwiony. A gdy dzieci odpowiedziały drżącym głosem, że się nie mają gdzie chronić przed deszczem, popatrzył na nie przez chwilę ponuro, potem twardo im rozkazał wejść do sieni, otworzył drzwi do izby i powiedział, że mogą przespać się na podłodze przy kominie.

Obszedł gospodarstwo i wrócił do domu. Dziewczynki już leżały, oparte o swe worki, w mokrych łachmanach, i szeptały coś pocichu.

— Nie gadać i spać zaraz! — rzekł surowo, ale sam się nie kładł, tylko chodził po izbie niespokojny.

Dzieci szeptały jeszcze.

— Będziecie wy cicho! — zawołał rozdrażniony.

— My tylko mówimy pacierz — odezwała się starsza dziewczynka — przyrzekłam mamie, kiedy umierała, że nie zapomnę nigdy zmówić z Marynią wieczornej modlitwy. Ona jeszcze sama nie umie.

Wyszeptały znowu słów kilka i ucichły.

A gospodarz odwrócił się nagle do ściany, usiadł na ławie i ukrył twarz w dłoniach.

Ktoś dotknął jego ramienia łagodnie. To matka.

— Janie — rzekła cicho — pozwól mi te dzieci zatrzymać w chacie i wychować na ludzi. I ty przecie pamiętasz ich rodziców — mówiła dalej, kiedy syn nie odpowiadał. — Bóg dał nam dostatek i pobłogosławi, jeśli przygarniemy sieroty. Mamy więcej, niż nam potrzeba.

Syn podniósł głowę — oczy miał łez pełne.

— Ojciec — zaczął niepewnym głosem.

— Ojciec musiał oszczędzać — przerwała matka z mocą — miał prawo nawet skąpić, bo jego obowiąz-

kiem było spłacić długi, oddać ludziom pieniądze, które zebrać musiał. Ty masz wszystko i pomyśl, czy ci wolno nie dzielić z biedniejszymi, coś otrzymał od Boga, abyś dobrze użył?

— O, matko — jęknął wieśniak, — nie chcę tak żyć dłużej. Nie chcę, nie mogę. Tam stary mój przyjaciel na zimnie i deszczu. — Nie, mój druhu, nie zaznasz więcej biedy. Twój widok zbudził znowu moje uśpione serce, więcej nie rozstaniemy się w życiu.

Wstał z miejsca i sięgnął po klucze na ścianie. Matka tymczasem schyliła się nad dziewczynkami, aby śpiące przenieść na łóżko.

Załatwiwszy to, wyszła na podwórze. Usłyszała jakieś stąpania. Wpatrzyła się w ciemność i ujrzała po chwili syna, idącego od drogi i prowadzącego konia, który oparł mu łeb na ramieniu. Za nim postępowały inne konie i krowy, lecz gospodarz zdawał się na to nie zważać. Pusta stodoła była naprzestrzał otwarta, i cały orszak tonął w niej powoli.

Lecz oto z drugiej strony wyszedł znów gospodarz, już tylko z jednym koniem. Otworzył wrota stajni i wprowadził go do niej. *Selma Lagerlöf.*

Jaki był ten gospodarz? Co go wzruszyło? Dlaczego był skąpy? Co to znaczy dług? Do czego jest obowiązany człowiek, który ma długi? Czy wolno mu być hojnym i dogadzać sobie? Czy może jednakowo wydawać ten, kto długi ma, i ten, który ich nie ma? Cobyśmy o tym gospodarzu myśleli, gdyby się nie zajął sierotami i nie zatroszczył o starego przyjaciela?

57. Kot, który zawsze chodził własnemi drogami.

I.

Działo się to przed bardzo dawnemi czasy, kiedy zwierzęta, obecnie oswojone, żyły jeszcze w stanie dzikim i chodziły po dzikich lasach samotnemi, dzikiemi

ścieżynami. Ale najdzikszy ze wszystkic zwierząt był kot.

Naturalnie, że i człowiek był wtedy także dziki, ale spotkał kobietę, która wyszukała mu ładną jaskinię, wysypała wnętrze suchym, miałkim piaskiem, a w głębi rozniecіła ogień; wejście zaś zasłoniła skórą końską.

Tego dnia na kolację jedli już pieczeń z dzikiego barana, przyprawioną dzikim czosnkiem i dzikim pieprzem, dziką kaczkę z dzikim ryżem, dzikie czereśnie i dzikie owoce granatu.

A po kolacji mężczyzna położył się spać przy ognisku, a kobieta zaczęła czesać długie włosy i śpiewać.

Z wilgotnych lasów wybiegły dzikie zwierzęta i zdaleka patrzyły na ognisko, nie wiedząc, co to ma znaczyć. Ale dziki pies począł węszyć dzikim nosem, poczuł woń pieczonej baraniny i rzekł:

— Muszę tam pójść i zobaczyć, bo zdaje mi się, że tam jest coś dobrego. Chodź, kocie, pójdziemy razem.

— Nie, nie! Jestem kotem, który zawsze chodzi własnemi drogami. Nie pójdę z tobą.

— Więc nigdy już nie będziemy przyjaciółmi — rzekł dziki pies i sam ruszył w stronę jaskini.

Ale zaledwie uszedł kilka kroków, kot mruknął do siebie. — Wszystko mi jedno, kędy chodzę. Dlaczegóż nie miałbym pójść także ku jaskini, jeśli mi się spodoba? — I cichutko, na palcach pomknął za psem i ukrył się w pobliżu jaskini, skąd wszystko mógł widzieć i słyszeć.

Dziki pies tymczasem podniósł głową skórę końską, zawieszoną u wejścia do jaskini, i począł węszyć przyjemną woń pieczonej baraniny.

— Czego potrzebujesz, dzika istoto z dzikich lasów? — zapytała, spostrzegłszy go, kobieta.

— O, moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela, jaka to woń rozkoszna rozchodzi się po lasach?

Roześmiała się kobieta i rzuciła dzikiemu psu kość z pieczeni baraniej.

Pies ogryzł kość, oblizał się pięciokrotnie i powiedział:

— O, moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela, daj mi jeszcze jedną.

A kobieta odparła:

— Dzika istoto z dzikich lasów, pomagaj memu mężowi polować w ciągu dnia, strzeż w nocy naszej jaskini, a będziesz miał tyle kości z pieczeni, ile sam zechcesz.

A pies natychmiast wsunął się do wnętrza jaskini, położył łeb na kolanach kobiety i rzekł:

— O, moja przyjaciółko, żono mego przyjaciela, będę z mężem twym polował w ciągu dnia, a w nocy będę strzegł waszej jaskini.

(Czy bardzo piękny był postępek psa?)

II.

— Ach — szepnął kot, który podsłuchiwał — ta kobieta jest bardzo mądra, ale pies jest bardzo głupi! — I pomknął w stronę dzikich lasów i przechadzał się po dzikich ścieżkach, wywijając dzikim ogonem, ale nikomu o tem wszystkiem nie rzekł ani słowa.

A nazajutrz kobieta nazbierała sporo trawy, wysuszyła ją przy ogniu, że pachniała jak świeże siano, i położyła u wnijścia do jaskini.

A w dzikich lasach dziwiły się dzikie zwierzęta, co za rozkoszny zapach idzie od jaskini, a dziki koń tupnął dzikiem kopytem i powiedział do kota:

— Chodź, kocie, do jaskini, przekonamy się, co znaczy ten rozkoszny zapach.

— Nie, nie! Jestem kotem, który zawsze chodzi własnemi drogami — odpowiedział kot, ale cichutko

ukrył się zaraz wpobliżu jaskini, skąd wszystko mógł widzieć i słyszeć.

I widział, jak dziki koń dla garstki pachnącej trawy pozwolił kobiecie włożyć na siebie chomąto. I widział potem, jak dzika krowa za tę pachnącą trawę oddawała piękne, białe, pachnące mleko.

— Ta kobieta jest bardzo mądra — myślał kot — ale zwierzęta są bardzo głupie.

(Jak je inaczej nazwać można?).

III.

Nazajutrz kot, jak zwykle, ukrył się wpobliżu jaskini i czekał, ale już żadne zwierzę nie zbliżyło się do niej. Wtem zobaczył, jak kobieta doiła krowę, poczuł przyjemne ciepło, bijące od ogniska, i zapach ciepłego mleka. Więc zapytał:

— O, moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela, powiedz mi, co się stało z braćmi moimi: dzikim psem, dzikim koniem i dziką krową?

Lecz kobieta roześmiała się i rzekła:

— Dzika istoto z dzikich lasów, wracaj, skąd przyszłaś, bo nie potrzeba mi więcej ani sług, ani przyjaciół.

A kot rzekł:

— Nie jestem ani przyjacielem, ani sługą, lecz kotem, który zawsze chodzi własnemi drogami, a teraz chciałby wejść do tej jaskini.

Lecz kobieta roześmiała się i rzekła:

— Jesteś kotem, który zawsze chodzi własnemi drogami i wszystko ci jedno — kędy. Masz dość na świecie miejsca, ta jaskinia jest moja.

Wtedy kot udał szczere zmartwienie i zapytał:

— Więc nigdy nie będzie mi wolno wejść do waszej jaskini, usiąść przy ciepłem ognisku, skosztować

białego, ciepłego mleka? Jesteś taka mądra i piękna, że nawet dla kota nie powinnaś być tak okrutna.

— Wiedziałam, że jestem mądra — odparła kobieta, — ale nie wiedziałam, że jestem piękna! A za to, żeś mi o tem powiedział, zrobię z tobą układ: Jeżeli kiedykolwiek powiem choć jedno słowo na twoją pochwałę, będzie ci wolno zawsze wejść do naszej jaskini.

— A jeżeli powiesz drugie słowo? — spytał kot.

— Nigdy! — odrzekła kobieta — ale gdybym to uczyniła, wolno ci będzie usiąść przy ognisku.

— A jeśli powiesz trzecie? — spytał kot.

— Przenigdy! — odparła kobieta — ale gdyby się to kiedy stało, natenczas po wiek wieków będziesz mógł trzy razy dziennie pić białe, ciepłe mleko.

Wówczas kot wygiął grzbiet i rzekł:

— Dobrze! Niechaj ta zasłona, wisząca u wnijścia jaskini, i to ciepłe ognisko i te garnki z mlekiem zapamiętają, co mi przyrzekła moja nieprzyjaciółka, żona mego nieprzyjaciela.

I rzekłszy to, pomknął w stronę dzikich, wilgotnych lasów, i przechadzał się po dzikich ścieżkach, wywijając dzikim ogonem. Tylko nietoperz wiedział, gdzie się kot ukrywa, i co noc leciał do niego z wiadomościami.

IV.

Pewnego wieczora nietoperz doniósł kotowi:

— W jaskini jest małe dziecko, zupełnie świeże, nowe i tłuściutkie, a kobieta bardzo je lubi.

— Ach — mruknął kot do siebie — teraz nadszedł mój czas.

Nazajutrz ukrył się wpobliżu jaskini i czekał, aż mężczyzna z psem i koniem wyszedł na polowanie. Kobieta gotowała obiad, lecz dziecko wciąż płakało i prze-

szkadzało jej w robocie. Więc wyniosła je na trawnik i ułożyła wygodnie, ale dziecko płakało ciągle.

Wówczas zbliżył się kot, wyciągnął miękką łapkę i pogłaskał dziecko po policzku. I dziecko uspokoiło się w jednej chwili. Potem zaczął się ocierać o jego tłuste kolanka, łaskotać je ogonem w szyjkę, aż dziecko śmiać się zaczęło tak głośno, że kobieta w jaskini usłyszała śmiech jego i uśmiechnęła się z zadowolenia.

A wówczas rzekł nietoperz, wiszący u pułapu:

— O, moja gospodyni, żono mego gospodarza, jakaś dzika istota z dzikich lasów prześlicznie bawi się z twoim synkiem.

— Błogosławieństwo na tę dziką istotę — rzekła kobieta. — Byłam dziś bardzo zajęta, i oddała mi przysługę.

I zaledwie kobieta wymówiła te słowa, skóra u wnijścia do jaskini spadła z szelestem, przypomniawszy sobie o układzie z kotem. A gdy kobieta poszła ją zawiesić, kot jednym susem wskoczył do jaskini i usiadł w jednym z kątów.

— O, moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mojego nieprzyjaciela — zawołał — oto jestem! Powiedziałaś słowo na moją pochwałę, i odtąd po wiek wieków wolno mi przebywać w tej jaskini. Ale zawsze jestem kotem, który chodzi własnemi drogami i wszystko mi jedno — kędy.

V.

Kobieta zagniewana usiadła do kądzieli, ale dziecko zaczęło znowu płakać, aż twarzyczka mu posiniała, a kobieta w żaden sposób uspokoić go nie mogła.

— O, moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mego nieprzyjaciela, rzuć wrzeciono na podło-

gę, a ja uczynię taki czar, że dziecko śmiać się zacznie — odezwał się kot.

— Dobrze — rzekła kobieta, — posłucham twej rady, ale zgóry ci mówię, że chwalić cię nie będę.

I rzuciła na podłogę wrzeciono, a kot je chwycił w łapki, podrzucał do góry, udawał, że je zgubił, by znów pochwycić, podrzucić, aż dziecko rozbawione śmiać się poczęło głośno. Wyciągało rączki do kota i wydawało okrzyki radości, wkońcu zmęczone długą zabawą, zasnęło, obejmując kota tłustemi rączkami.

— Teraz — rzekł kot — zaśpiewam dziecku piosenkę, przy której całą godzinę spać będzie.

I zaczął mruczeć głośno i przeciągle, a dziecko spało mocno i spokojnie, jak nigdy przedtem. Kobieta, widząc to, uśmiechnęła się i rzekła:

— Doskonale się sprawiłeś. Jesteś istotnie bardzo przebiegłem stworzeniem.

I zaledwie to wymówiła, gdy z ogniska dym buchnął wielkiemi kłębami, bo przypomniał sobie o układzie z kotem. Kot zaś zaraz wygodnie rozsiadł się wpobliżu ognia.

— O, moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mego nieprzyjaciela — zawołał, — oto jestem! Powiedziałaś drugie słowo na moją pochwałę, i wolno mi po wiek wieków zostać przy tem ciepłem ognisku. Ale zawsze jestem kotem, który chodzi własnemi drogami.

VI.

Wówczas kobieta rozgniewała się bardzo i uczyniła czar milczenia, aby się zabezpieczyć od wymówienia trzeciej pochwały. Milczenie też zapanowało w jaskini tak wielkie, że z dziurki wybiegła myszka i zaczęła tańczyć.

Przestraszona kobieta szybko wskoczyła na ławę i zaczęła zwijać swoje długie włosy, aby się mysz przypadkiem w nie nie zaplątała.

A kot, widząc jej trwogę, skoczył jednym susem, pochwycił mysz i pożarł w mgnieniu oka.

— Stokrotne dzięki! — zawołała uszczęśliwiona kobieta. — Doprawdy, kocie, jesteś bardzo mądrem i zręcznem stworzeniem.

Lecz zaledwie to wymówiła, garnek z mlekiem, stojący przy ognisku, rozprysnął się na drobne skorupki, gdyż przypomniał sobie o układzie z kotem. A kot przyskoczył i zaczął chłeptać białe, ciepłe mleko.

— O, moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mego nieprzyjaciela — zawołał — oto jestem! Powiedziałaś trzecie słowo na moją pochwałę, i wolno mi po wiek wieków pić trzy razy dziennie białe, ciepłe mleko. Ale zawsze jestem kotem, który chodzi własnemi drogami i wszystko mi jedno — kędy.

Wówczas rozśmiała się kobieta i postawiła przed nim miskę białego i ciepłego mleka.

Podług *R. Kiplinga.*

Czy można mieć kotu za złe, że chce zawsze chodzić własnemi drogami? Co to znaczy? Czy pies, koń, krowa i kot są w jednakowym stopniu poddane człowiekowi? Jakie przymioty widzimy w kocie? Czy słusznie mówią, że kot jest fałszywy? W jaki sposób ogień i kobieta przyczyniły się do skupienia ludzi, żyjących pierwotnie w rozproszeniu?

58. Pogrzeb Filusia.

Idą porządkiem szykowane roty,
Wszyscy w ponurej i smutnej postaci.
Najpierwsze w marszu idą dzikie koty,
Wyborne czoło od innych współbraci;

Sztandar niósł jeden przedziwnej roboty.
Nieboszczykowscy zatem koligaci[1]),
W żałobne flóry[2]) ich łapki uwite,
Ostre pazury wciągnione i skryte.

Przyjazne zatem nadchodzą orszaki,
Jak który może, boleść ciężką znaczą:
Żałosne głosy wydawają ptaki;
Synogarlice w parach swoich płaczą;
Swojskich zwierzątek rodzaj wieloraki,
Rozkoszne nawet wiewiórki nie skaczą;
Milczą papugi, niegdyś rezolutne,
Igrać małpeczki zapomniały smutne.

Niesie Minetka obróż centkowaną,
Hektorek grzebień ze słoniowej kości,
Irys kołderkę, złotem haftowaną,
Bebe manelki[3]) dziwnej wspaniałości,
Miledy czarkę wewnątrz wyzłacaną,
Z której zwykł jadać i częstować gości.
Sprzęty szacowne od łapek i szyje[4]),
Już was kochany Filuś nie użyje!

Leżą na złotych marach położone
Ulubionego faworyta zwłoki,
Po wszystkich stronach kwiaty rozrzucone,
A całun mary okrywa szeroki;
Bujają w puchu członeczki pieszczone,
Dym się z kadzidła, wznosi pod obłoki;
Niosą trumienkę, nakształt kolebeczki,
Najukochańsze księżniczki-małpeczki.

Już się do stosu zwłoki znamienite
Zbliżyły; w kiry przybrani rycerze;

---

[1]) Koligaci — krewni. [2]) Flóry — przepaski żałobne. [3]) Manelki — naramienniki, obrączki. [4]) Szyje — dawna forma, dziś: szyi.

Cyfry z posępnych cyprysów uwite;
Mruczysław długie zaczyna pacierze,
Dalej obrządki czyni należyte,
A w drżące łapki gdy pochodnię bierze,
I stos i Filuś spłonęły pospołu —
Garstka się tylko została popiołu.

I. Krasicki — «Myszeis».

Jest to żartobliwy opis pogrzebu faworyta księżniczki Duchny, poległego w bitwie szczurów i myszy z kotami. Autor żartuje trochę z przesadnych lub udanych żalów. Język inny niż dzisiaj, bo więcej niż 100 lat temu napisane.

59. Łoś i puszcza — to jedno.

I.

Wierny był psem myśliwskim bardzo dzielnym, ale lubił niekiedy poswawolić na własną rękę. Było to bardzo surowo wzbronione, i surowa kara czekała go zwykle — jednak nie mógł odwyknąć od samowolnych wybryków ścigania zwierzyny po lesie.

Raz tak sobie, dla figla, zapędził na moczary łosicę z łosiątkiem. Biedna matka wahała się przez czas niejaki, ale widząc, że malec oddala się od brzegu, odważyła się za nim podążyć i utonęła w bagnie.

Wierny uczuł wtedy wyrzuty sumienia. Chciał ją postraszyć, ale nie pozbawić życia. Przez parę dni skruszony nie śmiał udać się w tę stronę, ale wreszcie zabrał go z sobą gajowy, i znaleźli na trzęsawisku nieżywą łosicę i łosiątko, dające słabe znaki życia.

Gajowy zabrał łosię, napoił je mlekiem i umieścił w stajence, w osobnej przegrodzie. Psa o zbrodnię nie podejrzewał i z przyjemnością widział, że Wierny okazuje malcowi życzliwość.

Odtąd Wierny zupełnie wyrzekł się psich figlów. Przyczyniło się do tego przywiązanie do osieroconego zwierzęcia. Z początku Wierny patrzył na nie z politowaniem. Łosiątko było brzydkie, miało długie i cienkie nogi, niby szczudła, na cienkiej szyi ciężko chwiała się duża głowa z jakimś starczym wyrazem, a skóra fałdowała się na całem ciele, zbyt obszerna, jakby nawyrost.

Gajowy poił je troskliwie mlekiem, a Wierny, patrząc na to, oblizywał się z apetytem, ale łosiątko piło przysmak obojętnie i zdawało się ciągle niezadowolone, przygnębione, ponure.

Widok psa tylko rozweselał je na chwilę; brzydal prostował wtedy cienkie nogi i jakoś raźniej kręcił się po stajni.

To też Wierny codziennie odwiedzał Rogacza, który nie miał zupełnie rogów, tylko żartem tak nazwany został przez gajowego, i bawili się razem doskonale. Pies lizał go, swawolił, naszczekiwał, przewracał się, mocował i opowiadał ciekawe historje o pięknym lesie i jego mieszkańcach.

Rogacz wyczekiwał teraz tych odwiedzin z widoczną niecierpliwością, poweselał, zaczął rosnąć i nabierał siły. Wkrótce mała przegródka była dla niego za ciasna, ogrodzono więc kawałek dziedzińca. Lecz po kilku miesiącach stało się widocznem, że Rogacz przeskoczy niskie ogrodzenie i ucieknie do lasu; trzeba go zabezpieczyć w inny sposób, na dłużej.

Wtedy na końcu dziedzińca ogrodzono kawałek lasu mocnym i wysokim płotem. Tu Rogacz miał swobodę i był jednocześnie zabezpieczony od pokusy bliższego zapoznania się z puszczą. Było mu zresztą dobrze. Po kilku latach wyrósł na tęgiego łosia i miał już teraz prawo nazywać się Rogaczem.

Z psem żył zawsze w przyjaźni. Ponury i obojętny

z usposobienia, rozweselał się tylko wtedy, gdy go odwiedzał Wierny, i obaj nigdy dosyć nabawić się z sobą nie mogli.

II.

Pięć lat skończył Rogacz, kiedy nowa zmiana zajść miała w jego życiu.

Zarząd ogrodu zoologicznego w jednem z miast zagranicznych zwrócił się do właściciela tej części puszczy z propozycją nabycia młodego łosia. Rogacz mógł być sprzedany, a chociaż gajowemu było przykro rozstawać się z wychowańcem, nikt na to nie zważał, i postanowiono sprzedać łosia za dobrą cenę.

Wierny słyszał rozmowę i pośpieszył do przyjaciela ze złą wieścią. Rozpacz go ogarniała na myśl, że ich rozłączą na zawsze; ale Rogacz wysłuchał go spokojnie, jak gdyby mu to było całkiem obojętne.

— I cóż? — zawołał Wierny. — Ty nic na to? Zgadzasz się? Wszystko ci jedno?

— Alboż się mogę zgodzić lub nie zgodzić? — zapytał łoś zdziwiony. — Nikt mię o to nie pyta. Wolałbym zostać tutaj, bo mi jest dość dobrze, lecz skoro mię sprzedano, nic na to nie poradzę.

Pies panował nad sobą, żeby nie wybuchnąć — sam nie wiedział — żalem czy gniewem. Taki zwierz, taki Rogacz, i bez żadnej woli! Pójdzie, gdzie go zaprowadzą, i nie myśli nawet o oporze.

Spojrzał na przyjaciela z milczącym wyrzutem i długą chwilę nie odwracał wzroku, jak gdyby chciał ocenić go dokładnie. Prawda, że Rogacz jeszcze nie był zupełnie dorosły, nie miał wielkiego garbu tak jak stare łosie, ani rogów rozgałęzionych dostatecznie, ale przecież napewno był silnem zwierzęciem i mógłby się obronić od przemocy.

— Ha, znać po tobie, żeś wychowany w niewoli — pomyślał wreszcie, lecz nie powiedział, gdyż miał inne zamiary.

Wrócił do łosia znowu po północy. Wiedział, że o tej porze Rogacz, już wyspany, zabiera się do śniadania.

— Dziś cię zapewne wyślą — rzekł do niego. — Jesteś bardzo rozsądny, że tak umiesz zgadzać się z losem. Bo naprawdę nic cię tam złego nie czeka: będziesz siedział zamknięty w klatce czy ogrodzeniu, a jeść ci nie zabraknie. Szkoda jednak, że nie znasz lasu. Wszyscy twoi ojcowie powtarzali: Łoś — to las! — a tyś nawet nie widział puszczy zbliska.

Rogacz podniósł brodatą głowę z nad koniczyny, którą spokojnie rozżuwał, i rzekł, patrząc na przyjaciela:

— Obejrzałbym las chętnie, ale jakże się stąd wydostanę?

— Tak, za krótkie masz nogi! — zaśmiał się pies złośliwie.

Łoś po raz pierwszy doznał takiego wrażenia, jak koń, którego ukłóto ostrogą. Spojrzał zukosa na Wiernego, który przeskakiwał ogrodzenie kilka razy na dzień, i nie wiedząc prawie, co czyni, skoczył i znalazł się na wolności.

Wierny szczeknął radośnie i stanął obok niego, następnie pomknął naprzód, jakby wskazując drogę.

Noc była śliczna, jasna, księżycowa, ale w gąszczu panowała taka ciemność, że łoś stąpał ostrożnie i powoli.

— Może wolisz wrócić? — zapytał Wierny. — Nie chciałbym, żebyś złamał nogę, nie umiejąc chodzić po puszczy, gdy ciemno.

Rogacz nie odpowiedział, lecz przyśpieszył kroku.

Pies powiódł go do lasu iglastego. Potężne sosny stały tu tak gęsto, że tłumiły zupełnie powiew wiatru. Wierny zatrzymał się w gąszczu i mówił:

— Tutaj twoi bracia chronią się przed mrozem i nie lękają się wichru, gdy spędzają zimę pod otwartem niebem. Tobie tam będzie lepiej w zamkniętym ogrodzie; będziesz miał dach nad głową podczas zimy i będziesz stał przy żłobie w oborze, jak krowa.

Rogacz milczał i wciągał chrapami powietrze, pełne ożywczej woni sosnowej żywicy.

— Czy to już wszystko — spytał — co miałeś mi w puszczy pokazać?

— Niezupełnie... — rzekł Wierny i pomknął znów naprzód. Wkrótce stanęli nad rozległem trzęsawiskiem, pokrytem kępami trawy.

— Przez te moczary uciekają łosie, gdy im grozi niebezpieczeństwo — objaśnił pies. — Sam nie wiem, jakim sposobem takie wielkie i ciężkie zwierzęta umieją się utrzymać na grząskiej powierzchni, a jednakże umieją, bo widziałem. Naturalnie, że tybyś ugrzązł przy pierwszym kroku, ale tobie ta umiejętność niepotrzebna, bo na ciebie nigdy polować nie będą.

Rogacz zmarszczył ponuro czoło i jednym skokiem znalazł się na trzęsawisku. Z dziwną rozkoszą deptał grunt miękki, ruchomy, pobiegł dosyć daleko i nie ugrzązł, poczem wrócił do brzegu.

— Czy to już wszystko? — spytał.

— Nie — odparł pies i udał się w przeciwną stronę, gdzie rozrastał się wspaniały las liściasty — dęby, brzozy, lipy, osiny.

— To śpiżarnia twoich braci — mówił Wierny — liście i korę tych drzew uważają za najsmaczniejsze pożywienie. Ale ty będziesz tam miał słodką koniczynę i zapewne lepsze przysmaki.

Rogacz spoglądał na olbrzymie drzewa, splecione gałęziami niby zielona kopuła, zerwał kilka listków i pokosztował kory.

— Owszem, smaczne — powiedział — lepsze od koniczyny, bo gorzkie.

— W takim razie bądź kontent, żeś raz w życiu tego przysmaku skosztował — zauważył Wierny i znów pobiegł dalej.

Znaleźli się wkrótce nad leśnem jeziorem. Woda w niem była cicha, lśniąca od księżyca, a brzegi, otulone w mgły przejrzyste, wyglądały jak zaczarowana kraina.

Rogacz stanął zdumiony.

— Co to jest? — zapytał, gdyż nigdy nie widział jeziora.

— To wielka woda — tłumaczył mu Wierny. — Twoi bracia dla przyjemności przepływają z jednego brzegu aż na drugi. Dla ciebie to za trudno, ale mógłbyś chociaż skosztować kąpieli.

I z temi słowy Wierny sam skoczył w jezioro i płynął.

Rogacz patrzył na niego, wreszcie wszedł do wody. Stąpał zwolna, czując przyjemne dotknięcie miękkiej i chłodnej fali, w którą się pogrążał. Chciał zanurzyć się cały i szedł dalej. Wtem gruntu mu zabrakło, lecz woda go niosła: zaczął płynąć. Płynął długo, z rozkoszą i spokojem, uczuł się panem nowego żywiołu.

Gdy obaj z Wiernym stali znów na brzegu, pies zapytał, czy mają wracać.

— Poco się śpieszyć? do rana daleko — odpowiedział Rogacz. — Pochodźmy po lesie.

I błądzili wśród gąszczu, aż stanęli znowu wśród iglastego lasu i ujrzeli przed sobą obszerną polankę, cudnie oblaną księżycowem światłem. Krople rosy na

trawie połyskiwały jak perły, na środku polany pasło się kilka łosic i łosiątek pod opieką starego łosia.

Rogacz stanął jak wryty. Nie mógł oderwać wzroku od starego łosia z potężnemi, rozłożystemi rogami, olbrzymim garbem na grzbiecie i zwieszającym się pod szyją workiem.

— Kto to? — zapytał drżącym ze wzruszenia głosem.

— Twój rodak, tylko starszy. I ty będziesz miał kiedyś takie rogi, grzywę, a gdybyś mieszkał w puszczy, byłbyś opiekunem stada.

— Jeżeli to mój rodak, mogę się z nim bliżej zapoznać — rzekł Rogacz i posunął się do stada. Po chwili jednak wrócił.

— Krótka była znajomość... — zauważył Wierny.

— Tak. Powiedziałem mu, że po raz pierwszy widzę braci i chciałbym zostać z nimi trochę na pastwisku, lecz w odpowiedzi pogroził mi tylko rogami.

— Więc ustąpiłeś zaraz. To bardzo rozsądnie! — pochwalił Wierny jakimś dziwnym głosem. — Lepiej nie zaczynać walki ze starym łosiem, mógłby cię poturbować, a to boli. Gdybyś został w puszczy, śmieliby się z ciebie i nazywali tchórzem, ale cóż cię to może obchodzić, skoro nie będziesz tutaj.

Jeszcze Wierny nie skończył mówić, kiedy Rogacz powrócił na polanę i stanął wyzywający naprzeciw starego łosia. Uderzyli na siebie. Pchali się i mocowali rogami, potężny przeciwnik nacierał gwałtownie, i młody łoś znalazł się obok Wiernego. Widoczną było rzeczą, że nie umie walczyć. Nagle mocniej zaparł tylne nogi w ziemię, wytężył wszystkie siły i odepchnął nieprzyjaciela ku środkowi. Walka rozpoczęła się jakby na nowo. Stary dyszał i sapał coraz głośniej. Wtem rozległ się trzask: jeden z rogów starego łosia był złamany.

Groźne zwierzę wydało ryk krótki, urwany i uciekło w głąb lasu, a przerażone stado rozpierzchło się na wszystkie strony.

Rogacz spokojnie wrócił do Wiernego.

— Widzieliśmy już dosyć — rzekł pies — czy mamy wracać?

— Czas! — odpowiedział łoś.

I szedł naprzód, pewny i śmiały, z wysoko podniesioną głową i rozwartemi chrapami, widocznie dumny z siebie i szczęśliwy z doznanych przygód.

Wierny w milczeniu postępował za nim, pochylił głowę, wzdychał, jakby zawiedziony.

Tak doszli do zagrody. Tu łoś się zatrzymał. Spojrzał na małą przestrzeń, w której żył dotychczas, na wydeptaną ziemię, siano, koniczynę, małe koryto z wodą, ciasną szopę, w której nocował.

— Łoś — to las! — zawołał, podniósł głowę jeszcze wyżej, aż rogi prawie położył na grzbiecie, i pomknął zpowrotem w głąb puszczy.

Podług *Selmy Lagerlöf.*

Co to za zwierzę — łoś? Czy żyje w naszym kraju? Gdzie przebywa? Co to znaczy: łoś — to las? Dlaczego ten łoś, zobaczywszy puszczę, nie chciał wrócić do zagrody? Czy leśne lub wogóle dzikie zwierzęta mogą być szczęśliwe w niewoli? Czy to jest poezja czy proza?

60. Złote listki brzóz.

Złote listki brzóz
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.
I padają z drzew
Jak ulewa złota,
Po ziemi je miota
Wiatru zimny wiew.

Źle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa,
Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle...

L. Rydel.

Czy wszystkie wiersze są jednakowo ładne? Jakie najlepiej lubisz? czyje?

61. Wieczór w lesie.

Słońce kłoniło się już ku zachodowi, a poprzez liście i igły sosen wchodziły coraz czerwieńsze jego promienie, pokrywając grunt leśny wielkiemi, złotemi plamami. Powietrze było suche, na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły wieczór wiosenny płonął na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Ucichło pukanie dzięcioła, czarne i rude mrówki wracały szeregami do czerwonych od zorzy i promieni słonecznych mrowisk. Jedne z nich niosły w pyszczkach sosnowe igiełki, inne — gąsienice. Między ziołami kręciła się tu i owdzie mała, leśna pszczółka i śpiewając radośnie zwykłe: dana, oj dana! dopełniała ładunku miodowego pyłku. Ze szpar w popękanej korze drzewnej zaczęły wychodzić na świat posępne i ślepe ćmy nocne; w potokach złotego światła kłębiły się roje mszyc, ledwie widzialnych dla oka; komary poczęły żałosną piosenkę. Na drzewach ptaki wybierały miejsca na nocleg. Czasem zaświstał jeszcze żółtodzióby kos, lub załopotały skrzydłami wrony, które, obsiadłszy drzewo, zaczęły się kłócić o najwygodniejsze gałęzie. Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko, a cichość przerywały tylko szmery drzewne. Leszczyna podniosła swe listki do góry, król dąb pomruknął zcicha, lub zaszemrała warkoczami brzoza. Cisza.

Ale oto zorza stała się jeszcze czerwieńsza, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski — więc już wszystkie szmery leśne zlały się w poważne i ciche, choć ogromne chóry: to bór, nim zaśnie, przed nocą modli się, odmawia pacierze; drzewa opowiadają drzewom chwałę Bożą, i rzekłbyś: ludzką rozmawiają mową.

Pierwszy chór dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się: oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiaździstą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, więc chwała Mu na wysokościach, na wodach, na lądach i na powietrzu.

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowa, a potem ozwą się zgodnie z chórem:

— A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadzielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną a mocną woń żywiczną. Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o, Panie, a w blaskach ich listeczki nasze złote są i pałające. Więc listkami naszemi złotemi pieśń Ci czynimy, o, Panie, a cienkie gałązki nasze grają jak harfy, o, dobry Ojcze nasz!

I znowu smętne świerki:

— Na zmęczone upałem, posępne czoła nasze pada rosa wieczorna. Chwała Panu! Bracia i siostry, radujcie się, bo pada rosa wieczorna!

I wśród tych chórów jedna tylko osiczyna drży lękliwie, bo dała drzewo na krzyż Zbawiciela świata, i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie, zlituj się nade mną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zamilkną na

chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lękliwy głosik, cichy jak brzęczenie komara, cichy jak cichość sama.

Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale Ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczór las, i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już stworzenia, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami — Bóg!

O takiej chwili słońce zanurza promienną głowę w dalekie morza; rolnik przewraca pług ostrzem do góry i śpieszy do chaty. Powraca z pola ryczące bydło i w kołatki kołacze, owce wzniecają tumany złotego kurzu. Potem mrok pada, w dalekiej wsi skrzypią żórawie od studni, potem błyskają okienka, i zdaleka, zdaleka dochodzi szczekanie psów.

H. Sienkiewicz,

zmarły w r. 1916 wielki powieściopisarz polski.

Co jeszcze znasz Sienkiewicza?

62. W maju.

Słońce majowe w ognia koronie
Za las się czarny chowa,
Strzechy i sady, pola i błonie
Owiała mgła różowa.

A w tej złocistej blasków powodzi,
W sukience z gwiazd utkanej,
Powiewna jakaś postać wschodzi
Na szmaragdowe łany.

Bielą się zdala śnieżne jej szaty
Po łąkach i po lesie,

A wietrzyk za nią chodzi skrzydlaty
I rąbek szat jej niesie.

Na piersi drobne złożyła ręce
I płynie po przezroczu,
Jakby zdumienie jakieś dziewczęce
Z jej dużych patrzy oczu.

Czasem kosiarzy, co trawę sieką
Na łąkach, widzi wdali,
Albo rybaków, zgiętych nad rzeką,
Co się od zorzy pali.

Czasem kobiety mija nad strugą,
Piorące białe chusty,
Patrzy za niemi rzewnie i długo
Z uśmiechniętemi usty.

A gdy po drodze dziecko napotka,
Co w polu pasie krowy,
Wtedy podchodzi, cicha i słodka,
I włos mu gładzi płowy.

Wierzby garbate przy każdej strzesze
Kornie się przed nią kłonią,
Kwiatów u nóg jej klękają rzesze,
Modląc się do niej wonią.

Grają koników polnych kapele,
Z chórami żab złączone,
Echo rozwiejne do nóg jej ściele
Tę dziwną antyfonę [1]).

I przez wieczorną ciszę się niosą
Litanje te olbrzymie —
Płynie po świecie z wilgotną rosą
Jej wniebowzięte imię.

L. Rydel.

[1]) Antyfona — modlitwa śpiewana.

63. Wet za wet.

Pewien kmieć, prawując się z sąsiadem, oddał papiery swoje jakiemuś pokątnemu doradcy z prośbą, aby mu do sądu napisał podanie, tylko aby długie.

Pisarz spełnił żądanie chłopa, ale za swoją pracę kazał sobie dużo zapłacić.

— Ej, proszę jegomości — rzecze kmieć, przeglądając uważnie papiery — toć to coprawda długo, ale strasznie rozwlekło pisane; nie mogłoby to być odrobinę ściśle?

— Nie rozumiecie się na tem, mój bracie — odparł pisarz z powagą — tak pisane, jak potrzeba, bo takie jest właśnie urzędowe pisanie. Jeżeli nie macie pieniędzy, to możecie mi za nie zaorać parę morgów.

Poskrobał się kmiotek w głowę i wreszcie rzekł z westchnieniem:

— Ha, cóż robić? Kiedy trzeba, to trzeba.

Nazajutrz wyruszył w pole i zaczął orać grunt pisarza, ale skiba [1]) od skiby na dwa łokcie.

Około południa nadszedł i pan pisarz, a zobaczywszy taką rzadką orkę, skoczył jak oparzony.

— I cóżeście też zrobili! — zawołał. — Na cóż zdała się taka robota?

— Pan się na tem nie rozumie — odpowiedział kmieć spokojnie. — Zrobiłem, jak potrzeba, to jest właśnie orka urzędowa.

Takie zabawne opowiadanie nazywa się *anegdota.*

64. Chodziły tu Niemce.

Chodziły tu Niemce, — Sprzedaj, chłopie, rolę,
Chodziły odmieńce: Będziesz miał czerwieńce! [2])

[1]) *Skiba* — wąski i długi płat ziemi, odcięty lemieszem od dolnej warstwy. [2]) *Czerwieńce* — dukaty, złote pieniądze.

Zapłacimy chatę,
Zapłacimy pole,
Będziesz miał talarów
Na caluśkim stole!

O, mój Niemcze miły!
Idźże, kędy raczysz,
Ale mojej roli
Równo nie obaczysz.

Schowaj se czerwieńce
I białe talary:
Kto ziemię sprzedaje,
Nie naszej ten wiary!

Bogatyś ty, Niemcze,
I trzos twój chędogi,
Ale na tę ziemię
Jeszcześ za ubogi.

Pójdą twe talary
Za rolę, za płoty;
A kto mi zapłaci
Za miesiączek złoty?

A kto mi zapłaci
Za tę jasność Bożą,
Co w moje okienko
Idzie z każdą zorzą.

Za ten dach słomiany,
Co mi głowy strzeże?
Za ten dzwon, co dzwoni
Rankiem na pacierze?

Za te lasów szumy,
Za te polne kwiaty,
Za ten krzyż pochyły,
Co mi strzeże chaty?

A kto mi zapłaci
Za słodkość tę miodu,
Co pszczoły ją niosą
Do ula z ogrodu?

Za cmentarz rozkwitły
W głóg dziki, jak sady,
Gdzie leżą w mogiłach
Ojcowie i dziady?

A toćże i mnie tam
Gospody potrzeba,
Gdy Pan Bóg zawoła:
— Chodź, chłopie, do nieba!

A toćby mi dzieci
Po nocach tęskniły,
Nie wiedząc, gdzie szukać
Ojcowej mogiły!

Nie sprzedam ci roli,
Weź, Niemcze, talary —
Kto ziemię sprzedaje,
Nie naszej ten wiary. *M. Konopnicka.*

Czy godzi się sprzedawać obcym ziemię swoją? Czembyśmy się stali, gdyby ziemia nasza przeszła w ręce cudzoziemców?

Ziemia jest największym skarbem naszym, który ojcowie nasi krwią swoją kupili, a takiej własności sprzedawać nie wolno. Ziemia — to matka-żywicielka, pracować na niej trzeba własnym potem, jeżeli chcemy mieć matkę-ojczyznę.

65. Przysłowia gospodarskie.

Na Nowy Rok przybywa dnia na kurzą stopę, na barani skok.

Święta Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka (21 stycznia).

Święty Maciej zimę traci, albo ją bogaci (25 lutego).

Na świętego Grzegorza idzie zima do morza (12 marca).

Święty Marek (25 kwietnia) wrzuci do wody ogarek (światła na kominach przestają w chatach palić). (Ogarek — świeca lub głownia niedopalona).

Święta Zofija kłosy wywija (15 maja).

Na święty Wit słowik cyt (15 czerwca).

Święty Jan — jagód dzban (24 czerwca).

Kiedy człowiek łąkę kosi, lada baba deszcz uprosi.

Od świętej Anki chłodne wieczory i ranki (26 lipca).

Na święty Wawrzyniec czas orać w ozimiec (10 sierpnia).

Na święty Wawrzyniec — orzech wyrębieniec.

Święty Idzi nic już w polu nie widzi (1 września, po żniwach).

Święty Michał z pola wszystko rozpychał (29 września).

Michałkowe sianko, Marcinkowe żytko — licha warte wszystko (siano suszone na św. Michał i siew żyta w listopadzie).

Na Szymona Judy koń boi się grudy (16 i 28 października).

Święta Katarzyna adwent zaczyna (25 listopada).

Święta Barbara po lodzie — Boże Narodzenie po wodzie (4 grudnia).

Na święty Szczepan każdy sobie pan (26 grudnia, gdy czeladź odprawia się ze służby).

66. Przy kominku.

Na kominku ogień huka,
Rzuca światła smug,
Wtem do okna ktoś zapuka:
— Kto tak późno? Czego szuka?
Skąd prowadzi Bóg?
— Hej, otwórzcie tam niebodze! —
Głos odezwał się:
— Zima jestem, w śniegu brodzę,
W rękawicach ciepłych chodzę,
Puśćcie, puśćcie mnie!
Poskoczono od komina
I otwarto drzwi,
Weszła zima-starowina,
Licha na niej salopina,
Biedna, z zimna drży...
Szła, oparta na kosturze,
Stara jak ten świat,
Na jej twarzy mróz i burze,
Choć ukryła ją w kapturze,
Wyryły swój ślad.
Ociężałe wlokła kroki,
Pokasłując wciąż,
Z lodu miała srebrne loki,
Co zwieszały się na boki,
Długie niby wąż!
Wprowadzono starowinę
Tam, gdzie płonął chróst,
Dano chleba okruszynę
I herbaty odrobinę
Wlano jej do ust.
Z gościnności polskiej rada,
Babcia kłania się,

Na fotelu miękkim siada
I każdemu rozpowiada,
Jak jej w życiu źle.
Plecie sobie babcia, plecie,
Marszcząc siwe brwi:
Jak przez burze i zamiecie
Wędrowała po tym świecie
Długie, długie dni...
A gdzie w strasznym swym pochodzie
Przeszła wzdłuż i wszerz,
Tam się ścinał lód na wodzie,
Marzły drzewa, a w zagrodzie
Ginął ptak i zwierz.
Plotła babcia — a w kominie
Płonął drewek stos.
Na sen przyszło starowinie,
I choć brzydko spać w gościnie,
Zachrapała w głos.
Spała babcia — aż wiosenka
Przyszła sobie raz,
Zapukała do okienka,
Mówiąc do niej: — Chodź, stareńka,
Bo już ogień zgasł!

Wł. Bełza.

W jaki sposób przedstawiona tu jest zima? Do jakiego okresu w życiu człowieka przyrównywamy zimę? A wiosnę?

67. Przyroda naszego kraju z przed lat tysiąca.

I.

Cała przyroda kraju naszego, jak zresztą i innych krain Europy, była przed lat tysiącem zupełnie odmienna i do dzisiejszej wcale niepodobna.

Gdyby kto mógł wówczas wzbić się wysoko nad polską ziemię i niby ptak bujając, z góry na nią spojrzał, to cały kraj wydałby mu się jedną olbrzymią, ciemną puszczą, w której połyskiwała siatka wód płynących: strumieni, rzeczek i rzek. Były one inne nieco od dzisiejszych, bo obficie zasilane wilgocią wielkich lasów, a przez to wspaniale nabrzmiałe i szeroko rozlane. Nad wstęgami wód tych gdzie niegdzie, w miejscach przystępniejszych, świeciły obszerne polany, opanowane i zajęte przez pierwotnego człowieka pod uprawę lub na wypas bydła.

Lesistość i wodnistość były główną cechą kraju. Ale i lasy różniły się od dzisiejszych, bo dziksze były od naszych i po kilkakroć obszerniejsze od największych. Wszelkie gatunki drzew, jakie tylko znosić może nasz klimat, bujnie tu wyrastały. Dąb i lipa, klon i olcha, jesion, modrzew — rosły wspaniale, ale najczęściej po piaszczystych równinach sosna, ku niebu wierzchołkiem swym strzelająca.

A w tych napozór spokojnych ostępach [1]) przez całe wieki wrzała zażarta walka, w której dąb z dębem, klon z klonem, olchą, sosną i modrzewiem zawzięcie walczyły o każdą kroplę wody, o piędź ziemi każdą, o każdy promień słońca, do życia im potrzebne.

A kiedy po kilku stuleciach, starością już wyniszczony i nieustannym napieraniem złych sąsiadów lub siłą wiatru pokonany olbrzym zwalił się na posłanie miękkich mchów, wrzosów i paproci — to całem swem brzemieniem dziesiątki słabszych sąsiadów przywalał i gałęzie ich druzgotał...

Tak skłębione i splątane konary i pnie powalone gniły, rozkładały się w ciągu całych dziesiątków lat,

---

[1]) Ostęp — las wielki na miejscach niskich i błotnistych.

a nim zdołały zupełnie w próchno się rozsypać, tworzyły naturalne zasieki, które tem trudniejszym czyniły dostęp do puszczy.

II.

Te wielkie, dzikie i niedostępne knieje były wspaniałem schronieniem dla wszelkiego rodzaju zwierząt. Tysiącami więc gnieździły się w zaciszu podmokłych brzegów wspaniale przystrojone bobry, bezpiecznie królując w wysokich, misternie skleconych przez się zamkach; nie straszył ich żaden hałas, pokolenia całe rodziły się, żyły i marły, szelestem kroków ludzkich nie spłoszone. Całemi tysiącami stad wypasały się tury i żubry; — na lesistych równinach wpobliżu bagnisk przebiegały rączo olbrzymie łosie o rosochatych rogach, a na rozległych trawiastych dolinach, wśród odwiecznych lasów, spotkać się można było z tabunami koni i osłów zdziczałych. Dość było wstąpić na brzeg lasu, żeby na każdym kroku potrącić o niezliczone mnóstwo wilków-szkodników, przynęcanych smacznem mięsem dzików, saren, jeleni, danieli, wreszcie lisów, kun, łasic, wiewiórek, których każda osada biła tysiące na przyodziewek zimowy.

A nie wspominać już o tych chmarach dzikiego ptactwa, wśród którego sokół, skrzętnie przez łowców poszukiwany, królował; o tych dobroczynnych rojach pszczół, od których lasom polskim nazwa miodopłynnych się dostała.

A jakie ryb niezliczone gromady żyły w głębinach tych strumieni i jezior, tego już dziś wyobrazić sobie niełatwo, bo w większej części wodnych przestrzeni jeszcze nie płoszyła ich sieć ani wędka.

Wobec tak dzikiej przyrody pierwotne osady ludzkie trzymały się przedewszystkiem wód. Tu tylko świeciły bezleśne polany, stosowne do wypasu bydła lub nęcące do uprawy namulnym czarnoziemem; rybne wody zresztą same dostarczały żywności, a i w drogę łatwiej się było puszczać wodą na łodziach, niż przez gęstwiny borów. Nadbrzeża wielkich rzek stały się zatem głównemi ogniskami osiedlenia ludzi; później dopiero rozszerzało się ono coraz dalej — w miarę rozrostu ludności — głównem korytem lub łożyskami drobniejszych strumieni.

S.

Czy piękniejsza była ziemia nasza wówczas, czy dzisiaj?

68. Rzeki wpadające do Wisły.

Nazajutrz w świtu różowej godzinie
Wisława w srebrny uderzyła dzwonek,
Ażeby zwołać pod szklany przysionek
Swoje lennicze bogi i boginie.

Wielki szum powstał w górach i dolinie:
Dążą lennicze bogi i boginie.

Najpierwszy z bożków radosnej młodzieży,
Pusty swawolnik w swej białej czamarce,
Z tysiącem pstrągów, dzwoniących u pasa,
Prądnik jak rześki Krakowiaczek hasa.

Młodziuchna *Nida,* podobna kwiaciarce,
Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży
Jak do koszyka zsypuje wiązanki
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.

Biegną *Dunajce,* dwaj bracia górale,
Z okiem myśliwskiem i zwinnością gończą:
Jeden z nich w *Białe* okręca się fale,
Drugi się *Czarną* owinął opończą.

Za nimi lekko idzie modrooka,
Brzeg płaszcza Wisły niosąca *Wisłoka.*

A teraz patrzcie! idzie mąż wspaniały,
San, groźny rycerz, który srebrną dzidą
Druzgocze lasy i przebija skały,
Po jego falach echa Karpat idą.

Tanew, ukryta pod cień borów kruczy,
W głębi puszcz szumnych jak wyrocznia huczy.

Dalej w dolinie, wijąca się kręto,
Od tataraku swoich jezior wonna,
W więzach z kamieni żali się *Kamionna:*
Zda się, że słyszysz królewnę zaklętą.

Między zdumiałym, rozstąpionym tłumem
Tancerka, ledwie tykająca ziemi,
Bystrzyca pląsa stopami bystremi.
Za nią poważna, szafirowolica,
Idzie, jak cicha kapłanka, *Pilica.*

A teraz z drogi! oto z wielkim szumem
Nadchodzi *Narew,* we mgły upowita —
Narew tak dumna, że gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej
Na modrą suknię, co spływa z królowej.

Jakiż to kmiotek goni dumną księżnę?
A wszak to brat jej, wesoły ów żeniec,
Bug kłosonośny; codziennie on w wieniec
Statków ładownych pszenicą się stroi,
Wieczne na wodach wyprawia okrężne!

Tam *Bzura* dźwiga szaty, obciążone
Kiściami pereł, nosi krucze włosy,
Perłami spięte, i z pereł koronę.

Tam wre i szumi wartkolotna *Drwęca,*
Która w winnice i róże, i kłosy
Kwitnące czoła swych brzegów okręca.

Brda jak wąż srebrny, uśpiony na niwie,
Pod siecią gajów cicho się pierścieni.
Ossa pod słońcem zapala błyskliwie
Fale, podobne do białych płomieni.

Zajrzyjmy dalej: kto stopy przysunie
Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posępną *Motławę*
I radującą się wiecznie *Radunię,*
Co jak odźwierne w progu Wisły strzegą
Bram bursztynowych morza Bałtyckiego.
I one dzisiaj tu idą i niosą
Klucze, błyszczącą wysadzane rosą.

Te wodne bóstwa, jasne i złowieszcze,
Ku Wiśle dążą, z niemi inne jeszcze,
I jeszcze inne — lecz któż je wyliczy?
Księgęby spisał, kto wiernemi farby
Chciałby malować cały dwór lenniczy,
Niosący Wiśle swoje wierne skarby.

Deotyma.

Jadwiga Łuszczewska, poetka XIX wieku.

Co znaczą przysłowia: «Wielkie rzeki cicho płyną», — «Rzeka w górę nie popłynie».

69. Mazury.

Mazurami nazywamy lud polski, osiadły na Mazowszu — koło Płocka, Warszawy, Łomży i Siedlec.

W dawnych, bardzo dawnych czasach Mazowsze było jedną wielką puszczą, a ludność musiała zużyć wiele pracy, żeby zdobyć obszary ziemi, zdatne do uprawy

zboża. Palono wtedy las na pewnej przestrzeni, następnie grunt, pozyskany w ten sposób, spulchniano w ciężkim znoju zapomocą gałęzi.

Prawie całe Mazowsze ma ziemię mało urodzajną, przeważnie piaszczystą, wymaga więc ona ciągle usilnej pracy rolnika. Być może, iż właśnie ta okoliczność wpłynęła na wyrobienie większej przedsiębiorczości i dzielności w Mazurach. Wiadomo, że oni najwięcej zdobyli ziemi uprawnej z pod gęstych niegdyś lasów swoich i najdalej rozszerzyli kolonje polskie: na północ — na Mazurach pruskich, a potem na wschód, aż po Dniepr i Dźwinę.

Mazur okazał, że jest uparty tak w życiu codziennem, jak i w zdobywaniu ziemi pod uprawę; potrafił też jej bronić, jak tego dowiedli Kurpie za najazdu szwedzkiego.

Mazury ubierają się bardzo rozmaicie: wogóle po prawej stronie Wisły mężczyźni noszą przeważnie kapoty [1]) szare i bure, na lewym zaś brzegu — granatowe [2]), czasem zielone żupany [3]), sukmany [4]) albo płaszcze z pelerynami. Kobiety na prawym brzegu Wisły kładą sznurówki i białe chusty na głowę, a na lewym, obok sznurówki — kaftaniki (katanki, algierki), na głowę zaś chustki kolorowe, barwiste. Na całem Mazowszu mężczyźni noszą czapki baranie, wysokie buty i spodnie, wpuszczone zimą; a kobiety używają «zapaski», t. j. fartucha do okrycia pleców.

Mowa Mazurów tem się odznacza, że nie odróżnia *sz* od *s*, *cz* od *c*, a *ż* od *z*, np. Mazur mówi psenica, capka, zyto; ale *rz* wszędzie wymawia poprawnie, więc:

---

[1]) Kapota — rodzaj surduta. [2]) Widzimy je u wieśniaków z Wilanowa. [3]) Żupan — rodzaj surduta, zapinanego na haftki, ze stojącym kołnierzem, bez klap. Na żupan kładł się kontusz, ale po domu nosili zwykle Polacy same żupany. [4]) Sukmana — zwierzchnia odzież kmieca z sukna.

krzesiwo, przetak, rzepa, tak jak wymawiają ludzie oświeceni. Prócz tych są inne różnice.

Większość ludności na Mazowszu mieszka po wsiach i zajmuje się rolnictwem. Wsie zabudowują zwykle w jedną linję, stawiając chaty szczytem (t. j. bokiem) do ulicy.

Mazowsze jest ojczyzną tańca, zwanego mazurem.

Według *J. Karłowicza.*
(«Opisanie Królestwa Polskiego»).

Zrobić rozkład i opowiedzieć.
Objaśnić wyrazy: puszcza i pustynia, kapota, żupan, sukmana.

70. Mazur.

Piękna nasza Polska cała,
Piękna, żyzna i niemała!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów,
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze!

Bo gdzie takie cudne stroje,
I śpiewanki, i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze [1]),
Jak ojczyste Mazurowi? —
Niechaj cała Polska powie.

Poza Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga.
Góral zbytnio podkasały,
A Odraki — lud zniemczały.
A więc nasza, nasza góra —
Niemasz w świecie nad Mazura!

[1]) Pielesz — gniazdo drapieżnego ptaka, łożysko zwierza, a więc można tu zrozumieć: gniazdo ojczyste.

Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kąkolu;
Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze!
Przyśpiewują im flisaki,
I grosz człek ma jaki taki.

Gdzieś za światem Dniepr tam płynie,
Sławne konie w Ukrainie,
Ale kto, jak Mazur właśnie,
Wiozący, z konia biczem trzaśnie?!
Kiedy jedzie do Warsęgi [1]),
Mówią wszyscy: «Mazur tęgi!»

Tęgi Mazur ot, w pokoju,
Lecz się przyda i do boju;
I Bóg, gdyby świat dziś tworzył,
Już z Mazurówby go złożył!
Nawet w tańcu nasza góra:
Niemasz w świecie nad Mazura!

W. Pol.

Gdzie leży Mazowsze? Jakie miasta są na Mazowszu? Czy naprawdę «niemasz w świecie nad Mazura»? Jak możemy nazwać to zdanie? Co to jest: Mazur i mazur?

71. Szczęście.

I.

Na Mazurach nad Wisłą było dwóch gospodarzy — płot z płotem, miedza z miedzą. Gruntu mieli niewiele, i to same piachy. U każdego jedno konisko, zmizerowane bardzo, bo zimą suchą słomę gryźć musiały, a latem trawę skubać wedle rowu. Klepali więc biedę obaj gospodarze, Bartek i Maciek, i oba konie także.

[1]) Warsęga — Warszawa.

Razu pewnego (a było to w dzień Narodzenia Pana Jezusa) Bartek z żoną siedzieli przy wieczerzy, a że połów się udał w zatoce wiślanej, mieli na misce szczupaka i kilka karasi. Na dworze było niespokojnie, wicher huczał hu! hu! a śnieg padał drobny i gęsty, jakby kto otręby przez przetak przesiewał.

Nagle zastukano do drzwi.

— Wporę! — mruknęła gospodyni, chowając rybę pod stół.

— Nie chowaj, bo nie damy — rzekł gospodarz i poszedł do drzwi.

— Kogo tam licho przynosi?

— Gościny szukam u was — odpowiedział ktoś za progiem.

— Pójdziesz precz! — krzyknął gospodarz, drzwi kołkiem zaparł i naurągał jeszcze.

Coś westchnęło i poszło.

II.

Miało się ku wiośnie, z pól spłynęły śniegi, szary skowronek śpiewał na chwałę Bożą.

Zazieleniła się ruń Maćkowa gęsto, a na polu Bartkowem ledwo licha trawka. Do tego i w domu miał zmartwienie: bo syn, choć na parobka już wyrósł, nie chciał się brać do roboty, i nieraz kury przepieją, a matka zbudzić nie może leniucha.

U Maćka inaczej: i ruń bogata, i syn pracowity.

Nim się zaczęły roboty w polu, Maciek zwiózł drzewo i postawił szopę.

— Ukradł gdzieś w lesie — pomyślał Bartek.

Przyszły żniwa. Na Maćkowem polu nie zliczyć kopic, aż się ludzie okoliczni dziwowali.

Bartek uczuł zazdrość w sercu.

— Jak on to zwiezie? — szeptał. — Czy tym koniem mizerakiem?

Ale Maciek pojechał na jarmark i kupił dwa konie. Żaden z gospodarzy nie miał takich: okrągłe jak ogórki, choć do powozu dziedzica. Nawet zdechlak się poprawił i wierzgnął parę razy.

— Czy ograbił kogo? czy co? — pytał się Bartek w duchu. Jego pole świeciło okropną łysiną, chałupa przechyliła się na bok, a wychudzona szkapa sochy uciągnąć nie mogła.

Mijało lato. Sad Macieja osypał się gruszkami i jabłkami, u Bartka drzewa poschły. Jesienią Maciek nową chałupę postawił, sprawił wóz kuty i krowę z cielątkiem z jarmarku przyprowadził.

Bartek z zazdrości schudł.

Pewnego razu przyszedł syn z pola i mówi:

— Oj, tatusiu, tatusiu, co ja widziałem!

— Pewnie gawrona na wieży kościelnej — mruknął niechętnie ojciec.

— Nie gawron to był, nie, ino pieniądz złoty u Maćkowego syna.

— Co? co? — porwał się Bartek.

— Pasaliśmy bydło na łące, a Stach mówi: — Patrz Józek, co ja mam. — I pokazał mi pieniądz.

Bartek spochmurniał.

— Duszę zaprzedał złemu... — mruczał przez zęby.

III.

Wieczorem poszedł do Maćka i zagadnął go o tem bogactwie.

— Oh — rzekł Maciej — to zaczęło się tak od początku: Dobrze przed rokiem, w dniu Narodzin Pana Jezusa, siedziałem z żoną przy wieczerzy, a że połów się

udał w zatoce wiślanej, mieliśmy szczupaka i kilka karasi na misce. Na dworze było niespokojnie: wiatr huczał hu! hu! a śnieg padał drobny i gęsty, jakby kto otręby przez sito przesiewał. Nagle ktoś zastukał do drzwi. — Kogo Pan Bóg prowadzi? — zapytałem. — Szukam gościny u was — odpowiedział głos za progiem.

Otworzyłem, wpuściłem, nakarmiłem.

Było to szczęście.

«Świat czarów».

Co to znaczy?

72. Kurpie.

Panie bracie, czy też znacie
Kurpi ród?
Niskie chaty, lecz, za katy,
Czerstwy lud!
To nie kmiecie, ale pany!
Własne chaty, własne łany.
Nie znali, co pańskie sochy,
Ni pańszczyzny, ni darmo-
[chy.
Bury sukman na ramieniu,
Długa strzelba na strze-
[mieniu,
Nogi w łykach — Kurpia
[duma,
Ale wąsy jak u suma [1]).
Wie, gdzie lisa w sidła
[złapie,
Niby kot na barć [2]) się
[wdrapie.

Trafne oko, krzepkie ramię—
Jak uściśnie, kości złamie.
By krew z mlekiem, gdy się
[zbierze,
Takie rześkie tam dziew-
[czyny,
Dłonie białe, liczka świeże,
By korale jarzębiny.
Gdy mróz w oczy igły ciska,
W polu głodne wrony kraczą,
Siadaj z nimi u ogniska:
Gościa krupnikiem [3]) uraczą.
A starzy będą bajali,
Jak to Kurpie Szwedów
[prali,
Jak niejedna tam mogiła
Gada, co ich zgniło siła.
Bo gdy broń wziął Kurp na
[barki,

[1]) *Sum* — ryba rzeczna z dużemi wąsami. [2]) *Barć* — gniazdo pszczół w drzewach w lesie. [3]) *Krupnik* — wódka z miodem i korzeniami. Także zupa z krup.

Djablo Szwedom wlazł na [karki,
Póty zamorców spowiadał,
Aż ich z kaszą, het, pozja- [dał.
Zajdź w zwierzyniec, pod [Myszyniec,

Tam ci Kurpiów żyje wnuk,
I taż stara w sercu wiara:
Jeden Bóg!
Teraz znacie, panie bracie,
Kurpi ród!
Niskie chaty, lecz, za katy,
Dzielny lud!

Marja Morzkowska.

Gdzie mieszkają Kurpie? Napisz ich charakterystykę podług tego wiersza. Objaśnij znaczenie wyrazów: socha, sum, barć, krupnik (dwa znaczenia).

73. Na zamku w Wyszehradzie [1]).

I.

W wielkiej złocistej świetlicy, w której na pułapie namalowane było przez jakiegoś malarza włoskiego niebo błękitne, a po niem toczące się gwiazdy i miesiąc srebrzysty; na tronie, którego poręcze stanowiły dwa lwy, pięknie z drzewa wyrzeźbione i suto złocone, a z grzbietu zrywał się orzeł srebrny z nastroszonemi pióry i otwartym dziobem — zasiadł król Bolesław. Nad nim z karmazynowej materji greckiej, przetykanej nitkami złotemi i usianej srebrnemi orłami, zrobiony był baldachim wspaniały, ozdobiony u szczytu pękiem białych piór zamorskich.

Król zasiadł w całym majestacie. Miał tedy na głowie, na rozpuszczonych aż na ramiona, długich, ciemnych włosach, gdzie niegdzie już siwiejących, ową małą koronę cesarską, którą mu dał niegdyś w Gnieźnie cesarz Otton. Na ramionach jego fałdowała się dalmatyka ciężka, złocista, podbita gronostajami. Ubrany był w krótki żupan

[1]) Bolesław Chrobry panował przez pewien czas w Czechach i mieszkał w zamku wyszehradzkim w Pradze.

karmazynowy, zapinany na guzy rubinowe, przepasany złotym łańcuchem, u którego zwieszał się puginał [1]), w srebrnej, sadzonej kamieniami pochwie. Pod żupanem widać było obcisłe, półmodre, półżółte spodnie i buty czerwone na nogach, z wielkiemi, zwieszającemi się nosami. Król dzierżył w ręku berło i jabłko i patrzył przed siebie groźnie, i majestat wiał od niego wielki.

Przy nim, nieco poza tronem, stał w opackim [2]) fioletowym stroju, z krzyżem złotym na piersiach, opat Tuni [3]), dalej zaś Stójgniew, cały w srebrzystej zbroi, dzierżył wielki miecz nagi. Mnóstwo wojewodów polskich i czeskich, błyszczących od złota i srebra, otaczało dokoła tron królewski, czyniąc prześliczny widok.

Wprowadzono nakoniec posłów niemieckich. Na ich czele szedł margraf Ekkihard, od stóp do głów zakuty w przepyszną zbroję, czarno szmelcowaną, ze złocistemi prążkami, w hełmie także czarnym, ozdobionym u szczytu w mnóstwo piór czerwonych, czarnych i białych. U boku wisiał mu prosty miecz niemiecki, a z ramion zwieszał się długi płaszcz karmazynowy. Szedł dumnie prosto do króla, chrzeszcząc zbroją i dzwoniąc ostrogami po kamiennej posadzce. Przyłbicę miał podniesioną, i widać było jego bronzową, mocno piegowatą twarz, ryże wąsy i małe, czerwone oczka, patrzące na króla z wyrazem dumy i srogości. W ręce, okrytej żelazną rękawicą, niósł zwój pergaminu, u którego na czerwonym sznurku zwieszała się wielka pieczęć.

Za nim postępowało kilku rycerzy niemieckich, także w zbrojach niemniej pięknych i rozmaitej barwy, przeważnie w karpią łuskę, dwóch heroldów [4]) w krótkich,

---

[1]) Puginał — rodzaj sztyletu. [2]) Opat — przełożony nad kilku klasztorami. [3]) Opat Tuni — doradca Bolesława. [4]) Herold — poseł, który publicznie coś ogłaszał (wojnę, turnieje i t. p.).

żółtych sukniach, na których na piersi wyszyty był czarny, dwugłowy orzeł bizantyjski [1]), i mnóstwo pachołków zbrojnych.

II.

Weszli do świetlicy z brzękiem, z chrzęstem, dzwoniąc ostrogami i mieczami: margraf Ekkihard szedł do tronu królewskiego prosto, z głową dumnie podniesioną, i stanąwszy o kilka kroków, lekko skłonił się królowi. Bolesław zmarszczył brwi, i w jego oczach zabłysł wyraz gniewu. Obróciwszy się do jednego z panów czeskich, który miał służyć za tłumacza, rzekł:

— Wojewodo Przemysławie, spytaj go, kto jest i czego chce?

Gdy Przemysław powtórzył po niemiecku pytanie, margraf Ekkihard podniósł w górę głowę, jedną nogę wystawił naprzód i, prostując się dumnie, a potrząsając piórami na hełmie, rzekł donośnie:

— Jam jest margraf Miśni i Łużyc, Ekkihard, i przychodzę tu z poselstwem do ciebie, Bolesławie, książę polski, a może i czeski — jeśli wypełnisz wolę pana mojego i suzerena [2]), cesarza rzymskiego [3]), Henryka.

Król, usłyszawszy te słowa, wypowiedziane po czesku przez Przemysława, zerwał się z tronu, i widać było, jak straszny gniew go ogarnia.

— Książę! — krzyknął potężnym głosem — książę! On śmie mnie, pana Polski, Czech, Łużyc, Chrobacji i tylu ziem, nazywać księciem, jak jakiego psiaka niemieckiego!...

---

[1]) Państwo bizantyjskie na półwyspie Bałkańskim do w. XV. [2]) Suzeren — władca, zwierzchnik (określ. tymczasowe). [3]) Cesarze niemieccy panowali wtedy i we Włoszech i nosili tytuł cesarzów rzymskich.

Ale opat Tuni nachylił się do króla i szeptał:

— Miłościwy panie, uspokój się i racz wysłuchać posła do końca.

Król opanował gniew, odetchnął głośno, usiadł ciężko na tronie i, wsparłszy głowę na ręce, wołał do Przemysława:

— Pytaj go, czego chce? jeno prędko, bo nie zdzierżę.

Tedy wojewoda Przemysław pyta dalej Ekkiharda, a ten odpowiada:

— Pan mój i suzeren, potężny cesarz rzymski, Henryk, dowiedziawszy się, że ty, książę Bolesławie, wypędziłeś z Czech Rudego i siadłeś na zamku wyszehradzkim, śle mnie, Ekkiharda, margrafa Miśni i Łużyc, z pozdrowieniem.

Król milczał, a Ekkihard, podnosząc głos, prawił dalej krzykliwie, napuszony jak paw.

— Pan mój i suzeren, potężny cesarz rzymski, Henryk, uwiadamia cię, o, książę polski, że gotów jest zostawić cię na Wyszehradzie i ziemią czeską pozwoli ci rządzić, jeżeli z niej pełnić będziesz wiernie służbę wasala i lennika [1]), i daninę roczną płacić będziesz, i trzystu kiryśników dostawiać na każde cesarskie żądanie.

Król, gdy mu te słowa powtórzył Przemysław, zaczerwienił się cały, porwał się z tronu, ale usiadł zaraz, hamując gniew i, obracając się do wojewody, głosem drżącym od wewnętrznego wzburzenia zawołał:

— Powiedz temu psu niemieckiemu, że jam tu pan, i niczyim wasalem ani też lennikiem nie jestem; że służby cesarzowi pełnić nie będę, daniny nie zapłacę i jednego pachołka nie dam; żem ja taki dobry król w Poznaniu

---

[1]) Wasal, lennik — pan, dzierżawca pewnego obszaru ziemi, należącej do suzerena. Wasal słuchał rozkazów swego suzerena.

i Pradze, jak cesarz w Akenie [1]) lub Rzymie. Powiedz mu, jeno prędko, i niech się wynosi z przed moich oczu, bo każę go za drzwi wyrzucić i psami wyszczuć.

W gromadzie polskich i czeskich wojowników rozległy się śmiechy, i szmery zadowolenia, i pobrzękiwanie w miecze. Ekkihard widocznie czerwienił się z gniewu, ale spuścił przyłbicę z trzaskiem na twarz i, opierając dumnie rękę na mieczu, rzekł:

— Zali to ostatnie wasze słowo?

— Ostatnie.

— Ostrzegam cię, o, książę polski, Bolesławie — zawołał na to Ekkihard — że pan mój, a twój suzeren, potężny cesarz rzymski, Henryk, ścigać cię mieczem będzie aż do samego Poznania.

— Niech przyjdzie! — odparł ponuro Bolesław — a nim on przyjdzie, ja ciebie psami wyszczuć każę.

Usłyszawszy to, Ekkihard wyprostował się dumnie i, zdejmując żelazną rękawicę, zawołał:

— Ja, Ekkihard, margraf Miśni i Łużyc, w imieniu pana mego, a twego suzerena, lenniku, o, polski książę Bolesławie, wypowiadam ci wojnę, walkę na śmierć i życie. Wytępimy ród twój niecny, mieczem i krwią wytępim twój lud barbarzyński, tak nam, Boże, w Trójcy świętej jedyny, przez mękę Chrystusa Pana dopomóż!

To rzekłszy, podniósł wgórę rękawicę i cisnął ją z wielką siłą i trzaskiem pod nogi Bolesława. Uczyniwszy to, odwrócił się i zawołał do swoich:

— Herum.

— Hej! — krzyknął Bolesław do rycerstwa polsko-czeskiego — a wyrzućcie mi zaraz tych Niemców z Wyszehradu. Wojewodo Sobiborze! — obrócił się do jednego

---

[1]) Aken (Aachen) — Akwizgran, dawna stolica cesarzów niemieckich.

z panów czeskich — podnieś tę rękawicę i zatknij ją na włóczni. Wojna, to wojna. Pokażemy Niemcom, co umiemy.

Ekkihard szedł tymczasem ku drzwiom wśród śmiechów i szyderstw i zaraz też uciekać musiał z zamku wyszehradzkiego.

Z. W. Przyborowski.

Czy tak dzisiaj przed wojną przemawiają posłowie i odpowiadają monarchowie? Dlaczego dziś jest inaczej? Czy wiesz, jak się skończyła wojna Bolesława z Niemcami? Co znaczą wyrazy: puginał, herold, suzeren, wasal (lennik)?

74. Rycerze.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
Ich konie w żelaznem okryciu,
Na boje ich niosły, turnieje i łowy,
A strój ich był równy ich życiu.

Bo życie ich było i twarde, i krwawe,
A głośne jak bitew fanfary,
Do świętej szli Ziemi po śmierć lub po sławę
Pod krzyża białemi sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
Zatknęli swój znak na wieżycy;
A kiedy spoczęli, to dłonie oparli
Na krwawych swych szabel głowicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,
To z blizną na piersiach lub twarzy;
Ze złotym księżycem pogańskie proporce
U Pańskich składali ołtarzy.

A jeśli klęczeli — to tylko w kościołach,
A jeśli się bali — to czarów;

Po wojnie, przy wielkich dębowych swych stołach
Z zdobytych pijali puharów.

A. Pajgert.

Dlaczego bali się czarów? Czy ci mężni rycerze byli bardzo uczeni? Czy nauka była im potrzebna? Czego się oni uczyli od dziecka?

75. Kraków.

I.

Kraków, dawna stolica Polski, leży na lewym brzegu Wisły. Niegdyś forteca, obecnie składa się z właściwego miasta i przedmieść, któremi są: Kazimierz, Kleparz, Wesoła, Stradom, Nowy Świat i Piasek.

W środku właściwego miasta znajduje się czworokątny rynek, od którego rozchodzi się 11 ulic, połączonych przecznicami. W dawnych wiekach bywał on widownią świetnych uroczystości, kiedy królowie polscy po obrzędzie koronacyjnym zasiadali pośród ludu na wyniosłym tronie i hołd od lennych książąt oraz przysięgę na wierność od większych miast odbierali. Widział on chwilę jedyną i niezapomnianą, gdy człowiek cichy i skromny, ale wielki miłością i poświęceniem, Naczelnikiem narodu obwołany, przysiągł, że «powierzonej sobie władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyje», lecz jedynie dla odzyskania wolności, i wzywał do walki naród cały: panów i księży, szlachtę, mieszczan i kmieci.

Na środku rynku, zabudowanego starożytnemi kamienicami, stoją Sukiennice, gmach wspaniały, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego, a odnowiony w roku 1879. Obecnie są tu na dole sklepy, na piętrze Muzeum Narodowe, zbiór drogich nam pamiątek, i galerja obra-

zów, a przed Sukiennicami wznosi się pomnik najsławniejszego poety naszego, Adama Mickiewicza.

Do najstarożytniejszych i najpiękniejszych budynków krakowskich należą: zamek na Wawelu, Bibljoteka Jagiellońska, kościół katedralny, kościół Panny Marji czyli Marjacki, stara wieża ratuszowa i brama Florjańska z rondlem [1]).

Zamek, zbudowany w południowej części miasta, stoi na górze, Wawelem zwanej. Pod tą górą znajduje się pieczara, w której według podania, miał przebywać smok, wyrządzający wielkie szkody mieszkańcom, a zabity później przez księcia Krakusa. Zamek obecnie odnawiają i oczyszczają z różnych dodatków, żeby odzyskał dawny charakter.

Kościół katedralny na Wawelu obok zamku mieści w sobie 22 wspaniałe kaplice i pełno pomników historycznych. W górnym kościele znajduje się trumna z ciałem św. Stanisława, a w kaplicach i podziemiach groby królów polskich, ks. Józefa Poniatowskiego i Tadeusza Kościuszki. W osobnej krypcie [2]) spoczywają tutaj zwłoki Adama Mickiewicza, «króla pieśni polskiej». Skarbiec kościelny posiada bardzo wiele cennych pamiątek. W dzwonnicy słowny dzwon, Zygmuntem zwany. Wydzwaniał on nam nieraz chwile szczęścia i sławy, witając wracających zwycięzców.

Bibljoteka Jagiellońska, zawierająca 150 tysięcy dzieł, stanowi część dawnego uniwersytetu, t. j. najwyższej szkoły, otwartej w r. 1400 przez Władysława Jagiełłę, wypełniającego w ten sposób wiernie wolę zmarłej żony, Jadwigi. Tu się uczył słynny gwiaździarz czyli astronom, Mikołaj Kopernik.

---

[1]) Rondel — okrągły budynek forteczny. [2]) Krypta — kaplica podziemna.

II.

Kościół Panny Marji, z dwiema nierównej wysokości wieżami, założony w wieku XII przez Iwona Odrowąża, biskupa krakowskiego, mieści w sobie piękne rzeźby sławnego rzeźbiarza, Wita Stwosza, i posiada ściany malowane przez największego malarza polskiego, Jana Matejkę. Wiosną i latem na wieży Marjackiej co rano wygrywają na trąbach *hejnał*, t. j. pieśń poranną.

Innych większych i mniejszych kościołów jest w Krakowie około 40. Z nich wspomnieć należy kościół św. Michała na Skałce, gdzie są «groby zasłużonych» krajowi ludzi; spoczywają tu pisarze: Długosz, Wincenty Pol, Teofil Lenartowicz, Adam Asnyk, J. I. Kraszewski, St. Wyspiański i inni.

Dawniej cały Kraków był otoczony murami i basztami, obecnie murów niema. Z baszt, których było 46, pozostały 3. Na miejscu murów założono naokoło miasta piękne i szerokie aleje, zwane plantami. Opasują one zieloną wstęgą śródmieście i bardzo ozdabiają Kraków, przyczyniając się jednocześnie do jego uzdrowotnienia.

Położenie Krakowa jest bardzo piękne. Przepływająca przez miasto rzeka Rudawa dwiema odnogami wpada do Wisły. U podnóża Wawelu wije się Wisła jak wstęga, poza nią widnieją Krzemionki, skały wapienne, wdali zaś Karpaty i Babia Góra. Pod Krakowem wznoszą się trzy mogiły: Krakusa, Wandy i Kościuszki.

Dzisiejszy Kraków, mimo wielu nowopowstających budowli, nie zatracił dotąd cechy swojej starożytności: ulice nieludne, rynek ogromny a cichy, samotna wieża — pamiątka dawnego ratusza, Sukiennice, wielkie lecz posępne stare kościoły, a w nich pomniki, które były świadkami tak wielu zwycięstw, triumfów i sławy, groby i mogiły królów, wieszczów i bohaterów — wszystko to prze-

nosi nas w przeszłość i czyni Kraków miastem najdroższem każdemu Polakowi. *C. B.*

Według Krynickiego i innych.

Objaśnić wyrazy: forteca, krypta, wszechnica, hejnał. Zrobić rozkład. Czy to jest poezja, czy proza? Kto to był Długosz, Pol, Lenartowicz, Asnyk, Kraszewski, Wyspiański?

76. Dzwon Zygmunt.

Rok 1520.

Onego czasu król dzwon kazał ulać
I wybudował mu wieżę wysoką;
A król potężny miał sławę szeroką,
Chciał, by swobodnie i dzwon mógł pohulać.
Wieżę naprzeciw ściany Tatrów stawił,
By echo dzwonu aż do morza grało,
Żeby potęgę narodu rozsławił
I aż na północ zabrzmiał jego chwałą.
I dzwon ulany — na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę i zawisł u szczytu,
I wylał z siebie w przepaści błękitu
Pierwszy hymn Bogu, jak chóry aniołów.
Głos leciał wgórę w pełnych, brzmiących kołach.
I wstęgę dźwięków jak piorun rozwinął,
Rozbudził echa po dumnych gór czołach
I do stóp Boga zapłynął;
A od imienia króla mu nadano
Na chrzcie tym «Zygmunta» miano.

Rok 1532.

Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa,
A nad nim sztandar triumfu wiał.
W gałązkach dębu siwa jego głowa,
A w oczach ogień zapału tlał:

A przed nim szło sześćdziesiąt dział,
I u stóp króla usiadły.
I za działami zdobyte sztandary
Pod stopy króla się kładły,
I z gołą głową wołoskie bojary
Na twarz przed królem upadły.
I zstąpił z tronu ów król sędziwy,
Jana do serca przycisnął,
Sławą narodu dumny, szczęśliwy,
Łzą rozczulenia zabłysnął.
I kiedy starzec ściskał starca dłonie męskie,
Dzwon rozgrzmiał po powietrzu swe hymny zwycię-
[skie,
A naród uchem w duszę wciągał tę pieśń wzniosłą,
I wzrok mu się rozogniał, i serce mu rosło.

E. Wasilewski.

Dlaczego pamiątki przeszłości są nam tak drogie? Czy nie możnaby nazwać ich bogactwem, nagromadzonem dla nas przez praojców? Czyż nie ubogi jest naród, który skarbów takich nie posiada?

77. Zawisza Czarny.

Wśród gór karpackich, w zamku starożytnym
Mieszkał rycerz zawołany:
Był on przed laty i sławnym i bitnym,
Lecz dzisiaj, wiekiem złamany,
Już tylko dawne wspominając boje,
Patrzył z westchnieniem na wiszącą zbroję.

W starości jedna została otucha:
Syn, w którym miał się odrodzić;
W nim zmłodu niecił wojennego ducha,
Uczył, jak na ostrze godzić;
A gdy Zawisza już umiał wojować,
Sam ojciec chciał go rycerzem pasować.

W obliczu ludu, wśród Pańskiej świątnice [1])
Bierze młodzian cześć rycerza,
Ojciec mu wkłada pancerz i przyłbicę
I mieczem trzykroć uderza,
I mówi, oręż mu dając niezmierny:
— Broń swej ojczyzny, bądź kochance wierny.

Zawisza Czarny — gdyż z tego imienia
Znany był później u świata —
W ciężkiej kolczudze, nie tknąwszy strzemienia,
Lekko wskoczył na bachmata [2])
I gdy wesoło pośród szranków pląsał,
Wywijał mieczem, kopiją potrząsał.

Wkrótce się wsławił czyny walecznemi,
I tak śmiałość jego znano,
Że w Niemczech, Włoszech i tureckiej ziemi,
Kiedy kogo wychwalano,
Przysłowiem było bojów towarzyszy:
«Polegaj na nim, jakby na Zawiszy».

Kiedy go cesarz Zygmunt usiłuje
Zatrzymać dłużej u siebie,
Rzekł mu Zawisza: — «Jagiełło wojuje,
I kraj mój w ciężkiej potrzebie —
Wszystka krew moja, krew polskiej młodzieży,
Drogiej ojczyźnie pierwsza się należy».

Obdarzon zbroją, litym złotogłowem,
Do własnych wraca orszaków,
I pod Grunwaldem i pod Koronowem
Przeważnie gromi Krzyżaków.
Tam czarny rycerz, łamiąc pyszne hordy,
Siał wszędy postrach i okropne mordy.

---

[1]) Zamiast: świątnicy, dawna forma. [2]) Rumak bojowy.

Zygmunt, co wszystkie nadzieje pokłada
W męstwie Czarnego rycerza,
Gdy państwa jego muzułman napada,
Jemu los wojny powierza,
I sam, gdzie Dunaj Gołąbne oblewa,
Z ogromnem wojskiem bystry nurt przebywa.

Ledwie na drugiej stanął cesarz stronie,
Gdy ujrzał tureckie hurmy,
I blask księżyca, i męże, i konie,
I wrzask przeraźliwej surmy:
Na groźny widok trwodze się poddaje,
Wraca za Dunaj i obozem staje.

Lecz wraz spostrzegłszy, że Zawiszy niema,
Śle poń jedną z swoich łodzi.
Mąż, gońca mierząc srogiemi oczyma,
Rzekł: — «Zawisza nie uchodzi;
Ci, co się zlękli, ci mogą uciekać —
Polacy wolą chlubnej śmierci czekać».

«Koń mój i zbroja!» — zawoła na sługę.
Ten podaje miecz niezłomny,
Czarną z srebrnemi gwiazdami kolczugę,
Wkłada mu szyszak ogromny;
Z wierzchołka czuba czarna końska grzywa
Jeży się wgórę i na barki spływa.

Tu tarcz ściskając zbrojnemi rękami,
Podług rycerstwa zwyczaju,
«Żegnam was!» — woła, twarz skrapiając łzami —
O, luba żono i kraju!
Wtem zniża drzewce [1]), bodźcem [2]) konia zwiera
I samotrzeci na tłumy naciera.

---

[1]) Drzewce — rękojeść u kopji lub spisy. [2]) Bodziec — ostroga.

Ta zbroja czarna, okropnie wspaniała,
Ten orzeł pośród pancerza,
I blask oręża, i postać zuchwała
Zdumieniem Turków uderza.
Nie na śmierć, pomny na swych poprzedników
Wpada Zawisza w tłumy zbrojnych szyków.
Gdzie płomienistym orężem zabłyska,
Pod ciosami płytkiej stali
Na karacenach [1]) srebrna łuska pryska,
Padają trupem zuchwali.
Jak groźny Ajaks lub Achilles śmiały,
Kędy uderzył — tysiące pierzchały.
Znużon zwycięstwem, gdy już słabiej włada,
I nikną siły mdlejące,
Z okropną wrzawą mściwy Turczyn wpada
I topi mieczów tysiące...
Poległ, a gdy krew dreszcz śmiertelny ścina,
Konając lubą ojczyznę wspomina!

J. Niemcewicz.

Co znaczy s a m o t w ó r, s a m o c z w a r t, s a m o t r z e ć? Z czego składają się te wyrazy? Jakie znasz oprócz tego śpiewy historyczne?

78. Skąd się wzięły Tatry.

Dawno już, bardzo dawno, bo za panowania króla Bolesława Wstydliwego, jak wiemy, spadła na Polskę jak szarańcza horda tatarska. Niszczyli lasy, wioski i warowne grody, spalili Sandomierz, Iłżę, Kraków, doszli aż do Lignicy i poszliby dalej, gdyby im polski książę nie zagrodził drogi.

Ten książę śląski, Henryk, miał królewską duszę, oddał życie za wiarę i ojczyznę, wstrzymał wroga. Lecz

[1]) Karacena — zbroja w łuskę.

król polski, Bolesław, nie miał duszy rycerskiej i w trwodze kraj opuścił, kryjąc się na Węgrzech.

O ucieczce jego małżonki, świętej Kingi, takie zostało podanie.

Święta Kinga kochana była bardzo przez lud krakowski za pobożność i dobroczynność. Żyła skromnie, a czas dzieliła między modlitwę i dobre uczynki. Ubogi i sierota znalazł u niej zawsze przytułek i pomoc, wszyscy wiedzieli, że mają w niej matkę.

Otóż wedle legendy, gdy zbliżał się Tatar, paląc, mordując wszystko, co spotkał na drodze, dobra królowa opuściła Kraków i na czele swojego ludu uciekała na południe, w stronę Węgier.

Idą, śpieszą, a za nimi mkną Tatarzy, już słychać tętent koni, głuchą wrzawę, lud strwożony woła do królowej: — Ratuj!

Obejrzała się święta pani, a widząc kurzawę na drodze, rzuciła poza siebie kij pielgrzymi.

I nagle gęste lasy osłoniły uciekających, a Tatarzy musieli rąbać sobie drogi i nie mogli prędko przedrzeć się przez gąszcze.

Ale otóż przebyli puszcze i znów gonią, słychać głuche dudnienie, gwar w powietrzu, wdali tuman powstał kurzawy.

— Ratuj nas, królowo! — woła strwożona rzesza — a święta Kinga odwija opaskę i rzuca ją za siebie.

Poniósł wiatr lekką opaskę królowej i rzucił ją na błonie, i rozlała się rzeką błękitną i bystrą, a Tatarzy stanęli i dumają, jak przedostać się na brzeg przeciwny.

Tymczasem królowa śpieszy z swoim ludem i oddaliła się znacznie. Ale niebezpieczeństwo znów grozi: Tatarzy pędzą tuż, tuż, doganiają. Krzyk rozpaczy wydziera się z piersi biedaków, którzy nie widzą już prawie ratunku.

Wtem królowa zdjęła koronę i rzuciła daleko za siebie. I natychmiast przed Tatarami wyrosły góry wielkie aż do nieba, jakby mur, który zagrodził im drogę. Czy podobna się przedrzeć przez takie przepaści?

Chcieli je obejść bokiem, posunęli się w prawo i w lewo, wtem na polu widzą człowieka, który zdaje się ze zdziwieniem patrzeć na piękny urodzaj.

— Hej, człowieku! — odzywają się do niego — nie widziałeś tu królowej w koronie, jako ze swoim ludem uciekała?

— Widziałem — odpowiada wieśniak.

— Gadaj prędko, kiedy to było? gdzie poszła?

— A to było, kiedy siałem ten owies — zaczął wieśniak, lecz Tatarzy nie słuchali go dłużej, bo poco? owies już tylko żąć.

A tymczasem ów owies siał dopiero wczoraj, i kazała mu święta pani odpowiedzieć, gdy o zbiegów będzie pytany, że przechodzili tędy, kiedy ziarno rzucał w ziemię.

Tym sposobem powstały Tatry, a Tatarzy zaprzestali pościgu, i zbiegowie na obcej ziemi przeczekali burzę okrutną pod opieką dobrej królowej.

Jakie znasz jeszcze legendy? Co wiesz o św. Kindze, Bolesławie Wstydliwym i Tatarach?

79. Tatry.

Jak potopu świata fale, A po halach wiatr przega-
Zamrożone w swoim biegu, [nia
Stoją nagie Tatry w śniegu, Uronione orle pióra.
By graniczny słup zuchwale! Świat to chłodny, a Łom-
Biodra Tatrów las osłania, [nica
Ponad niemi stoi chmura, Świeci polskiej ziemi do dnia

Nad Tatrami — jak pochod-
[nia,
A na pełni — jak gromnica...
Każda skała z tobą gada,
Wiatr, co w równiach ledwo
[wieje,
Z nóg tam garnie — deszcz,
[co pada,
To już w turniach śniegiem
[sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze
Pływa sobie orlę wieszcze.

Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękicie bez obłoku
I dokoła okiem błyśnie,
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gma-
[chy
I węgierskich gór winnice.

Czeladź górska też nie-
[podła:
Lud wysmukły niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt
[gibki.
Wiecznie niby młody mło-
[dzian!
Strój ma krótko ukasany,
Topór jasno nabijany,
I sam wszystek wełną
[odzian,
Czysty, ludzki, szczero-
[mowny,
Strojny, dbały i budowny.
Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,
Śmiały w skałach i na wo-
[dzie,
A radniejszy niż lud w do-
[łach.

Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie
[chodzi:
Gdy opędzi zimę snopkiem,
Idzie w równie za zarob-
[kiem.
Do topora lud to sprawny,
A do kosy jaki sławny!
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równie
[rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!

Na świętego, na Wojcie-
[cha,
U nas w polu już pociecha
Ale w górach ledwo taje,
I zaledwie jar nastaje.
A na świątki, na Zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się ju-
[hasy:

Stary baca rej im wodzi, A przez lato juhas zbrodzi
Pies liptowski strzeże owiec, Każdy potok i manowiec.

W. Pol.
(«Pieśń o ziemi naszej»).

Tatry, najwyższe góry w Polsce, należą do łańcucha Karpat. Odróżniamy w nich coraz wyższe piętra: regle — są to góry, pokryte lasem iglastym; wyżej rozciągają się łąki czyli hale, gdzie pasterze (juhasy) pasą latem stada krów i owiec; rośnie tu kosodrzewina i trawy; jeszcze wyżej wznoszą się nagie skały — turnie. Oprócz mchów nic tu nie rośnie. Najwyższe szczyty — Gerlach (Garłuch) i Łomnica, najpiękniejsze jezioro — Morskie Oko.

80. Przygoda w podróży.

Zwiedzałem raz z przyjacielem moim, Świateckim, góry wysokie. Zabłądziliśmy, nie znając drogi. Ponieważ zapadła noc, i łatwo było gdzieś w przepaści życie postradać, więc Światecki powiada do mnie:

— Słuchaj, Władek, ty masz większy talent, więc ciebie większa szkoda. Ja pójdę naprzód. Jak spadnę, ty posiedzisz na miejscu do rana, a rano już sobie dasz radę.

— Nie pójdziesz naprzód — odpowiadam — tylko ja pójdę, bo mam lepsze oczy.

Na to Światecki:

— Ja pójdę naprzód, wszystko mi jedno, gdzie i kiedy zginę.

Zaczynamy się sprzeczać. Tymczasem robi się ciemno jak w piwnicy. Koniec końców umawiamy się, że pójdziemy na losy. Idziemy. Światecki wyciąga węzełek i rusza naprzód.

Puszczamy się przełęczą. Z początku jest dość szeroko, później coraz węziej. O ile możemy wymiarkować, w prawo i w lewo są przepaści, pewnie bezdenne. Grzbiet

staje się jeszcze węższy, a co więcej — okruchy zwietrzałych skał usuwają się nam z pod nóg...

— Idę na czworakach, bo nie można inaczej — mówi Świątecki.

Rzeczywiście nie można było inaczej, więc opuszczamy się na czworaki i idziemy dalej jak dwa szympansy. Ale wkrótce pokazuje się, że i to na nic. Grzbiet skalny robi się nie szerszy od końskiego. Świątecki siada oklep, ja za nim, i opierając się rękoma przed sobą, posuwamy się naprzód z nadzwyczajną szkodą naszych szat.

Po niejakim czasie słyszę głos Świąteckiego:

— Władek!

— Co takiego?

— Grzbiet się skończył.

— A co dalej?

— Pusto... musi być przepaść.

— Weźże jaki kamień i ciśnij... posłuchamy, czy długo leci.

W ciemności słyszę, jak Świątecki maca rękoma, by wynaleźć jaki okruch zwietrzałej skały, a następnie mówi:

— Ciskam... słuchaj.

Nadstawiamy obaj uszu... Cisza!

— Nie słyszałeś nic?

— Nie.

— Ładnieśmy się wybrali! musi być ze sto sążni.

— Ciśnij jeszcze raz.

Świątecki wynajduje większy okruch, ciska.

Ani odgłosu.

— Cóż tam, dna niema, czy co? — mówi Świątecki.

— Trudna rada, będziemy siedzieli do rana.

I siedzimy. Świątecki puszcza jeszcze parę kamieni, wszystko napróżno. Upływa godzina, druga, wreszcie słyszę głos Świąteckiego:

— Władek, a nie zdrzemnij się... nie masz papierosa?

Pokazuje się, że papierosy mam, ale zapałki wyszły nam obydwóm. Rozpacz. Godzina może być pierwsza w nocy, albo nawet i nietyle. Zaczyna padać drobniuchny deszcz. Naokoło ciemność nieprzebita. Dochodzę do przekonania, że żyjąc między ludźmi, czy w miastach, czy na wsi, nie mamy pojęcia, co to jest cisza. Ta, która nas otacza, aż w uszach dzwoni. Słyszę niemal, jak krew krąży mi w żyłach, a bicie własnego serca słyszę doskonale.

Z początku położenie nasze zajmuje mnie: siedzieć jak na koniu tuż nad niezgłębioną przepaścią, to się przecie byle komu w stolicy nie trafi. Ale wkrótce robi się zimno coraz dotkliwsze.

Światecki rzucił jeszcze parę kamieni, powtórzył jeszcze parę razy: — Ani słychu! — i odtąd milczeliśmy ze trzy godziny.

Zdawało mi się, że niedługo powinien się zacząć brzask. Nagle usłyszeliśmy nad głowami krakanie i szum skrzydeł. Było jeszcze ciemno, i nie mogłem nic dojrzeć, ale byłem pewien, że to orły zaczynają krążyć nad przepaścią. Kra! kra! rozlegało się coraz silniej w górze i w ciemności. Dziwiło mię tylko, że słychać tak dużo tych głosów, jakby przelatywały całe legjony orłów. Ale bądź co bądź zwiastowały one dzień.

Jakoż po niejakim czasie dojrzałem swoje ręce, oparte o brzeg skalisty, potem zarysowały się przede mną plecy Świateckiego, zupełnie jak czarna sylwetka na cokolwiek mniej czarnem tle. Tło owo bladło z każdą chwilą. Następnie pyszny bladosrebrny ton począł przeświecać na skale, na plecach Świateckiego, i nasycał coraz bardziej ciemność, zupełnie jakby kto dolewał do niej srebrnego płynu, który wsiąkał w nią, mieszał się z nią, czynił ją z czarnej szarą, z szarej perłową.

Co chwila robiło się świetliściej.

Patrzę, staram się zapamiętać te zmiany tonu i potrosze w duszy maluję, gdy nagle przerywa mi okrzyk Świateckiego:

— Tfu, idjoci!

I plecy jego giną mi z oczu.

— Światecki! — krzyczę — co robisz?

— Nie wrzeszcz, patrz!

Przechylam się, spoglądam — cóż się pokazuje? Oto siedzę na skalistym zrębie, zapuszczającym się w łąkę, która leży może o półtora łokcia poniżej. Mchy głuszyły odgłos kamieni, bo zresztą łąka jest równiutka; wdali widać drogę, na niej wrony, które poczytałem za orły. Potrzebowaliśmy tylko nogi spuścić ze zrębu, żeby pójść najspokojniej do domu.

Tymczasem przesiedziliśmy na zrębie, szczękając zębami, całą Bożą noc.

H. Sienkiewicz.

Co sądzisz o przyjaźni tych dwóch ludzi?

81. Wschód słońca.

Już ostatnie gwiazd perły zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni,
Jeszcze smagławe[1]), lewą coraz się rumieni;
A dalej okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się, i w środku widać białek oka;
Widać tęczę, źrenicę: już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął
I w białej chmurce jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogni wylata,
Tysiąc rac się krzyżuje po okręgu świata,

[1]) Smagławy — czarniawy, ciemny.

I oko słońca wzeszło. Jeszcze nieco senne
Przymruża się, drżąc, wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem;
Aż rozlśniło się, jako kryształ przezroczyste,
Potem jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.

A. Mickiewicz. («Pan Tadeusz»).

Co znaczą wyrażenia «gwiazd perły», «niebo środkiem czoła bladnie», «złożone na wezgłowiu cieni», «tysiąc rac się krzyżuje po okręgu świata»? Wskaż, do czego tu poeta przyrównywa niebo i słońce.

82. Z opowiadań Sabały [1]).

I.

Powiadał mi raz stary Fakla takie podanie, że w tej turni, co się nazywa Pisana, ma być wojsko uśpione.

Było zaś tak:

Raz przychodzim do tego Fakli, a tu stary ledwo żywy leży na pościeli. Ja sobie siadam przy nim i pytam, czego mu brak. A on mi tak powiada:

— Miły, mocny Boże! chłopcze, źle ze mną. Bóg mnie pokarał, i jako widzisz, leżę tu już, Łazarz, wiele lat. Dziecko, tyś młodszy, do światać, a ja — dziś lub jutro...

Słuchaj mnie, to ci opowiem swoje życie. Byłem niegdyś tęgim chłopem, a miałem kuźnię i kułem, co komu było potrzeba. Kowal był ze mnie setny, to też roboty miałem huk.

---

[1]) Sabała — sławny skrzypek i poeta góralski.

Raz, co się nie robi, kuję ku wieczorowi, a tu włazi do kuźnicy jakiś chłop. Ładnie, pięknie pozdrowił Pana Boga, ja mu też tak odpowiedziałem i zgłupiałem, bom mu się przypatrzył i jeszcze w życiu takiegom człeka nie widział.

Niby wojak, bo zbroja na nim, broda po pas, głowa ze stali, a gęba taka piękna, jak u anioła w niebie.

I d o b r z e n i e b a r d z o, pyta się mnie, czybym mu podków złotych nie narobił.

Ja powiadam:

— Czemużby nie, toć od tegom kowal.

I zaczynamy tę robotę: ja kułem, on miechem ruszał, i robota szła.

Narobiliśmy podków i ćwieków mnóstwo, toż mój wojak powiada, żeby zabrać to wszystko w torbę i iść za nim.

Ja powiadam mu: — Czemużby nie? tocieś człek, i nieźle ci z oczu patrzy.

Jak iść, to iść. Myśliwskie prawo krótkie.

Zabrałem się. Idziemy. On na przodzie, ja z podkowami za nim. I tak idziemy do Kościelisk.

Zachodzimy ku Pisanej, a on się do mnie odwraca i tak powiada:

— Nie bójże się, a cicho się sprawuj, a strzeż się zakląć, kiedy tam wejdziemy.

II.

Włazimy w jakieś żleby [1]) i dziury, a turnie to się jakby rozstępowały przed nami. Idziemy, idziemy i zaszliśmy do wnętrza.

Patrzym, a tu tyle ludu, a wszystko leży, głowy na siodłach, a brody mają po pas.

---

[1]) Żleb — wąwóz, rozpadlina.

Zaczęliśmy konie kuć. Ja wbijałem ćwieki i podkowym do kopyt przybijał, a on nogi trzymał. A jakem już wszystko, czego gdzie brakowało, ponaprawiał, nabrał wojak strużyn z kopyt, wsunął mi w torbę i tak powiada:

— Masz tu zapłatę!

Pomyślałem sobie, że kpi ze mnie, alem się z nim nie sprzeczał, choć mi strasznie markotno było, bo cały dzień minął.

Wziąłem torbę i, wychodząc, wysypałem te strużyny; ale kiedym wyszedł w pole, patrzę w torbę, a tu zamiast strużyn, bom nie wszystkie wysypał, są dukaty. Było ich kilka.

Gdybym był strużyn nie wysypał, byłbym się poratował dość godnie, ale musiałem być niegodzien.

Pomyślałem sobie:

— Dziadowi nie daj konia, tylko torbę i kij — i poszedłem.

Zachodzę do chałupy, a baba mnie zębami przyjęła:

— Gdzieś ty był tyle czasu, że cię trzy dni w domu nie było?

Nie wiedziałem, że ten czas tak prędko przeleciał — mnie się chwilką wydawał, ale pomyślałem sobie: — Nie będę się z głupią babą sprzeczał, bo to u nich włosy długie, ale rozum strasznie krótki.

I kułem potem dalej to siekiery, to co się gdzie trafiło, aż tu znowu po kilku latach przyszedł mój wojak, i znowum mu robił podkowy, a gdy mu już dość narobiłem, poszliśmy tam, gdzie pierwej. Myślałem sobie: — Nie będę już taki głupi: nie będę strużyn rzucał.

Kujemy. Zaciąłem się w palec — i zakląłem głośno, a tu co się nie robi, wstają ci naokoło. Mnie strach zdjął.

Jeden się pyta: — Bracie! czy już czas?

Ale mój wojak tak mu powiada: — Nie jeszcze, śpij dalej! —

Na mnie się ostro popatrzył i pogroził mi palcem.

Gdyśmy kuć skończyli, znowu mi wsypał garstkę strużyn do torby.

Idę. Kiedym wyszedł, patrzę w torbę, ile dukatów będę miał, a tu w torbie trzaski z kopyt, jak były. Rozzłościłem się, bo mi czasu było żal, alem sobie potem powiedział: «Toć przez to dziadem nie będę». Wysypałem trzaski i poszedłem. Do karczmy wstąpiłem, do Żyda! Wypiłem, a kiedy się język posmaruje, lżej chodzi.

I tak wypaplałem wszystko Żydowi. Żyd rozgadał po świecie, com mu naopowiadał.

I teraz lata lecą i lecą, a konie niekute, bo tam bylekogo nie puszczą. Ja za karę zaraz zaniemogłem i leżę tak już wiele lat. Z Panem Bogiem nie będziesz w karty grał.

Tak to gadał mi ten Fakla, a łzy to mu ciurkiem z oczu leciały.

Według *Z. Urbanowskiej.*
(«Róża bez kolców»).

«Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami». Jak nazwiesz ten utwór: baśnią, podaniem czy legendą?

83. Dolina Kościeliska.

Rozkoszna, jedyna
Pochmurna dolina,
Dla całych Tatrów ponęta —
Lecz lasy i skały
Wkrąg ją opasały,
I bramą z głazów za-
[mknięta.

Rozkoszna, jedyna
Pochmurna dolina,
Od całych Tatrów kocha-
[na,
Lecz na niej mgły gęste,
I deszcze w niej częste —
Dolina często spłakana.

Bo w skalnej siedzibie,
W Dunajca kolebie,
Panuje straszny duch-po-
[twór,

Zgrzybiały zazdrośnik,
Dunajca miłośnik,
Wciąż patrzy za nim przez [otwór.
Poczwara złośliwa
Szaleje do dziwa,
Jak tylko weźmiesz mu [wody:
Za kroplę stąd biedną
Piekielne bezedno
Potopem wre niepogody.

Siedziba szatana
Skarbami zapchana:
W niej złoto, srebro, jak [śmiecie.
Nie złota duch patrzy,
Od złota skarb rzadszy
Tam leży: wieczne tam [życie.
Kto dosyć wytrwały
Aż w głębię pójść skały,
I na strach mocną ma gło- [wę —

Ten za swoją dzielność
Ma tam nieśmiertelność
I bierze skarbów połowę,
Lecz ducha złość wściekła
Zatrzęsie dnem piekła
Jak tylko drzesz się pod [skałę;

Opada ulewa,
Wiatr lasy wyrywa,
Głaz pęka — Tatry drżą [całe!

S. Goszczyński («Sobótka»),
poeta polski, współczesny Mickiewiczowi.

84. Szklana góra.

Na wysokiej, szklanej górze stał zamek cały złoty, a przed zamkiem była jabłoń, na jabłoni złote jabłka.

Ktoby złote jabłko urwał, wszedłby do złotego zamku, gdzie w srebrnej jednej komnacie ukryta była królewna zaklęta, dziwnej urody. A miała skarby niezrachowane, piwnice pełne drogich kamieni, w izbach zamku skrzynie ze złotem.

Wielu zbiegało się rycerzy, lecz napróżno usiłowali wedrzeć się na szklaną górę. Na koniu ostro podkutym niejeden darł się daremnie i z połowy stromej góry z ciężkim szwankiem spadał; łamali ręce, nogi i karki!

Piękna królewna z jednego okna patrzyła z żalem, jak próżno tacy rycerze dorodni na dzielnych koniach ginęli. Widok królewny zagrzewał ich serca. Zbiegali się zewsząd, z czterech stron świata, ale biedna dziewica już lat siedem daremnie wyglądała zbawcy!

Niemało leżało trupów rycerzy i koni około szklanej góry; wielu konających z połamanemi żebrami boleśnie stękało. Był to cmentarz prawdziwy.

Już rok siódmy za trzy doby miał się skończyć, gdy rycerz w złotej zbroi nadjechał. Rozpędził konia, wdarł się wpół góry z podziwem wszystkich, którzy patrzyli, i nazad wrócił szczęśliwie. Nazajutrz równo ze świtem, gdy mu się pierwsza udała próba, znowu rozpędza swego rumaka: stąpa po górze jako po ziemi, iskry z podkowy błyskają. Patrzą zdziwieni wszyscy rycerze, a on już blisko wierzchołka. Niezadługo spojrzą znowu, aż stoi przed jabłonią. Wtem zrywa się wielki sokół, zaszumiał skrzydłem szerokiem i uderza konia w oczy. Rumak parska, nozdrza wzdyma i najeża gęstą grzywę; stanął dęba wystraszony, nogi mu się ślizgają, pada nazad z rycerzem i porysował szklaną górę; a z rumaka i rycerza pozostały jeno kości, co brzęczały w złotej zbroi, jako suchy groch w pęcherzu.

Siódmy rok się jutro kończy, aż nadchodzi żak [1]) urodny, silny i wysoki. Patrzy, jak rycerzy wielu łamie karki nadaremnie: podchodzi pod śliską górę i bez konia się gramoli.

Już od roku słyszał w domu o królewnie, co zaklęta w złotym zamku siedzi na wierzchołku góry szklanej. Poszedł przeto do lasu, zabił rysia i pazury ostre, długie, przyprawił sobie na ręce i do dwu nóg umocował.

---

[1]) Student.

Taką bronią opatrzony, darł się śmiało na garb szklany. Słońce było na zachodzie, żak w połowie drogi ustał; zmęczony, ledwo oddycha, pragnienie spiekło mu wargi. Czarna chmura nadpłynęła: próżno błaga i zaklina, by choć kroplę uroniła. Naprożno otwierał usta, chmura czarna przepłynęła, ani rosą nie zwilżyła warg, spieczonych jak skorupy.

Pokaleczył krwawo nogi, rękoma się jeno trzyma. Słońce zaszło — patrzy w górę, lecz aby dojrzeć wierzchołek, musiał tak zadzierać głowy, że czapka nadół mu spadła. Spojrzy nadół — jaka przepaść! tam śmierć pewna i niechybna! Z przegniłych trupów straszne wyziewy tłumiły oddech.

Już mrok ciemny, gwiazdy blado oświetlały szklaną górę, a żak młody jak przykuty na skrwawionych ręku wisi. Wyżej piąć się już nie może, bo wyczerpał wszystkie siły; czeka śmierci. Nagle sen mu skleił oczy, zapomina, kędy leży, strudzony, smacznie zasypia. Lecz choć we śnie, ostre szpony tak głęboko w szkło zapuścił, że przespał się do północy, nie zleciawszy z onej góry.

Złotej jabłonki pilnował sokół, co zrzucił z koniem rycerza: zawsze w nocy czujny strażnik oblatał górę wkoło. Zaledwie miesiąc wyszedł z za chmury, uniósł się z jabłoni i, krążąc w powietrzu, zobaczył żaka.

Łakomy ścierwa, pewny, że trup świeży, spuszcza się nagle, siada. Lecz żak już nie spał, dojrzał sokoła i postanowił uratować się z jego pomocą.

Sokół zapuścił mu ostre szpony w ciało: chłopak wytrzymał ból mężnie i uchwycił ptaka za nogi; ten przestraszony, uniósł go nad zamek i począł krążyć wkoło wysokiej wieży. Żak krzepko się trzymał: patrzył na lśniący zamek, co przy bladych promieniach miesiąca świecił jak mdła lampa; patrzył na okna wysokie, migające różnobarwną ozdobą; a na ganku siedziała śliczna

królewna, zatopiona w myślach, dumając nad swoją dolą. Widząc, że blisko leci jabłoni, dobył z za pasa kozika i obiedwie nogi odciął sokołowi. Ptak zerwał się z bólu wyżej i znikł w obłokach, a młodzieniec spadł na szerokie gałęzie jabłonki.

Wtedy dobył szpony sokole, ugrzęzłe mu w ciele, a przyłożywszy skórkę złotego jabłka do ran swoich, wnet wygoił wszystkie. Narwawszy pełne kieszenie złotych jabłek, wchodzi śmiało do zamku. Przy bramie zatrzymuje go smok wielki, lecz zaledwie rzucił nań jabłko, smok skoczył w fosę i zniknął.

Zaraz się wielka brama otworzyła, zobaczył podwórzec, pełen kwiatów i drzew ślicznych, a na wysokim ganku siedziała zaklęta piękna królewna razem z dworem swoim.

Ujrzawszy dorodnego młodzieńca, wybiegła ku niemu, witając w nim rada pana i męża. Wszystkie skarby mu oddała, a żak młody został wielkim i bogatym panem. Na ziemię wszakże powrócić nie mogli, bo tylko wielki sokół, który był strażnikiem i zamku tego i samej królewny, mógł zamek i skarby na skrzydłach swoich na ziemię przenieść, a nazajutrz znaleziono jego zwłoki w pobliskim lesie.

Gdy tak z królewną, a żoną swoją, wyszedł do ogrodu zamkowego, spojrzy nadół i widzi z podziwem, że mnóstwo ludzi się zbiera. Świsnął więc w piszczałkę srebrną, a jaskółka, która służyła za posłańca w złotym zamku, nadleciała.

— Idź, dowiedz się, co nowego tam się stało? — rzekł do małej ptaszyny.

Jaskółka szybko leci, wkrótce wraca i powiada:

— Krew sokoła ożywiła zwłoki martwych; wszyscy, którzy polegli pod górą, wdzierają się na nią zuchwale,

wstali dziś jakby ze snu, dosiadają rzeźwe konie, a lud cały, dziwem zdjęty, patrzy na cud niesłychany.

Klechdy *K. W. Wójcickiego.*

Podanie jest to opowieść fantastyczna o jakiejś miejscowości lub osobie, która naprawdę istniała. Baśń — powieść fantastyczna, w której wszystko może być zmyśleniem.

Szklana góra — baśń (klechda) czy podanie?

85. Pamiętam.

Pamiętam ciche, jasne, złote dnie,
Co mi się dzisiaj cudnym zdają snem,
Bo raj był także otwarty i mnie
W dzieciństwie mem...

I czasem myślę, żem ja tylko spał,
Że całe życie moje było snem —
Zbudzę się, raj ten odnajdę, com miał
W dzieciństwie mem...

K. Tetmajer.

86. Legenda o jaskółce.

Dawno już temu, wiele wieków, wiele, Tatarzyn miasta pustoszył i sioła, brał jeńca w jasyr, śmierć szerzył dokoła, nawałą spadał na wsie, horodyszcza, a kędy przeszedł — ruiny i zgliszcza. Razu jednego z jakiejś wioski cichej horda porwała dziewkę urodziwą. Płonęły strzechy, a po polach trupy pomordowanych ofiar pozostały, wlókł się po ziemi nocą opar biały, i rosły w niebo czarnych dymów słupy.

Dziewkę Tatarzy pognali w obczyznę, i tam w ja-

syrze, od swoich daleko, słone łzy lała na sercową bliznę, słonych łez źródło miała pod powieką. Po całych nocach w niebo modły słała do Panny Marji z prośbą o pociechę, by wrócić mogła pod rodzinną strzechę i ojców swoich zobaczyć przed zgonem, głowę przed nimi pochylić z pokłonem i u ich kolan choćby paść bez ducha.

Pan Jezus, Matce swojej czyniąc gwoli, dał zmiłowanie dziewce w jej niedoli i w ptaszka zmienił dziewczynę stęsknioną, by na rodziców pofrunęła łono. I dziewczę chmurne rozjaśniło czółko, bo poleciała w swe strony jaskółką.

Pod swoją strzechą gniazdo ulepiła i całe lato z rodzicami była, a starcy nawet nie wiedzieli o tem, że mają córkę przy sobie z powrotem, i że to ona w maleńkiem gniazdeczku ćwierka tak do nich codzień nad okienkiem.

W chacie z przybyciem wędrownej jaskółki, jakby się szczęście wraz z nią zagnieździło, przyrósł dobytek, zapasów przybyło, że pełne skrzynie, pełne były półki, i drugi śpichlerz ojciec jej wystawił, bo przy jaskółce Pan Bóg błogosławił.

Więc ludzie na wsi, widząc takie dziwa, poczęli Boga prosić najgoręcej, aby im przysłał takich ptasząt więcej, co wnoszą z sobą dolę tak szczęśliwą. I Bóg wysłuchał. Za Maryi [1]) radą przysłał na wiosnę ptasząt całe stado, i odtąd w siołach i miastach wokoło pełno jaskółek uwija się wkoło.

M. Gawalewicz.

Co to znaczy legenda? — Co tu jest cudownego w tej legendzie? — Czy znasz jaskółkę? Co wiesz o jaskółkach? Gdzie i z czego lepią gniazda? Czem się żywią? Jakie jest podanie ludu o zimowaniu jaskółek?

---

[1]) Tu pisownia taka potrzebna dla rytmu.

87. W puszczy Białowieskiej.

I.

Przedewszystkiem uderza w niej i odróżnia ją od innych lasów mieszanina drzew. Jednolity las znajduje się w częściach pojedyńczych, ale na większości przestrzeni mieszanina przeważa. Sosna, dąb, jesion, osika, świerk — rosną tu obok siebie. Spoglądając wdal, widzisz wszystkie odcienie zieloności, od ciemnej aż do jasnożółtawej. Rozmaitość bawi oko i odejmuje puszczy posępny charakter. Drugą cechą puszczy jest wysokość drzew. Dążąc do światła, które tylko wierzchołkami zachwycić może, każde drzewo nie wyrasta tak szeroko, ale strzela w górę wyniosłym, pozbawionym gałęzi pniem, który dopiero u wierzchołka rozkłada się w gałęzistą koronę. Lipy, które w ogrodach pokrywają cieniem takie szerokie przestrzenie, tu podobne są raczej do topoli. Są miejsca, gdzie las jest czysto lipowy. Dąb nie krzywi się w puszczy, ale wyrasta jak trzcina. Sosny mają czterdzieści łokci do pierwszej gałęzi. Młody las całą siłą pędu pragnie wydostać się do światła, wyrasta więc cienki, rzekłbyś: drzewo myśli o grubości dopiero wówczas, gdy już załatwiło się z wysokością i wierzch w słońcu kąpać może.

II.

Trzask suchych gałęzi i łamanie się drzew i drzewek zwiastowały zbliżanie się żubrów. Gdy całe stado pędzi, sprawia w puszczy taki łoskot, że można je usłyszeć o dwie wiorsty. Ale tym razem zamigotały tylko dwa czarne ciała, sunąc ku nam z nadzwyczajną szybkością i rosnąc z każdą chwilą. Były to dwa stare, olbrzymie samce, co łatwo było poznać z ich garbów i łbów, pokrytych obfi-

temi kudłami, zwieszającemi się w kształcie długich bród pod szczęką dolną. Ujrzawszy nas, zwróciły się nagle i przeszły o jakie półtorasta kroków, skacząc lekko przez zwały drzewne.

Po pewnym czasie znowu ukazało się kilka sztuk między drzewami. Posłyszawszy nawoływanie, zaledwie zdążyliśmy schronić się na drzewa, gdy ze wszystkich stron posypało się sztuk kilkanaście. Były tam stare samce, młode byczki i krowy z cielętami. Niespodzianie połączyło się z niemi stado jeleni, otoczyła nas cała menażerja puszczy. Krasne łanie biegły bezładnie becząc, za niemi podążał jeleń, uwieńczony potężną koroną rogów.

Cały korowód przesuwał się nie więcej, niż o czterdzieści kroków. Małe cielątka, czarne jak żuki, bezrogie, podobne do kulek, śmieszne, z rozwiniętym nad miarę łbem i przodem, a marną resztą ciała, smyrgały z chyżością sarn przez wszelkie przeszkody.

Wogóle żubry są płochliwe, i gdy ranny jeleń rzuca się na strzelca, żubr, należący do stada, prawie nigdy. Natomiast stare samce, chodzące pojedyńczo, są zuchwałe, złe i bywają niebezpieczne.

Czasem taki pojedynek staje poprzek drogi, jak gdyby szukał zaczepki. Widząc zbliżających się ludzi, wozy i konie, poczyna kiwać olbrzymią, brodatą głową, toczy krwawemi oczyma, wydaje głuchy mruk i rzuca się naoślep. Naówczas biada zaczepionemu. To też chłop puszczański, gdy zobaczy zdala stojącego na drodze pojedynka, zjeżdża natychmiast w las. Bywają wypadki, iż stare żubry rzucają się w ostępie na leśnika. Wówczas jedyną obroną jest uciekać naokół cienkiego drzewa, bacząc na obroty napastnika. Naokół grubej sosny, która zasłania ruchy zwierzęcia, dogania ono strzelca z łatwością, depcze go i rozmiażdża racicami, potem porywa na rogi i ciska w górę.

Jeżeli postać żubra jest wspaniała i straszna, to i siła jego niemniejsza. Niedawno olbrzymi buhaj spotkał się ze starym pojedynkiem. Zaczęła się walka. Zapaśnicy parli się łbami lub odskakiwali od siebie, aby zewrzeć się nowem, strasznem uderzeniem. Po kilku chwilach buhaj padł. Nazajutrz znaleziono go z rozdartym brzuchem, a wszystkie kości kręgowe karku miał pogruchotane i zmiażdżone.

H. Sienkiewicz.

Czy żubry żyją gdzie indziej, oprócz puszczy Białowieskiej? Dlaczego je tam hodowano i nie pozwalano zabijać, skoro żubr nie przynosi człowiekowi korzyści? Czy obecnie są jeszcze żubry w puszczy?

88. Zając i niedźwiedź.

Nietylko ludzi łączy zapał święty:
I między zwierzęty
Bywa przyjaźń gorąca.
Dziwnym trafem niedźwiedź bury,
Nadzwyczaj czuły z natury,
Tak się przywiązał mocno do zająca,
Zając do niego nawzajem,
Że ich przyjaźni nazywano wzorem:
Byli to Pollux z Kastorem[1]).
Cóż, kiedy Pollux strasznym był mazgajem!
Ilekroć z swoim zapałem wyjedzie,
Ilekroć swoje uczucia niedźwiedzie
W zajęcze serce chciał przelewać tkliwie,
Zawsze go osapał,
Odrapał,
Zawsze nasz zając skrzeczał przeraźliwie.
Lecz nie tu koniec jego smutnej doli:

[1]) *Pollux* i *Kastor* — dwaj bracia (w podaniach greckich), którzy się bardzo kochali.

Bo gdy raz w cieniu topoli
O wspólnym rozmawiali łosie,
A o marnościach świata rozmyślając,
Zdrzemnął się zając,
I mucha siadła mu na nosie:
Niedźwiedź każdej pory
Do przysługi skory,
Nagle się porywa,
Straszliwie zaczął się dąsać:
— Tak mi mojego przyjaciela kąsać!
O, czekaj, gadzino złośliwa!
Nie wiesz, czem to pachnie! —
Jak się odsadzi, jak machnie,
Tak ją dobrze zagrabił,
Że razem z muchą i zająca zabił.
Każdy, kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
Nudy i biedę pewno sobie kupi;
Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,
Niźli przyjaciel serdeczny, a głupi.

Franciszek Morawski.

Co znaczy przysłowie: «Na wilka idź ze szwagrem, na niedźwiedzia z bratem»?

89. Przygoda Macieja Stryjkowskiego.

Maciej Stryjkowski, sławny kronikarz[1]) polski, urodził się w Strykowie, w Łęczyckiem, 1547 roku. Ledwie odrósł cokolwiek od ziemi, o własnej puścił się mocy, głoskiem przemówił dziecięcym, już wesołością, rozumem rodziców cieszył, dziwił czeladkę. Świeży jak wiosna, jak iskra żywy, obraz swobody i zdrowia, całem był szczę-

[1]) Kronikarz — autor kroniki czyli opowiadania o dziejach narodu.

ściem rodziców, całą ich życia przyszłością. Właśnie rok piąty był zaczął. W sierpniowy wieczór pod modrzewim siedząc dworem, ojciec i matka słodką o synu prowadzili rozmowę. W ciągu dnia dał był dowody nadzwyczajnego dowcipu, potem na czterokątnem podwórzu zręczne wyprawiał skoki i pląsy, teraz jak hetman pobiegł do sadu na czele dzieci wiejskich: tam ich do boju zwykle szykował, tam z niemi igrał wesoło. Rodzice o swych nadziejach mówili. Wtem odgłos przeraźliwego krzyku odbija się o ich uszy; był tam szczególniej krzyk jeden, co matki serce wskróś przeszył; powstaje, drży cała, bieży. Ojciec, zawsze od niej silniejszy, dziś jej wyścignąć nie może... Jedynak bawił się w sadzie, tam jest głęboka sadzawka, tam dążą, ku miejscu temu zbłąkane zwracają oczy, widzą rozbiegłą dziatek gromadę, jakby przed wilkiem owieczek trzodę, jedno za drzewami stawa, drugie w wysoką trawę się kryje, trzecie, co zdążyć może, ucieka, a wszystkie płaczą i krzyczą: «Panicz utonął, utonął!» Już prawie bez tchu rodzice dwoją swój krok, stają nareszcie nad brzegiem wody, zrazu nic na powierzchni nie widzą, lecz wkrótce już bez oporu ciało ich syna wypływa.

Zanurza się ojciec w wodę, nieszczęsnej matce stać przykazuje, wyciąga dziecię, na brzeg je kładzie. Porywa matka mokre dzieciątko, woła na nie — nie słyszy, tuli do łona — nie czuje; bierze je ojciec — toż samo; niosą je pędem do domu, a krew w ich żyłach zimniejsza od zimnej wody, co na nich ścieka. Zbiega się wierna czeladka, przybywa pleban z lekarzem, przychodzą zewsząd stare niewiasty, każdy coś radzi, wskazuje, każdego ojciec i matka słucha, co tylko radzą — robią, próbują — a dziecię zawsze nieżywe. Sine, odęte i zimne, leży zmartwiałe ciałko chłopczyny, każdy je sobie podaje, każdy go cuci, trząsa, naciera, a dziecię zawsze nieżywe. Rodzice rwą włosy, łamią ręce, dawniejsze wznawiają śluby, świętych

wzywają pomocy; lecz niebo głuchem się zdaje, i dziecię leży nieżywe.

«Próżne te nasze mozoły, odbiegłej duszy już nic nie wróci!» — tak mówią cicho pleban i lekarz, tak cicho mówi czeladka. Słonko zachodzi, noc cała mija, dzień drugi spływa okropny; już w sercu ojca nadzieja kona, już mdleje w duszy zbolałej matki. Widząc spełnione srogie nieszczęście, troskliwy pleban z lekarzem rodziców ciągną do drugiej izby, cichaczem trumnę przynoszą. Płacząc sędziwa piastunka obleka dziecię w białą koszulkę, zeschłe włosy gładko czesze, równianką z kwiatów je stroi, kładzie w ostatnią ludzi łożnicę. «Tak cię ja kładłam w kołyskę — mówi do niego, zalana łzami — tak ty mię w trumnę położyć miałeś!» W tej chwili wpada strwożona matka: «Okrutna! cóż czynisz? — boleśnie woła — alboż to dziecię...» — «Umarło — pleban dokończa — umarła twoja pociecha. Ten, co ją zesłał, przyzwał do siebie. Ten, co pożyczył, odebrać może. Poddaj się woli Pana, niewiasto! szanuj z pokorą wyroki Jego». Klęka niewiasta, obok niej ojciec; oboje ręce do nieba wznoszą, usta ich mówią razem te słowa: «Panie, jeśli możesz, oddal ten kielich — jednakże nie dziatek wola — Twoja, Ojcze, niech się stanie!» Tak rzekli, wzmocnieni wstają i mówią głośno: «Weźcie już dziecię!»

Ciśnie się tłumnie czeladka, do dwóch kościołków pleban znać daje, sam się w żałobne szaty odziewa; biorą trumienkę domowi, niosą na barkach odkrytą; wybladła matka zwłok się dotyka, drżąc cały, ojciec żonę podpiera. Idzie przez miasto orszak w milczeniu, wybiegli z domów mieszkańcy co krok to grono zwiększają, każdy w cichości dziecięcia płacze, a więcej jeszcze jego rodziców. Nagle w obydwóch kościołach huczny głos dzwonów powietrze wstrząsa, a matka czuje zimnych zwłok drgnienie.

Krzyknęła, stają; lekarz przybiega, kładą na ziemi trumienkę, i znowu lekkie czuć drganie. Porywa matka z trumienki dziecię, osłania je suknią, rękoma, chce z niem uciekać; wstrzymuje lekarz jej obłąkanie, pomału iść rozkazuje, strwożonej rzeszy krzyczeć zabrania, do swego domu matkę wprowadza, tam w ciepłe łoże dzieciątko kładzie, tam je sam jeden cuci, ratuje, tam słowa nadziei głosi, milczenie, cichość zaleca; matka i ojciec dech swój wstrzymują. Po krótkiej chwili serce dzieciny mocniej uderza, po całem ciałku dech się rozchodzi, dziecię do życia powraca. Niknie zwolna siność z twarzy, krew przebijać się zaczyna, odmyka dziecię oczka zawarte i ku rodzicom je zwraca, blade usteczka nawpół otwiera, chciało przemówić, uwięzły słowa, lecz się uśmiechnąć zdołało. «O, Boże! wszechmocny Boże!» wyrzekła cicho przejęta matka, i łzy szczęścia ciężar strapienia uniosły! Zaledwie trzy dni minęły, już na podwórzu biegał jedynak, już był na nowo szczęściem rodziców.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa,
powieściopisarka polska z pierwszej połowy XIX w.

Stryjkowski żył w czasach zygmuntowskich, napisał bardzo obszerną kronikę, do której zgromadził niezmiernie wiele materjału. Pierwszy pisał o Litwie.

Od czego pochodzą wyrazy: podwórzec, przeraźliwy, jedynak, zbolały, wzmocniony, żałoba.

90. Na stawie.

Cicho, sennie na kryształe,
Pomarszczonym kręgiem fal,
Złote, srebrne płyną fale,
Księżyc rzuca blaski wdal.
Ponad brzegiem — istne duchy
Białe — marzą białe bzy...

Drżąca wierzba strąca puchy
Złotych kwiatów — niby łzy.
Gdzie ścieśnione trzcin szpalery,
Snuje przędzę pająk-tkacz,
Drgają blaski, płyną szmery,
Biją ciche fale w płacz.
Jasne światła lśnią topazem,
Z głębin wieje cisza, chłód;
Dwa księżyce patrzą razem:
Jeden z niebios, drugi z wód.
Tam w zatoce, w mgieł welonie,
Stoją smukłe cienie drzew...
Czekaj! może wiatr powionie,
I słowiczy zabrzmi śpiew.
Cicho, sennie, tylko liście
Ponadbrzeżnych ziół i traw
Szepczą pacierz, i srebrzyście
Długim szmerem dzwoni staw.

K. Gliński.

91. Tren VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja wdzięczna Orszulo, tem zniknieniem swojem.
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było —
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszytki mówiła, za wszytki śpiewała,
Wszytkiś w domu kąciki zawżdy pobiegała,
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytniem głowy psować,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.

Teraz wszytko umilkło, szczere pustki w domu,
Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać się nikomu,
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje.

Jan Kochanowski.

Kto to była Urszulka? Kto był Jan Kochanowski, jej ojciec? Za którego króla żył? Które wyrazy w tym trenie różnią się od dzisiejszej naszej mowy?

92. Z przypowieści Adama Mickiewicza.

Płynęły po morzu wielkie okręty wojenne i statek jeden mały rybacki. A był czas burzliwy, jesienny. Rzekli więc ludzie z brzegu: — Szczęśliwi żeglarze okrętów wielkich! Biada żeglarzowi na statku rybackim czasu jesiennego!

Ale nie wiedzieli ludzie z brzegu, iż na okrętach wielkich popili się majtkowie i zbuntowali się, i potłukli narzędzia, przez które sternik uważa gwiazdy, i skruszyli żeglarską iglicę magnesową. A wszakże okręty zdawały się napozór równie potężne jak pierwej.

Ale nie mogąc widzieć gwiazdy na niebie i nie mając iglicy magnesowej, zbłądziły i potonęły okręty wielkie.

A statek rybacki, patrząc na niebo i na iglicę, nie zbłądził i doszedł do brzegu, a chociaż rozbił się przy brzegu, uratowali się ludzie i uratowali narzędzia swe i iglicę, a okręt znowu odbudują.

I pokazało się, że wielkość i moc okrętów dobre są, ale bez gwiazdy i kompasu niczem są.

A gwiazdą narodów jest wiara niebieska, a iglicą — miłość Ojczyzny.

Więc z wiarą i miłością wypłynie statek polski, a bez wiary i miłości ludy potężne zabłądzą i rozbiją się. A kto się wyratuje, nie odbuduje okrętu.

Co znaczy ta przypowieść? Pisał ją Mickiewicz na wygnaniu. Do kraju wrócić nie mógł, chociaż tęsknił bardzo. Polacy powstali w r. 1830—1 i rok cały walczyli o wolność, lecz pokonani, musieli się poddać lub kraj opuścić. Wtedy wielu cierpiało nędzę, rozpaczało i wątpiło o przyszłości. Dla nich Mickiewicz napisał tę przypowieść, żeby do nich przemówić, jak ojciec i prorok: — Wierzcie, a nie zginiemy! — Za takie wielkie i prorocze słowa czcimy i czcić będziemy naszych wieszczów, bo oni ratowali nas od zguby, od rozpaczy i zwątpienia. Ich wiara i miłość przelewała się w serca nasze i ocaliła statek czyli ojczyznę.

93. Karliński.

Pod Olsztynem obozem wkół leżą
Księcia Maksa wojenne szeregi,
Raz i drugi do szturmu uderzą,
Lecz się łamią, jak fala o brzegi:
Zdobyć twierdzy obronnej nie mogą,
W niej Karliński dowodzi załogą.
Więc na sioło pobliskie napadli,
Na dom wodza załogi fortecznej.
Ach, spalili ci dom i wykradli
Twoje dziecię, o wodzu waleczny!
Twego synka, niemowlę w pieluchach
O złocistych na główce swej puchach.
Twoje dziecię z piastunką, co płacze,
Zapędzili pod mury Olsztyna,
I mówiły te dusze żołdacze:
— Olsztyn w ręce da nam ta dziecina.
Więcej zdziała od naszych oręży,
Tylko ojciec w nim wodza zwycięży.
Przypadł goniec pod okop zamkowy
I zatrąbił pokoju sygnałem,

Z dzielnym wodzem zażądał rozmowy
I odezwał się słowem zuchwałem:
— Otwórz bramy przed armją niemiecką,
Oddaj Olsztyn, lub zginie twe dziecko.
Skroń starcowi oblała się potem,
Zbladnął, zgrzytnął, boleścią rozdarty,
Serce biło o pancerz jak młotem,
Długo milczał, na szabli oparty.
Nagle cały się wstrząsnął gwałtownie
I zawołał: — Nie oddam warowni!
Ho, do szturmu tam biegną ich roty,
A jak biała chorągiew na przedzie
Świeci dziecię, aniołek ten złoty.
Czyż do boju szatanów tych wiedzie?
A głos w dzikim rozlega się gwarze:
— Przecież strzelać do syna nie każe?
Długo rycerz stał niemy na wałach,
Oko żarem straszliwym mu świeci.
Bombardjerzy na hasło przy działach
Oczekują... Wódz nagle lont [1]) chwyci,
Błysnął płomień, padł wystrzał armatni,
Padł pod strzałem syn jego — ostatni!
Wszystkie działa ryknęły wystrzałem,
Huczą pieśnią pożogi straszliwą,
Dymy gęstym rozsiadły się wałem,
Napastnicy nie ujdą stąd żywo!
Pod czarnemi fortecy murami
Całe błonie zasłane trupami.
I jak oko dalekie zasięże,
Pod Olsztynem nie widać już wroga...
Wojownicy otarli oręże,

---

[1]) *Lont* — sznur konopny, nasycony materją palną, służył do zapalania działa.

Ale milczy zwycięska załoga:
Dziś nie pora okrzyków wesela,
Wojsko wodza żałobę podziela.
On milczący wciąż stał przy armacie,
Długo patrzył na krwawy plac bitwy.
Czy skamieniał po ciężkiej swej stracie?
Czyli w ciche utonął modlitwy?
Spojrzał w niebo, potem głowę skłonił
I twarz sobie rękami zasłonił...
Stoi orszak rycerzy szlachetny,
Lecz nikt nie śmie przerywać tej ciszy;
Wtem się ozwie on ojciec bezdzietny
I do swoich tak rzekł towarzyszy:
— Wyście świadkiem, mężowie olsztyńscy,
Że tak poległ, jak wszyscy Karlińscy!

Adam Pajgert.

Porównać z Głogowem. Jak rozumieli wówczas Polacy obowiązki względem ojczyzny? Czy może zginąć kraj, którego obywatele tak czują?

94. Stałość Regulusa.

Podczas wojny z Rzymianami (254 r. przed nar. Chr.) Kartagińczycy wzięli do niewoli konsula (wodza rzymskiego) Regulusa, lecz tyle doznali klęsk, że postanowili zakończyć tak złowrogą dla siebie wojnę szybkiem zawarciem pokoju. W tym celu zaczęli cokolwiek łagodniej obchodzić się z więźniem i nakłonili go, aby w towarzystwie ich posłów udał się do Rzymu dla skuteczniejszego wyjednania od senatu pokoju, albo przynajmniej wymiany jeńców. Zanim jednak Regulus wyszedł z Kartaginy, musiał wykonać przysięgę, że jeżeli nic nie sprawi, powróci do więzienia.

Szybko rozbiegła się pomiędzy Rzymianami wieść

o powrocie Regulusa; całe miasto zabrzmiało okrzykami radości, wszyscy wybiegli na spotkanie dzielnego konsula, lecz ten, przybywszy do bram miasta, nie chciał wejść, mówiąc do tych, co go zapraszali:

— Nie jestem obywatelem Rzymu, jestem niewolnikiem Kartagińczyków, przybywam jako ich poseł, a posłowie nieprzyjacielscy do Rzymu nie wchodzą.

Senat więc zgromadził się poza murami miasta, a gdy wraz z kartagińskimi posłami stanął przed nim Regulus, i kiedy go wezwano, aby objawił treść swego poselstwa, odezwał się w te słowa:

— Senatorowie! Kartagińczycy, przez których zostałem wzięty do niewoli, nakłonili mię, abym, przybywszy do Rzymu, żądał od was w ich imieniu zawarcia pokoju, albo przynajmniej wymiany jeńców. Co do mnie, radzę wam odmówić jednego i drugiego.

Kartagina jest dziś zupełnie osłabiona, widzi, że dalej prowadzić wojny nie może, i dlatego tylko żąda od was pokoju. Co się tyczy zaś zamiany jeńców, pytam, jaką korzyść Rzym odniósłby z żołnierzy, którzy z obawy śmierci dobrowolnie złożyli broń i stali się pogardą zwycięzcy? Wy zaś między jeńcami kartagińskimi macie mnóstwo dowódców młodych i odważnych, którzyby kiedyś mogli stanąć na czele wojsk nieprzyjacielskich. Nareszcie o mnie niema się co dobijać, jestem stary i nie na wiele przydałbym się Rzymowi; gdy tymczasem ci, których oddalibyście za mnie, byliby dla Kartaginy niemałą podporą. Nie popełniajcie tak wielkiego błędu, odmówcie wszelkiej zamiany i prowadźcie wojnę z większą niż kiedykolwiek wytrwałością.

Senat, przekonany tą mową, postanowił odrzucić natarczywe propozycje Kartagińczyków, ale jednocześnie chciał zatrzymać Regulusa w Rzymie. Niektórzy senatorowie przekładali mu, że wykonał przysięgę w kajdanach,

że zobowiązania człowieka, będącego w niewoli, nie powinny go wcale krępować. Nawet wróżbici, umyślnie zgromadzeni, oświadczyli, że Regulus może pozostać w Rzymie bez grzechu krzywoprzysięstwa, ponieważ nie jest obowiązany dotrzymać przysięgi, wykonanej wiarołomcom.

Regulus, uważając te wszystkie pozory za niegodne człowieka honoru, odpowiedział:

— Przysiągłem powrócić do Kartaginy, bo tak chciałem; a chcę powrócić, bom przysiągł.

Taka stałość bardziej jeszcze zachęciła senat, aby go zatrzymać, lecz wszystkie środki okazały się daremnemi.

Regulus wiedział, że, wracając do Kartaginy, szedł na niechybną śmierć, ale przekładał zgon chwalebny nad życie, którego bez złamania przysięgi, bez naruszenia honoru nie mógł zachować. Dlatego też pomimo płaczu i próśb żony, dzieci, krewnych i przyjaciół, pomimo nalegań senatu i całego ludu, który, zgromadziwszy się tłumnie około niego, prawie przemocą chciał go zatrzymać w Rzymie, bohater powrócił na miejsce spodziewanych męczarni z tak wesołem i pogodnem obliczem, jak gdyby szedł odbywać triumfalny pochód.

Przybywszy do Kartaginy, wycierpiał najokropniejsze tortury, na jakie zdobyć się mogła wyobraźnia rozwścieczonych Kartagińczyków i wyzionął ducha w krwawej męce. Tak zginął Regulus, jeden z najznakomitszych ludzi, jacy opromieniali Rzeczpospolitą Rzymską.

J. Chęciński.

(«Obrazki historyczne»).

Wymień Polaków, którzy oddali życie za ojczyznę.

95. Duma

o Stanisławie Żółkiewskim.

Za szumnym Dniestrem, na cecorskiem błoniu,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski, odważny i smutny,
W błyszczącej zbroi i na śnieżnym koniu.

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc, w noc cichą świecąc roztoczony,
O srebrne skrzydła i hełm się odbijał,
Lecz rycerz wzdychał, żalem obciążony.

Kiedy tak dumał, po białym promieniu
Błyszczącą widzi stal pomiędzy krzaki:
Był to hełm, na nim w zbyt drogim kamieniu
Herb Żółkiewskiego i rdzy krwawej znaki.

Zdjął go i na tak tkliwe widowisko
Jął mężny rycerz rzewne łzy wylewać,
A widząc srogie walk pobojowisko,
Usiadł i takie zaczął rymy śpiewać:

«Cecorskie pola i wy, głuche lasy,
Co na wierzchołkach swych wiatry niesiecie,
Roznieście ciężkie żale me po świecie
Nad wodzem, sławnym w wiekopomne czasy.

Mężu, co sławy chęć wyssałeś w mleku,
Zamoyski twoje przepowiadał cnoty,
Pod jego znakiem w wiosny jeszcze wieku,
Słałeś mord srogi w liczne Niemców roty.

Cóż, gdy hetmanem zostałeś z rycerza
I świetnym pułkom przewodzić zacząłeś?
Granice Polski ręka twa rozszerza,
Podbiłeś państwa i już Moskwę wziąłeś.

Hetmanie, pełen nieśmiertelnej sławy,
Dniu, w sercach polskich nigdy niezmazany:
Kiedyś — z szczęśliwej wróciwszy wyprawy,
Przed zgromadzone stawił jeńców stany.

Król Zygmunt siedział na tronie, a wkoło
W szkarłatnych szatach poważni ojcowie,
Młody Władysław pozierał wesoło,
Wtem wszedł Żółkiewski, a za nim carowie.

— Królu, narodzie wolny i potężny!
Wiodęć ród carów, nieszczęsny, lecz mężny;
Przyjm go, nie jako chluby widowisko,
Lecz jak odmiennej fortuny igrzysko.

Bodajby nieba, co nam dziś szczęściły,
Wiodły zwycięstwa za orły polskiemi,
Bodajby wnuki sposoby srogiemi
Za krzywdy przodków nigdy się nie mściły!

Ty, Władysławie, byś jej klęski słodził,
Moskwać przeze mnie śle poddaństwa śluby,
Rządź nią, lecz pomnij, kędyś się urodził,
Niechaj ci kraj twój zawsze będzie luby!

Tak mówił hetman. — Któżby rzekł, że chwile
Tak świetne w ciężkie zamienią się klęski?
Że, nie mogąc się Turków oprzeć sile,
Szanowną głowę da pod miecz zwycięski!

Obóz mu cały wśród łez i rozpaczy
Wyniósł grobowiec i zwłoki w nim schronił,
Na nim ten napis śmierć i cnotę znaczy:
«On piersi swemi ojczyznę zasłonił!»

Ty, drogi hełmie, skronie mu wieńczyłeś,
I włos zsiwiały na pracach ojczyzny,

Ty w bitwach młodym rycerzom świeciłeś,
Tyś mu na czole krył szlachetne blizny!

Przysięgam, że cię na głowę nie włożę,
Aż nieprzyjaciół krwią mego nie zmyję,
Aż cieniom wodza ofiary nie złożę
I pól cecorskich trupem nie okryję!...»

A tak Sieniawski każdy bój stoczony
Chciał, by dla niego był chwałą lub zgubą.
Dotrzymał słowa i laurem wieńczony,
W ogromnym hełmie stanął przed swą lubą.

J. U. Niemcewicz.

Opowiedz, jak to było pod Cecorą. Kto pomścił śmierć Żółkiewskiego i klęskę?

Wypisz stąd kilkanaście trudniejszych wyrazów.

96. Ucieczka z niewoli.

Po klęsce Żółkiewskiego pod Cecorą część wziętych do niewoli jeńców Polaków odesłano z Konstantynopola do Afryki. Płynęli na galarach, które prowadził Kassymbeg basza. Na jednej z nich, największej, pośród niewolników znajdował się Polak, Marek Jakimowski. Ten od pierwszej godziny postanowił, że musi uciec i rodaków uprowadzić. Czekał tylko sposobnej chwili.

Mijając Archipelag, zatrzymali się przy wysepce Stretto, a basza wysiadł na ląd wraz z częścią załogi, dla zaopatrzenia swoich statków w wodę.

— Teraz czas — pomyślał młody Jakimowski i zwierzył się Szatanowskiemu i Stołczynie z odważnego zamiaru. Lecz obydwaj nazwali go szalonym. Turcy byli

uzbrojeni, Polacy — bezbronni — nawet wioseł, któremi pracowali, nie mogli wyjąć z otworów, a dozorcy stali nad nimi z batami.

Lecz Jakimowski nie dał się przekonać.

— Okręt nasz — mówił — pierwszy wśród eskadry, stoi na czele, oddalony nieco od innych. Trzeba rzucić się na Turków, pokonać ich, wybić, statek opanować i puścić się na pełne morze. A tam już Boska pomoc.

— A jak się nie uda?

— To zginiemy. Lepiej umrzeć, niż być niewolnikiem. Jeżeli zaś się uda, wrócimy do kraju, pod ojczyste strzechy, do swoich.

Nie dali się przekonać. Jakimowski wahał się jeszcze czas jakiś, nagle zawołał głośno:

— Kto Bogu ufa, Bóg go nie opuści! Do broni, bracia, bijcie Turczyna! — I rzucił się na dozorców.

Szatanowski i Stolczyn, choć mu odradzali, posłuchali teraz komendy, ażeby nie opuścić towarzysza, inni rzucili się także na pomoc.

Jakimowski wysadził drzwi do składu broni, Polacy natychmiast chwycili za oręż — zawrzała walka, zgiełk nieopisany. Kapitana statku wrzucono do morza, muzułmanie usiłowali mordować jeszcze bezbronnych jeńców, lecz Jakimowski zastąpił im drogę — starcie było straszliwe.

Tymczasem z innych statków spuszczono łodzie z żołnierzami. Turkom przybywała pomoc. Widząc to, Jakimowski odciął toporem kotwicę, galera zakołysała się mocno na falach i popłynęła dalej.

— Rozpiąć żagle! — zawołał Jakimowski, lecz Turcy opierali się temu gwałtownie, nie chcąc, żeby wiatr porwał statek na pełne morze. Trzeba było walczyć o żagle, ster, wiosła, każdą drobnostkę.

Tymczasem rozpętał się szalony wicher, statek pędził po falach, unosząc się i zapadając w otchłanie.

A Kassym-beg przeklinał giaurów, miotał się wściekły na brzegu. Stracił największy okręt, na nim żonę i pełną kasę. Co go czeka za niespełniony obowiązek.

Rozkazał strzelać. Dano ognia z dział portowych. Galery i łodzie wypłynęły z portu, ścigając uciekających. A jednocześnie niebo zasępiło się chmurami, spiętrzyły się fale, uderzyły gromy, błyskawice rozdarły ciemność.

Galery i łodzie wracały do portu, aby się uchronić przed burzą, uciekający statek zginąć musi. Jakimowski płynął odważnie. Może go czeka śmierć, lecz może ocalenie. Lepsza śmierć od niewoli — mówił sobie.

Pozostali przy życiu Turcy zdali się na łaskę chrześcijan, teraz panów okrętu. Polacy ich rozbroili, lecz darowali życie.

Burza miotała statkiem wśród wysepek i skał podwodnych, których pełno w Archipelagu, ale po wielu trudach i niebezpieczeństwach dopłynęli szczęśliwie do większej wyspy Zante. Był tam klasztor chrześcijański, więc znaleźli pomoc pobożnych zakonników, naprawiono statek, zgodzono marynarzy, znających te morza, aby przeprowadzili zbiegów do Sycylji.

Stamtąd już bez przeszkody dostali się do Rzymu, gdzie papież, Paweł III, w obecności kardynałów wynagrodził męstwo chrześcijan orderem Świętego Krzyża. Jakimowski, dziękując Bogu za miłosierdzie, dał wolność wziętym na galerze Turkom i bez okupu puścił żonę Kassym-bega. Było to w lutym 1621 r. W parę miesięcy później szczęśliwi zbiegowie stanęli na ojczystej ziemi.

Podług *E. Burzyńskiej.*

Porównać ówczesne galery i wogóle statki z obecnemi parowcami. Kilka słów o rozwoju żeglugi.

97. Złoto i żelazo.

Dukat, świetnem pyszny złotem,
Pod twardym jęczący młotem,
Tak na swe losy narzekał:
— Czegóżem ja się doczekał?
Ach, jaką to dla mnie skazą —
Być gnębicnym przez żelazo,
Przez kruszec podły i twardy!
— Chciej powściągnąć ton swój hardy
Młot na dukata zawoła:
— Nikt tego zmienić nie zdoła,
Nikt tej prawdy nie ukryje,
Iż żelazo złoto bije.
Póki żelazo będziemy posiadać,
Umieć, jak pługiem i orężem władać,
A cnota z męstwem będą kraju stróże:
Obca nas chciwość nigdy nie przemoże.

J. U. Niemcewicz.

Co jest pożyteczniejsze: złoto czy żelazo? Co to znaczy: «Nie wszystko złoto, co się świeci»? Wytłumacz ostatnią zwrotkę.

98. Stefan Czarniecki.

(Materjał z W. Czermaka).

I.

Jednym z najdzielniejszych wodzów, jakich miała Polska, był Stefan Czarniecki. Żył on właśnie w czasach bardzo ciężkich dla kraju, bo za panowania Jana Kazimierza, kiedy różni najezdnicy jak potok zalewali Polskę [1]).

Od wczesnej młodości czuł już Czarniecki wielki pociąg do służby wojennej i prosto ze szkół wstąpił do

[1]) Były wtedy wojny z Rosją, Kozakami, Tatarami, Szwedami i Węgrami, a we wszystkich brał on udział.

wojska. Za Władysława IV odznaczył się w paru walkach, a gdy nastąpił pokój, ożenił się i osiadł na wsi, w rodzinnej Czarńcy.

Niedługo jednak używał spoczynku i wytchnienia: wybuchły straszne wojny kozackie (bunt Chmielnickiego). Czarniecki, walcząc w szeregach polskich, dostał się do niewoli tatarskiej. Przecierpiał w niej dwa lata, ale poznał naturę i zwyczaje Tatarów, co mu się później przydało.

Po ugodzie zborowskiej wykupiony z niewoli, znalazł się znowu na placu boju i pod Beresteczkiem przyczynił się do zwycięstwa nad Kozakami i Tatarami.

Mężny, wytrwały i niestrudzony w służbie, zyskał do tego stopnia zaufanie hetmanów, że mu powierzali znaczne oddziały wojska pod rozkazy. Awansował też szybko.

Podczas oblężenia Monasterzysk odniósł ciężką ranę: kula nieprzyjacielska rozdarła mu policzek i wyrwała podniebienie. Pozbawione wodza wojsko odstąpiło od szturmu. Kiedy Czarniecki przyszedł do siebie, pierwsze jego pytanie było: «Czy miasto wzięte?», a gdy mu powiedziano prawdę, z żalu i gniewu dostał nowego krwotoku.

Wyleczył się wprawdzie z rany, ale pozostała mu po niej głęboka blizna na twarzy i podniebienie ze srebrnej blachy, które musiano wprawić w miejscu zniszczonego przez kulę. Niestrudzony bohater gromił znowu nieprzyjaciół pod Ochmatowem, ale najwięcej zasług położył wtedy, gdy wszyscy na duchu upadli — w czasie najazdu szwedzkiego.

II.

Kiedy większość Polaków poddała się lub uległa Karolowi Gustawowi, królowi szwedzkiemu — on został

wierny swemu prawowitemu monarsze — Janowi Kazimierzowi. Bronił dzielnie Krakowa przed Szwedami, a potem, gdy i Kraków musiał ulec najeźdźcy, tworzył Czarniecki małe oddziały rycerzy, napadał Szwedów znienacka i bił nieraz o wiele liczniejszego nieprzyjaciela.

Raz Szwedzi spalili most na Pilicy, chcąc odciąć naszemu wodzowi przeprawę. Czarniecki jednak nie namyślał się ani chwili i, stanąwszy na czele wojska, rzucił się w nurty rzeki, a za nim całe rycerstwo. Szwedzi zostali pobici [1]).

Podczas tej wojny król duński, którego też Szwedzi napadali, zawarł z Polską przeciwko wspólnemu wrogowi przymierze. Wyruszył wtedy Czarniecki do Danji w sześć tysięcy doborowej konnicy, złożonej z samych zuchów i wiarusów, co się ognia, ani wody, ani kul nie bali. Okazało się to podczas przeprawy przez cieśninę morską na wyspę Alsen. Stanęło wojsko nad brzegiem morza, a tu okrętów do przewozu ani śladu! Niemcy, którzy tam niby do pomocy stali, zaczęli w miejscu dreptać, nie wiedząc, co czynić. Ale Czarniecki nie nawykł ustępować przed nikim i niczem: dał znak swoim i w mgnieniu oka pozdejmowali z koni kulbaki [2]), powsiadali do łodzi, które były napodorędziu, i trzymając konie za uzdy, wprowadzili je do wody. Wkrótce stanęli Polacy na przeciwległym brzegu, ku wielkiemu zdumieniu obecnych, i wyparli Szwedów z wyspy.

Cały rok bojował Czarniecki ze Szwedami w Danji i ostatecznie ich stamtąd wypędził. Nie odpoczął po powrocie do kraju, tylko znowu walczył i walczył bez wytchnienia, gdyż w ojczyznę biły dalej gromy. Pamięta go Litwa i Ukraina. Aż nareszcie upadł na siłach ten człowiek żelazny i rozchorował się ciężko. Pragnął ratować

---

[1]) Zwycięstwo pod Warką. [2]) Kulbaka — siodło proste.

zdrowie, by służyć dalej krajowi, kazał się wieźć do Lwowa, ale w drodze nastąpiło takie pogorszenie, iż musiano się zatrzymać z chorym we wsi Sokołówce. Nadchodziła śmierć. W tych ostatnich chwilach życia odebrał Czarniecki list od króla z nominacją na hetmana polnego [1]). Dotąd nim nie był! — «Zawszem się tego spodziewał», powiedział umierający, «że mi król da buławę [2]) natenczas, kiedy ustanę wojować». Po przyjęciu sakramentów św. pożegnał wiernych towarzyszy boju, konia ulubionego i skonał cicho i pogodnie. Stało się to dnia 16 lutego 1665 r.

III.

Był to prawdziwy rycerz z powołania. Nie dbał nigdy o wygodę i nie lubił wystawnego życia. Czasem, bywało, dzień i noc nie zsiadał z konia, a kiedy bawił w obozie, to mieszkał i żył zupełnie jak szeregowiec. Zwyczajnym jego pokarmem była wędzonka, jedynym napojem — woda; gdy go sen zmorzył, to kładł się na wojłoku i opierał głowę na siodle. Ale nie tracił dużo czasu na spoczynek, nieraz nie dosypiał nocy i wyprzedzał wschód słońca, by nieprzyjaciela zaskoczyć znienacka.

Lubił nadewszystko szybkie i gwałtowne ruchy; spadał nagle, cofał się i znowu spadał jak piorun, raz po razu, nie dając przeciwnikowi wolnej chwili do zebrania sił i wytchnienia.

Sam stanowczy i nieugięty, niecierpiał ludzi chwiejnego charakteru i ociężałej natury; a już najbardziej nienawidził tego ociągania się, odkładania roboty z dnia na

---

[1]) Hetman polny był pomocnikiem hetmana wielkiego.

[2]) Buława — oznaka godności hetmańskiej.

dzień, marudztwa, które na wojnie najczęściej bywa przyczyną wszelkich niepowodzeń.

Lecz przy tem wszystkiem kochał swoje wojsko i oszczędzał je, jak ojciec szanuje i oszczędza swoje dzieci. Można powiedzieć, że jeśli mu się dobrze powodziło, to dlatego, że towarzysze broni i podwładni szczerze i gorąco go miłowali. Gdy on przybył, opuszczała wojsko obawa i niepokój. Wszystko czuło się bezpiecznem pod jego opieką.

To też między takim wodzem a żołnierzami wywiązał się stosunek serdeczny. «Czarniecki znał swoich ludzi nawskróś, bo żył z nimi jak z braćmi i przyjaciółmi. Nie stronił od nich dumnie, przeciwnie, chętnie bawił w ich towarzystwie. Przechadzał się po obozie, rozmawiał z każdym, kto się do niego garnął, miał dla żołnierzy zawsze dobre słowo i żart na zawołanie». Nie dziw, że żołnierze przepadali za swym wodzem.

«A cóż dopiero, kiedy Czarniecki stanął na czele swoich chorągwi, prowadząc je do walki! Wojsko wpatrywało się weń jak w tęczę, czekając z niecierpliwością hasła bojowego, a Czarniecki umiał wybornie zagrzać i porwać za sobą żołnierza».

Panowie szlachta uważali sobie za wielki zaszczyt służyć pod takim wodzem. Nazywali się nawet z dumą «Czarniecczykami».

Życzliwy i łaskawy jak ojciec, wymagał też ten wódz takiego posłuszeństwa, jak ojciec od dzieci. Karność w jego wojsku była tak przykładna, jak nigdzie indziej. Nigdy nie zdarzyło mu się, żeby go opuścili żołnierze, albo opierali się wykonaniu jego rozkazu. Bo jakże było się opierać, kiedy Czarniecki szedł sam w pierwszy ogień! «Nie śmierć jego, ale on ochotnie zawsze szukał śmierci» — świadczy jeden z podwładnych towarzyszy.

Przy tylu przymiotach i zasługach ten człowiek wielki był niesłychanie skromny. Kiedy wjeżdżał do Lachowic po zwycięstwie, wyszli przeciwko niemu w procesji zakonnicy, szlachta i lud cały. «Witaj nam, witaj, niezwyciężony wojowniku, obrońco i zbawicielu nasz!» wołali. A on zatulał uszy czapką, nie chcąc słuchać owego pochlebstwa. Wszak pracował dla ojczyzny, a nie dla własnej chwały.

C. B.

Czy wszyscy wodzowie są podobni do Czarnieckiego? Jakich znasz sławnych wodzów?

Objaśnij wyrazy: wojna, bitwa, walka, potyczka, starcie.

99. Śmierć Stefana Czarnieckiego.

W Sokołówce, przed chatą u proga
Pachołkowie i ludu czerń mnoga:
Stoi stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży hetman polny.
Hetman głowę pochylił na łoże,
Krzepkiem ciałem już władnąć nie może,
Złożył ręce jakby do modlitwy,
Ale wojak ciągle marzył bitwy:
To o Szwedach odmawia pacierze,
To Stawiszczan rozhukanych bierze;
A przy świetle gromnicy ksiądz cichy
Świętem krzyżmem maże ziemskie grzechy,
Prosi Boga w pokorze i skrusze,
By do raju przyjął starca duszę.
A lud słowa powtarza kapłana:
«Sługę Twego zbaw, Panie, Stefana».
Zarżał stępak u żłobu powolny,
Wzniósł na łożu głowę hetman polny,
Bielmem zaszłe otworzył źrenice

I popatrzył na smutną gromnicę...
Witał księdza, jak ze snu powstały,
I znów słuchał, jak rży jego Biały.
«Wprowadźcie go!» — skinął na husarzy.
I wnet Biały po izbie się waży,
Na pierś starca kładzie łeb swój suchy
(A obadwaj biali jak dwa duchy);
Śmiał się hetman, jak dziecko szczęśliwy,
Tuląc ręce między śniegiem grzywy:
«O, mój Biały!» A Biały spokojnie
Zda się z panem rozprawiać o wojnie,
Raz po razie miękką grzywą ruszy,
A starcowi coraz tęskniej w duszy.
Wzniósł buławę; spojrzał wkoło groźno
I rzekł: «Królu, dałeś ją za późno!»
Potem opadł na łoże bez siły.
Znowu rzesze pacierze mówiły,
Znowu stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży hetman polny.
Już Czarniecki nie daje rozkazów,
Twardych z ust swych nie ciska wyrazów,
Ani rżeniem nie zbudzi go siwy,
Bo wódz wielki już leży nieżywy.

A twarz jego szlachetna, uczciwa
Jeszcze jakimś przestrachem przeszywa,
Jeszcze z śmiercią nawet walczy samą
I szeroką odzywa się szramą:
«Jam nie z soli, ani z roli,
Ale z tego, co mnie boli».

Antoni Czajkowski.

Co to znaczy: «Jam nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli»?

100. Mucjusz Scewola.

Porsena, król Etrusków, widząc, że bronią nie zdoła ujarzmić Rzymu, obległ go w nadziei, iż głodem zmusi do poddania. Długie oblężenie zaczynało już odbierać Rzymianom odwagę, kiedy Mucjusz, młodzieniec pełen zapału i męstwa, drżąc o rodzinne miasto, postanowił sam jeden wyrwać je z niebezpieczeństwa.

Przebrał się tedy za wieśniaka i wkradł się do obozu Etrusków.

Tam między tłumem żołnierzy udało mu się przecisnąć aż do namiotu samego Porseny, gdzie właśnie płacono żołd wojsku.

Mucjusz, nie znając króla, a nie chcąc się zdradzić zapytaniem, dobył miecza i przebił tego, do którego żołnierze cisnęli się po pieniądze, i który z powodu bogatych szat wydał mu się samym Porseną. Tymczasem los chciał inaczej — zamiast Porseny, sekretarz jego został zabity.

Po takiej pomyłce Mucjusz z zakrwawionym orężem w dłoni przeciskał się przez przerażony tłum, lecz straż królewska, pochwyciwszy go i rozbroiwszy, zaprowadziła przed sąd.

— Kto jesteś? — zapytał król — jacy są twoi wspólnicy, i dlaczego przedsięwziąłeś czyn zarówno zbrodniczy jak zuchwały?

— Jestem Rzymianinem, nazywam się Mucjusz, chciałem zabić ciebie i przez pomyłkę zabiłem innego; wspólników zaś moich nie wydam.

— Jeżeli ich nie wydasz, każę cię żywcem spalić — zawołał rozgniewany Porsena.

— Rzymianie umieją działać i cierpieć jak bohaterowie — odrzekł Mucjusz — żeby cię zatem przekonać, że groźbami ani męczarnią nie zdołasz mnie zastraszyć — patrz!

To powiedziawszy, zwrócił się ku płonącemu ognisku i, jak gdyby chcąc ukarać rękę, co go zawiodła, włożył ją w ogień. Obecni zadrżeli, a młodzieniec, nie okazując najmniejszego cierpienia, spoglądał na Porsenę nie jak człowiek zatrwożony, ale wzbudzający trwogę.

Król, zdziwiony taką odwagą, kazał go odsunąć od ogniska, wrócił wolność i sam oddał mu oręż. Mucjusz, straciwszy władzę w prawej, ujął go lewą ręką, i podobno dlatego został przezwany S c a e v o l a czyli mańkut.

Wtedy dopiero młodzieniec, ujęty wspaniałością Porseny, rzekł:

— Ponieważ oddajesz cześć odwadze, powiem ci dobrowolnie to, czego siłą nie byłbyś nigdy wydobył ze mnie. Wiedz, że trzystu najdzielniejszych Rzymian sprzysięgło się na twoje życie. Na mnie wypadło pierwszeństwo, ale składam dziękczynienie niebiosom, żem się pomylił, żem nie zabił walecznego człowieka, który zasługuje raczej, aby był przyjacielem, nie zaś wrogiem Rzymian.

Porsena, przerażony grożącem mu niebezpieczeństwem, czy też wzruszony dzielnością Rzymianina, kazał mu swobodnie oddalić się do swoich.

Ale za nim wyprawił zaraz posłów, ofiarując pokój oblężonemu miastu.

Ofiarę chętnie przyjęto, i Porsena cofnął swoje wojska z okolic Rzymu.

Senat w nagrodę męstwa obdarzył Mucjusza gruntami poza Tybrem, które później nazywano równinami Mucjusza.

101. Trzech Budrysów.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:

— Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty, i miecze;
Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz [1]) Kiejstut napadnie Teutony [2]).
Wyście krzepcy i zdrowi: jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi.
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.
Jeden z waszych biec musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmeń, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dzieńgi [3]) jak lodu.
Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki, psubraty;
Tam bursztynu jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.
Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci:
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,
Ale zato wybierze dobre szable, puklerze
I mnie stamtąd przywiezie synowę.
Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki kochanki:
Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.
Stamtąd ja przed pół wiekiem, gdym był młodym [człowiekiem,
Laszkę sobie przywiozłem za żonę;
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.
Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.

[1]) Mówiono dawniej *ksiądz* zamiast *książę*. [2]) Mowa tu o Krzyżakach; Teutony — Niemcy. [3]) *Dzieńgi* — pieniądze.

Idzie jesień i zima, synów niema i niema,
Budrys myślał, że w boju polegli.
Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
— Ej, to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble.
— Nie, mój ojcze, to Laszka, synowa!
Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
— Pewno z Niemiec, mój synu, wieziesz kubeł bursztynu?
— Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!
Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,
Burka pełna, zdobyczy tam wiele;
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

A. Mickiewicz.

Jakie bogactwa i skarby przypisywał Budrys Rusi, Krzyżakom i Polsce? Kiedy się Litwa z Polską ostatecznie zbratała?

102. Męstwo Zagłoby.

I.

Wojska nieprzyjacielskie się zbliżały, chorągwie polskie ruszyły do boju.

Pan Zagłoba jechał obok Skrzetuskiego, ale wiercił się jakoś na kulbace, i widać było, że wobec bliskiej bitwy niepokój go ogarnia.

— Mości panie — rzekł do Skrzetuskiego, szepcząc cicho, jakby się bał, by go kto nie podsłuchał.

— A co waszmość powiesz?

— Czy to husarze pierwsi uderzą?

— Mówiłeś waćpan, żeś stary żołnierz, a nie wiesz, że husarzy konserwuje się do rozstrzygnięcia bitwy w chwili, gdy nieprzyjaciel najbardziej siły wytęży.

— Wiem ci ja to, wiem, alem się chciał upewnić,

Nastała chwila milczenia. Poczem pan Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej i pyta dalej:

— Czy to Krzywonos [1]) z całą potęgą?

— Tak jest.

— A ile prowadzi?

— Razem z czernią sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

— O, do djabła! — rzekł pan Zagłoba.

Skrzetuski uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie myśl waćpan, że ja się boję — szeptał dalej Zagłoba — ale mam krótki oddech i nie lubię tłoku, bo gorąco, a jak gorąco, to już nic po mnie. Bodaj to w pojedynkę sobie radzić! Człek przynajmniej fortelów może zażyć, a tu nic i po fortelach. Nie głowa, jeno ręce wygrywają. Tfu! tfu! nie lubię ja takich bitew! Niech je zaraza tłucze!

— Nic waści nie będzie. Nabierz ducha.

— Ducha? Tego ja się przecie tylko boję, że męstwo roztropność we mnie zwycięży! Nadtom zapalczywy... A miałem zły omen [2]): gdyśmy siedzieli przy ognisku, dwie gwiazdy spadły. Kto wie, może która moja?

— Za dobre uczynki Bóg waszmości wynagrodzi i w zdrowiu zachowa.

— Byle mi za wcześnie nagrody nie obmyślił. Nie lubię tłoku, powtarzam waszmości, nie lubię tłoku.

Rozwidniło się zupełnie. Złociste promienie słońca odbijały się w ostrzach husarskich kopij, i zdało się, że ponad rycerzami płoną tysiące świec. Po sprawieniu szyków, wojsko, nie ukrywając się już dłużej, zaśpiewało w jeden głos: — Witajcie, podwoje zbawienia! — Potężna pieśń rozbiegła się po rosach, uderzyła o bór sosnowy i, odbita echem, wzleciała ku niebu.

---

[1]) Krzywonos — jeden z wodzów kozackich. [2]) Omen — zła wróżba.

Brzeg po drugiej stronie grobli, jak okiem sięgnąć, czernił się chmarami kozactwa. Dwie przeciwne potęgi patrzyły przez jakiś czas na siebie w milczeniu.

— Jezu Chryste! — mruczał Zagłoba — pocóżeś stworzył tyle tego tałałajstwa! Czapkami nas nakryją! A tak dobrze przedtem bywało na Ukrainie! Walą się i walą; bodaj was djabli w piekle walili! I wszystko to na naszą skórę!

— Nie klnij waść, dziś niedziela.

— A prawda, dziś niedziela, lepiejby o Bogu pomyślcć. — «Pater noster, qui es in coelis». — Żadnego respektu od tych łajdaków spodziewać się nie można. — Już we mnie dech zaparło. — «Fiat voluntas Tua» — Bodajeście wyzdychali! hamany! mężobójce!

Odległość między dwoma oddziałami zaczęła się zmniejszać gwałtownie.

— Pięknych rzeczy będziesz waść świadkiem — rzekł pan Skrzetuski do Zagłoby. — I sam się rozłakomisz.

II.

Gdy husarja ruszyła naprzód, pan Zagłoba, choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innymi, a zresztą nie mógł inaczej uczynić bez narażenia się na stratowanie. Leciał tedy, przymknąwszy oczy, a w głowie latały mu z błyskawiczną szybkością myśli: — Na nic fortele! na nic fortele! głupi wygrywa! mądry ginie! — Potem ogarnęła go złość na wojnę, na Kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kląć i modlić się. Powietrze świszczało mu w uszach, tamowało oddech — nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy i cóż ujrzał? oto kosy, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wąsów... a wszystko to niewyraźne, niewiadomo czyje, wszystko drgające, skaczące,

wściekłe. Wtedy porwała go ostatnia pasja na tych nieprzyjaciół, że nie uciekli, że leźli w oczy i że zmuszali go do bitwy.

— Chcecie, to macie! — pomyślał i począł ciąć na ślepo na wszystkie strony. Czasem przecinał powietrze, a czasem czuł, że mu ostrze grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie czuł, że jeszcze żyje, i to dodawało mu nadzwyczajnej otuchy. — Bij! zabij! — ryczał jak bawół. — Nakoniec owe wściekłe twarze znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmykają! — przemknęło mu przez głowę. — Tak jest.

Wtedy odwaga wezbrała w nim bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to szlachcie stawacie!

I skoczył między uciekających, minął wielu i, zamieszawszy się w gęstwinie, z większą już przytomnością pracować począł. — Tymczasem towarzysze jego przyparli niżowców do brzegów rzeki, porosłych dość gęsto drzewami i gnali ich wzdłuż grobli, nikogo żywcem nie biorąc, bo czasu nie stawało.

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń się pod nim rozpiera, a jednocześnie spadło nań coś ciężkiego i obwinęło mu całą głowę tak, iż otoczyła go ciemność zupełna.

— Mości panowie, ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie zmęczony ciężarem jeźdźca, jęczał tylko i stał w miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wrzask, krzyki przelatujących koło siebie jeźdźców, potem cały ten huragan zniknął, i naokół nastała względna cisza.

I znowu myśli jego tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć mu przez głowę.

— Co to jest? co się stało? Jezus Marja! wzięto mię w niewolę!

I na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę. Ten ciężar, który czuje na ramieniu, to dłoń hajdamacka. Ale czemuż go nie prowadzą? Czemu stoi w miejscu?

— Puszczaj, chamie! — krzyknął wreszcie przyduszonym głosem.

Milczenie.

— Puszczaj, chamie! daruję cię zdrowiem.

Żadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami boki konia, ale znowu bez skutku. Zatknięte bydlę rozkraczało się jeszcze szerzej i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasja pochwyciła nieszczęsnego jeńca i, dobywszy noża z pochwy, wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnięcie wtył za siebie.

Ale nóż przeciął tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękoma za ową zasłonę, owijającą mu głowę, i zerwał ją w mgnieniu oka.

— Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokół pusto. Zdala tylko widać w dymie przelatujących kraśnych dragonów Wołodyjowskiego, a o kilkanaście staj [1]) dalej migoczą zbroje husarzy, którzy gnają resztki niedobitków.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułkowa chorągiew zaporoska. Widocznie uciekający Kozak cisnął ją tak, że drzewcem wsparła się na ramieniu pana Zagłoby, a płachta pokryła mu głowę.

Ujrzawszy to wszystko i zrozumiawszy dokładnie, mąż ów oprzytomniał zupełnie.

— Aha — rzekł — zdobyłem chorągiew. Jakto? Mo-

---

[1]) Staja = przeszło 200 kroków.

żem nie zdobył? Jeśli justycja [1]) nie polegnie także w tej bitwie, tedy pewien jestem nagrody. O, chamy! Szczęście wasze, iż mi się koń rozparł. Nie znałem się, mniemając, iż fortelom więcej ufać mogę, niż męstwu. Mogę się do czegoś więcej w wojsku przydać, niż do zjadania sucharów. — O, dla Boga! znowu jakaś wataha tu leci. Nie tędy, psubraty! nie tędy! Żeby tego konia wilcy zjedli! Bij!... Zabij!...

H. Sienkiewicz. («Ogniem i mieczem»).

Czy bardzo mężny był pan Zagłoba? Czy się tak zdobywają nieprzyjacielskie chorągwie? Jakie znaczenie ma dla żołnierza chorągiew? Jak się nazywa ten, kto chorągiew niesie? A jego zastępca?

Co znaczy wyrażenie: «tchórzem podszyty», «strach ma wielkie oczy»? Co znaczy przysłowie: «Kot łowny i chłop mowny wszędy się pożywią»?

103. Powitanie.

Był dzień niedzielny o jesiennej porze:
Na zachód słońce w las bukowy tonie,
Przedsenne pieśni ptactwo kwili w borze,
I kwiat w przedsenne otoczył się wonie.

Niewinnem szczęściem brzmi pobliskie sioło:
Skrzypek w najlepsze wygrywa w gospodzie,
Młodzież wśród pląsów wykrzyka wesoło,
Starzy o wojnie gawędzą przy miodzie.

Wszędy wesele, a nie ujrzysz troski,
Bo praca darzy niebiańską pociechą
Serca poczciwe. W pośrodku tej wioski
Stał dom drewniany pod słomianą strzechą.

I był jak inne poziomej prostoty,
Tylko dostatek większy go otacza:

[1]) Justycja — sprawiedliwość.

Bujniejszy sadek, dłuższe ulów roty
I porządniejszy cały sprzęt oracza.

W chacie zaś ściany śnieżno obielone
Zajęli święci w jaskrawej odzieży;
Tam przy kominku widać kmiotka żonę,
Jak koło skromnej krząta się wieczerzy.

A wśród podwórka, na miękkiej murawie,
Dziewczę starego Brysia wodzi w tany;
A pod okienkiem, na dębowej ławie,
Siedzi gospodarz, smutny, zadumany.

Czegóż on smutny?... Wszak w jego stodole
Plenny dar Boży, sad purpurą płoni,
Błogą nadzieją zieleni się pole,
Zdrowy dobytek, pszczółka złotem dzwoni?

Czegóż on smutny? on, który w wesele,
W radę i w mężne bogaty uczucie?
Dziś bez gawędy poszli przyjaciele:
Czy miał przeczucie?... Musiał mieć przeczucie.

Bo kiedy nagle pies skoczył do sadu
I skomląc ścieżką pobieżał na pole,
Zadrżał, jak gdyby myśl wyrwał z nieładu,
Który od rana ciążył mu na czole.

I słucha, jako donośne szczekanie
Raptem w piskliwe, ciche tony spada,
Jak gdyby radość, żal, czy powitanie.
A wtem dzieweczka zadyszana wpada

I woła... — Tato... o! tato!... tam... w bramie...
O! tam... Bryś wita... o! lecę do mamy...
Jaś wrócił z wojny... o! ja powiem mamie...
A nasz gospodarz już stoi u bramy.

A przed nim młodzian prześlicznej urody,
Płaszcz nad wzniosłemi otulił ramiony,

Twarz jego blada, zapadłe jagody,
Jakby był ciężką chorobą znużony.
I stoją oba — lecz stoją w milczeniu:
Synowi łzami źrenica nabiega,
A ojciec zda się szukać w tem spojrzeniu,
Co w nim ma witać: zwycięzcę — czy zbiega?
I milczą jeszcze, a już chatki ściany
I sad drżącemi matczynemi słowy
Brzmi dookoła: — Gdzie mój Jaś kochany?...
Gdzie on jest?... gdzie on! czy mi wraca zdrowy?...
Czy już nie pójdzie?... A gdzież on jest przecie?
Już mi go wszyscy witali, o Boże!
Ach!... jaki blady! co ci jest, me dziecię?
Czyś ty chorował?... czyś ty chory może?
Czegóż tak stoisz niemy i zmieszany?
Gdybyś ty wiedział!... O! dzisiaj nic o mnie...
Wszak już zostaniesz... prawda, mój kochany?...
O! jam szczęśliwa!... pójdź do mnie, pójdź do mnie!
I już go ściska, już tuli do łona,
Lecz gdy się w szczęściu matki nie posiada
I płaszcz rozrywa, co mu krył ramiona,
Z krzykiem rozpaczy u stóp syna pada.
A ojciec obie załamuje dłonie,
Dwa mu po licach łez płyną strumienie;
I syn znów stoi samotny na stronie,
I znowu długie grobowe milczenie.
A u ramienia, tam, gdzie ręka prawa —
Cały majątek biednego człowieka,
Z wiatrem mu kawał powiewa rękawa,
Pusty jak ten grób, co ofiary czeka.

J. N. Jaśkowski.

Co pocznie człowiek ubogi, powróciwszy z wojny kaleką? Jak nazywamy takich kaleków?

104. Ocalenie Trembowli.

Z męstwa najczęściej słynęli mężowie, gdyż mężczyzna, większą siłą z natury obdarzony, musi mieć więcej odwagi; do niego też zazwyczaj należała obrona rodziny i kraju przed wszelkiem niebezpieczeństwem. Ale kobieta nieraz pomagała mu w najtrudniejszej walce, a nawet dawała przykład nieustraszonej odwagi. Do takich kobiet należy Zofja Chrzanowska.

Właśnie Jan III Sobieski po wielkiem zwycięstwie nad Turkami pod Chocimem obrany został królem i, nie chcąc tracić czasu na uroczystą koronację, śpieszył znów bronić kraju przed okrutnym nieprzyjacielem. A tymczasem Turcy, korzystając z tego, że Polacy zajęci byli wybieraniem króla, pustoszyli wioski i palili miasta, wreszcie oblegli zamek obronny na Rusi Czerwonej, Trembowlę.

Bronił tego grodu Samuel Chrzanowski i walecznie odpierał natarczywe szturmy, ale niebezpieczeństwo wzrastało codziennie. Ogromne siły wroga otaczały zamek dokoła, jak oko sięgnąć mogło, rozciągały się tureckie obozy: namioty, zbroje, konie, wojownicy, działa grzmiały co chwila, kruszyły się mury, padali na nich waleczni obrońcy, a nie było ich wielu.

Nakoniec szturm ostatni zniszczył znaczną część muru, i Chrzanowski zwątpił, czy potrafi bronić się dłużej. Zwołał więc radę wojenną i przedstawił rycerzom groźne położenie: czy nie lepiej poddać się Turkom, wymawiając sobie wyjście z grodu i życie mieszkańców, niż narazić nieszczęsną twierdzę na zburzenie, a jej ludność na śmierć i pęta? Milczeli rycerze, bólem przygnębieni: — Wszak wódz ma słuszność, grodu obronić nie można, próbujmy choć życie ocalić.

A wtem małżonka wodza weszła do radnej izby: w oczach miała płomienie, lecz twarz śmiertelnie bladą, w ręku trzymała sztylet.

— Wstyd, rycerze! — zawołała głosem drżącym — wstyd i hańba błagać o życie, które nie do was należy! Rycerzami jesteście, więc brońcie tej ziemi i gińcie w jej obronie! A nie, to wam przysięgam, że pierwsza tym sztyletem śmierć sobie zadam, aby nie widzieć waszej hańby.

Zerwali się rycerze zawstydzeni i pobiegli na mury, zginąć pod ich gruzami z chwałą, a nie wydać wrogowi powierzonej twierdzy! I walczyli wytrwale; w nocy naprawiali szkody, dodawali sobie odwagi.

I nienadaremnie. — Nazajutrz Turcy, zamiast uderzyć do szturmu, odstępować zaczęli. Co to znaczy? — To znaczy, że woddali już zajaśniały królewskie sztandary, że nie zginie Trembowla ani jej mieszkańcy, bo w sercach jej obrońców nie brakło wiary i odwagi.

Było to w roku 1675.

Jakie znasz kobiety, które wsławiły się męstwem?

105. Dziewczę polskie.

— Panowie-bracia, dalej na konie,
Daleko mamy pohasać:
Tam w owej stronie, gdzie łuna płonie,
Tam, tam będziemy popasać.
Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
Wesoło trąbka zadzwoni,
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.
Pędzą bez drogi, miną rozłogi,
Miną i stepy, i pola,

Aż gdzie dokoła plądruje sioła
Zawolczyk [1]), czartów swawola.
— Hej, bracia-wiara! męstwo i wiara,
Odwagi, bracia, Bóg z nami!
Furknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami.
— Ho, ho, gdzie nasza zafurknie pika,
Próżno się bronisz, psi synie,
Hartowna pika w krwi Zawolczyka
Łupieżcy serca nie minie.
Znajcie, zuchwali, grom polskiej stali!
Już ich wysiekli — i lecą,
Aż gdzie za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półmiesiące się świecą.
— Wiara, wesoło! — Wpadli na czoło
I już na karkach im siedzą.
Szyki złamali, w trąbki zagrali,
Tatarzy, gdzie ujść, nie wiedzą.
Tam, tam na prawo mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna.
— Hej, za mną, dzieci! — kordem zaświeci
— To moja córka jedyna!
Ten żwawo goni, ów szybko stroni,
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie;
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiął konia — już na głębinie.
Dziewczę się zrywa i Boga wzywa,
I pchnie Tatara na tonie.
Konia zwróciła, na brzeg skoczyła —
I już u ojca na łonie.

L. Jabłonowski.

Kiedy pierwszy raz wpadli Tatarzy do Polski? Czy tylko Polskę pustoszyły ich napady? Kto osłaniał przed nimi Europę?

[1]) Zawolcami nazywano Tatarów z za Wołgi.

106. Ptaszki w klatce.

— Czego płaczesz? — staremu mówił czyżyk młody —
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody.
— Tyś w niej zrodzon — rzekł stary — przeto ci wybaczę,
Jam był wolny, dziś w klatce, i dlatego płaczę.

I. Krasicki.

Czy tylko ludziom swoboda miła? Kiedy to Krasicki napisał i dlaczego?

107. Krzysztof Kolumb.

W r. 1492 wypłynął Kolumb z hiszpańskiego miasteczka Palos, na nieznanym oceanie szukać nieznanych światów. Ludność miasteczka wyległa na brzegi, aby patrzyć na człowieka, który zapewne nigdy nie powróci.

Kolumb kazał podnieść kotwicę, odbił od brzegu, i okręty wypłynęły na pełne morze. Z początku, kiedy szły niedaleko brzegów Afryki, które ludzie dobrze znali, było im jeszcze raźno. Niektórzy jednak już zaczynali wyrzekać na Kolumba, że ich skusił na daleką i nieznaną drogę. Kilku majtków zmówiło się nawet i popsuli w okręcie ster, myśląc, że Kolumb nie da sobie rady i każe wracać. Ale Kolumb ster naprawił i płynął dalej.

Po kilkunastu dniach drogi okręty dopłynęły do wysp Kanaryjskich. Były one najdalszym krajem, do którego ludzie w owych czasach dopływali. Kolumb przypuszczał, że poza niemi długo nie zobaczy lądu, dlatego kazał raz jeszcze opatrzyć okręty i zabrać, co się dało, wszelkiej żywności. Trzy tygodnie odpoczywali na wyspach, następnie puścili się w dalszą drogę.

Teraz już i najśmielsi zaczęli upadać na duchu. Z okrętu, jak okiem zajrzeć, nic nie widać, tylko bez-

brzeżną wodę i niebo. Rankiem słońce wstawało z za wody, wieczorem za wodę zachodziło... A najprzykrzejsze było to, że nikt nie wiedział, dokąd płynie...

Kolumbowi tylko serce rosło, bo wierzył, że, płynąc wciąż na zachód, musi wkońcu dopłynąć do Indyj lub innego zamorskiego kraju. A tymczasem zwracał uwagę na gwiazdy, przypatrywał się każdej rybie, którą złapali z okrętu, oglądał morskie rośliny.

Chociaż ziemi nigdzie widać nie było, wszyscy czuli, że tu jakoś inaczej. W nocy widzieli gwiazdy inaczej ułożone. Dni stały się nadzwyczaj upalne. W morzu pływały inne ryby, i rosły inne rośliny. Raz spotkali ociosaną belkę. Był to kawałek okrętu, który widać rozbił się i utonął.

— Tak i z nami będzie — szeptali zatrwożeni majtkowie.

Pewnego dnia na okręt spadła ryba srebrzysta, o płetwach szerokich jak skrzydła.

— Dziwny kraj — mówili — tu nawet ryby nie pływają, lecz latają.

Razu pewnego przed wieczorem zaczęli płynąć między jakiemiś roślinami. Dziwny to był widok: woda dokoła, a na niej mnóstwo traw i zielska, które pływało ogromnemi kępami bez końca. Okręty szły z trudnością wśród poplątanych łodyg. Noc zapadła, a zielska nie przebyli. Wtedy ludzie przerazili się na dobre. Jedni lamentowali, że tu świat się kończy, drudzy się odgrażali, że Kolumba zabiją.

Na szczęście, po pewnym czasie okręty wypłynęły znów na czystą wodę.

Tak minął miesiąc czasu. Kolumb kierował statki wciąż na zachód i rad był, że nie spotyka ich żadne nieszczęście, ale ludzie zaczęli znów szemrać i złorzeczyć.

— Chce nas zgubić — powtarzali — ta woda końca nie ma. Nie chcemy ginąć, powracajmy.

Kolumb przemawiał do nich, tłumaczył, uspokajał, zapewniał, że ląd być musi, że będzie niedługo.

Niebardzo się uspokoili, ale minęło jeszcze parę tygodni; wreszcie wybuchły znowu klątwy i pogróżki. Kolumb nie tracił głowy; pewnego dnia zwołał wszystkich i rzekł:

— Teraz wiem na pewno, że już prędko dopłyniemy. Kto pierwszy dojrzy ziemię, temu obiecuję garść złota.

Odtąd ludzie patrzyli wdal, myśląc o nagrodzie. Czasem, zwłaszcza o zmroku, ktoś zawołał: — Ziemia! — Ale rano widzieli tylko wodę i niebo. Wtedy się domyślali, że były to obłoki.

Znowu jednak zyskał Kolumb parę tygodni. Ludzie wypatrywali ziemi i czekali. On tymczasem mierzył codzień głębokość wody i wkońcu zauważył, że nie jest tak głęboko, jak poprzednio.

Nocami spać nie mógł, myśląc o nieznanych krajach. Czasem słyszał na okręcie jakieś szepty: rozumiał, że zmawiają się na niego. Modlił się więc gorąco i wzywał pomocy Boskiej. Nie chodzi mu o życie, ale niech przedtem ujrzy nowe światy. Całe życie miał tylko to jedno pragnienie: niech się spełni, a potem — gotów umrzeć, jeżeli taka wola Boża.

Rano wychodził do ludzi spokojny i patrzył w przestrzeń, czy nie widać ziemi.

Nad okrętami zaczęły przelatywać ptaki; Kolumb się cieszył, widząc w nich wysłańców ziemi, ale mu już nie wierzono. — Trzeba go zabić — powtarzano głośno — niech zginie za naszą zgubę!

Hałas się wzmagał, wzburzona załoga otoczyła wodza z krzykiem i klątwami.

— Stójcie! — zawołał Kolumb. — Czego chcecie?

— Chcemy cię zabić! — ryknęli z wściekłością. — Płyniemy na stracenie, giń ty pierwszy!

Podniosły się żelazne drągi i siekiery.

— Słuchajcie! — zawołał Kolumb. — Chcecie mię zabić? A kto pokaże wam drogę zpowrotem? Ja tylko wiem, którędy trzeba płynąć.

Na te słowa wszyscy umilkli, opadły podniesione ręce. Kolumb mówił dalej:

— Chcecie wracać do domu? Dobrze! Żądam tylko trzydniowej zwłoki. Jeżeli przez trzy dni nie dopłyniemy do lądu, wracamy. Przyrzekam wam to pod przysięgą.

Zgodzono się czekać trzy dni. Wszyscy rozumieli, że bez Kolumba powrót był bardzo niebezpieczny.

A tymczasem coraz więcej zjawiało się znaków, że ziemia niedaleko. Ptaki latały całemi chmarami, płynęły pnie drzew, kawałki kory, a raz pod sam okręt podpłynęła gałąź ze świeżemi jeszcze liśćmi.

Na trzeci dzień przed wieczorem woda koło okrętów była zupełnie płytka. Kolumb nie spał całą noc, i wszyscy razem z nim czekali dnia. Zaczęło świtać. Ludzie zbiegli się na przód okrętu. Kolumb tylko został przy sterze. Jakże mocno musiało uderzać mu serce przed tą stanowczą chwilą.

Naraz kilka głosów zawołało z uniesieniem: — Ziemia! ziemia!

Stało się to w roku 1492, w piątek, dnia 12 października, czyli przeszło 400 lat temu.

Według *A. Potockiego.*

Jakim w tej podróży okazał się Kolumb? Jakie korzyści przyniosło nam odkrycie Ameryki? Osądźcie sami, czy to było łatwem zadaniem. Które z roślin, przez nas używanych, pochodzą z Ameryki?

108. Chmury.

Każda chmura inna: naprzykład jesienna
Pełznie jak żółw, leniwa, ulewą brzemienna,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze — to są deszczu strugi.
Chmura z gradem jak balon szybko z wiatrem leci,
Krągła, ciemnobłękitna, w środku żółto świeci,
Szum wielki słychać wkoło. Nawet te codzienne,
Patrzcie, państwo, te białe chmurki jak odmienne.
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A ztyłu wiatr jak sokół do kupy je pędzi;
Ściskają się, grubieją, rosną — nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie;
Wszystkie białe jak srebro, zmieszały się... nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie.

A. Mickiewicz.

Wybierz stąd porównania.

Przypatrz się kiedy uważnie płynącym chmurom, a zobaczysz, jak dziwne przybierają kształty.

109. Lasy i łąki morskie.

I. Tak samo jak w naszych stawach i jeziorach żyją setki gatunków roślin, tworząc na dnie i powierzchni gęste szuwary, podobnie dzieje się we wszystkich morzach.

Wielkość tych roślin morskich, czyli morzorostów, jest bardzo rozmaita. Są między niemi rośliny drobniutkie, tak małe, że ledwie przy pomocy dobrych szkieł powiększających można je dojrzeć; są inne, których wy-

sokość dochodzi do pół wiorsty i więcej. W wodach oceanu Spokojnego znajdują się olbrzymie lasy morzorostów, których korzenie tkwią aż w dnie morza, a łodygi wznoszą się wysoko wgórę, rozkładają szeroko na powierzchni wody, kończąc się pękami wielkich, burych liści.

Również różnorodna jest postać tych roślin. Wiele z nich ma kształt długich wstęg, barwy szkarłatnej, fioletowej, burej, żółtej lub zielonej. Inne posiadają pień prosty, zakończony zwieszającemi się nadół gałązkami, przypominając nasze wierzby lub brzozy. Jeszcze inne nie przyrastają do dna wody, lecz pływają swobodnie na powierzchni, unoszą się wgórę przy pomocy licznych pęcherzy, napełnionych powietrzem, a znajdujących się na ich liściach lub gałązkach.

Znany jest od najdawniejszych czasów pewien morzorost, zwany sargasem; zbiera się on na powierzchni morza w takiej ilości, że tworzy olbrzymie szuwary, zajmujące niekiedy tysiące wiorst i przeszkadzające żegludze mniejszych statków. Taka słynna łąka z morzorostów, zajmująca 100 tysięcy wiorst kwadratowych, znajduje się n. p. pomiędzy Europą, Afryką i Ameryką, na oceanie Atlantyckim; te właśnie szuwary napotkał i przepłynął Krzysztof Kolumb w swej pierwszej wyprawie na zachód.

II. Piękny jest widok tych zarośli podmorskich, tych lasów nieprzejrzanych, szczególniej tam, gdzie woda jest przezroczysta. Tu czerwienieją się one żywą purpurą, tam iskrzą się złotemi blaski — a wśród nich uwijają się gromady ryb, pełzają długonogie raki, lub pływają leniwie przejrzyste meduzy.

Nietylko jednak zwierzęta morskie mają pożytek z morzorostów! i człowiek, przed którego rozumnem okiem z trudnością ukryć się mogą bogactwa ziemi, umie korzystać z roślin morskich na każdym kroku. Na

brzegach wszystkich mórz, gdzie fale wyrzucają wielkie kłęby morzorostów, mieszkańcy zbierają je, używając na paszę dla bydła lub doskonały nawóz. Gdzie indziej palą je na popiół i otrzymują z niego sodę morską, przydatną do wyrobu szkła, oraz brom i jod, używane na lekarstwo. Niektóre gatunki blaszkowatych morzorostów zawierają w sobie tyle pożywnych części, że używane są na pokarm przez ludzi; mieszkańcy nadmorskich okolic Anglji, Szkocji, Irlandji i innych krajów żywią się licznemi morzorostami pod nazwą sałaty morskiej. Jeden z nich — blaszecznica cukrowa — jest słodki i służy biednym Irlandczykom zamiast cukru. W Indjach i Chinach przygotowują z roślin morskich rodzaj kleju, którym pociągają papier, zastępujący tam szyby do okien. Wreszcie pewien gatunek morzorostu, zwany mchem karagenowym, dostarcza lekarstwa przeciw glistom ludzkim.

M. Brzeziński.

Zrobić plan i opowiedzieć.

110. Zdaleka.

Serce mi się wciąż wyrywa
Do dalekich moich stron,
Do tej ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa...
U nas teraz na wsi żniwa,
Złotokłosy pada plon,
Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
A na kłosach wiatr przygrywa
Jak na harfie wyzłacanej.
Śpiewką żeńców dźwięczy niwa,
Na południe bije dzwon,
A przy drodze wierzba siwa

Da gromadzie spracowanej
Cień, blaskami przetykany...
Mnie tu pośród obcych stron
Śnią się ciągle takie żniwa,
I ta wierzba, i te łany,
I do ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa!...

L. Rydel.

O czem tu poeta mówi?

Poezja taka, w której poeta wypowiada swoje uczucia, nazywa się — liryczna.

111. Świerk i brzoza.

(Porównanie).

Nieskończona jest rozmaitość form w świecie roślinnym. Biorąc nawet wyłącznie rośliny jednego typu, np. drzewa, obok zasadniczego podobieństwa w budowie, znajdujemy pomiędzy niemi tyle różnic, iż drzewa jednej strefy po ogólnym kształcie rozpoznać możemy zdaleka.

Z drzew naszych każde różni się tak bardzo wysokością, układem i ruchem gałęzi, barwą, rysunkiem, że sosnę, świerk, jodłę, dąb, topolę, brzozę, lipę, wierzbę i t. p. rozpoznajemy na pierwszy rzut oka w znacznej nawet odległości.

Przypatrzmy się dłużej świerkowi i brzozie, drzewom tak dobrze znanym. Nie chodzi nam w tej chwili o porównanie ściśle naukowe, lecz przedewszystkiem o te cechy zewnętrzne, które każdy z łatwością dostrzec może, i od których zależy wrażenie ogólne.

Oba te drzewa rosną u nas dziko, składają się tak samo z korzenia, pnia i gałęzi, pokrytych zielonemi liśćmi, kwitną, wydają owoc, są piękne i pożyteczne. Nikt jednak zdaleka nawet nie weźmie jednego za drugie.

Pień świerku jest wysoki, prosty, sztywny, gałęzie wygięte w festony, największe blisko ziemi, coraz mniejsze wgórze — nadają mu kształt stożkowaty. Okrywają je krótkie, płaskie, ciemnozielone igły, które nie opadają na zimę. Kwiatem i owocem świerku jest szyszka. Ogólnie świerk sprawia wrażenie powagi, a nawet smutku. Jego ciemna zieloność wygląda posępnie, sztywne gałęzie rzadko wiatr poruszy — nie uginają się pod jego tchnieniem; drzewo kruche łatwiej się złamie, niż zegnie, jeszcze łatwiej padnie, gdyż korzeń, płytko w ziemi rozpostarty, niezbyt mocno je trzyma.

Jakże wesoło przy nim wygląda jasnozielona, wdzięczna, wysmukła brzoza, o pniu giętkim, okrytym białą, cienką korą. Gałązki brzozy, cieniutkie i giętkie, swobodnie strzelają wgórę, lub zwieszają się smutnie ku ziemi. Listki niewielkie, sztywne, błyszczące, ząbkowane, jasnozielone, zdobią drzewo od wiosny do jesieni, zmieniając wtedy barwę zieloną na żółtą. Kwiatem są długie baźki, w których tworzą się drobne nasiona.

Nawet w zimie brzoza nie wygląda smutno, chociaż liście nie zdobią jej gałęzi. Biały pień harmonijnie łączy się z białością śniegu, na gałązkach błyszczą jasne krople deszczu albo srebrne kryształki szronu, a łatwość ruchu odbiera im cechę martwoty.

Pożytek z drzew tych jest także odmienny. Drzewo świerku jest dość liche, przydatne głównie na opał; brzozy — białe, trwalsze i piękniejsze, służy stolarzom do wyrobu różnych sprzętów. Jako paliwo daje więcej ciepła. Świerk jest bardziej smolny, brzoza znów, na wiosnę zwłaszcza, ma w drzewie wiele soku, który z niej za nacięciem wytryska i służy ludziom za napój.

Porównywając dwa przedmioty, możemy albo każdą cechę porównywać oddzielnie, albo dać cały opis jednej i drugiej rzeczy, W jaki sposób tutaj porównane są świerk i brzoza?

112. Zając i żaba.

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,
Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,
Teraz podupadł na nogach,
Poczuł, że się źle z nim skończy.
Więc jęknął z głębi serca: — Ach, niemasz pod słońcem
Lichszego powołania, jak zostać zającem!
Co mię w dzień pies, lis, konik, kania
I wrona
Nawet i ona!
Jak chce, tak gania.
A w noc, jak drzemię, oko się nie zmruża,
Bo lada komar bzyknie przez siatki zajęcze,
Wnet drży me serce zajęcze,
Tchórząc tchórzliwiej od tchórza.
Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem,
Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.
Żegnaj więc, miedzo, lat mych wiośnianych kolebko!
Wy, kochanki młodości, kapusto i rzepko,
Pożegnalnemi łzami dozwólcie się skropić,
Oznajmuję wszem wobec, że idę się topić!
Tak z płaczem gdy do stawu zwraca kroki słabe,
Po drodze stąpił na żabę.
Ta mu, jak raca drgnąwszy, z pod nóg szusła
I zgóry na łeb w staw plusła.
A zając rzekł do siebie: — Niech nikt nie narzeka,
Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórzu stoi:
Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka,
I swojego zająca, którego się boi!

A. Mickiewicz.

Co ta bajka znaczy? Czy jest kto na świecie, ktoby się nikogo i niczego nie obawiał? Jak jest opisany ten zając i jego pożegnanie ze światem? Czy to niechcący napisał M.: «tchórząc, tchórzliwiej od tchórza»?

113. Na niedźwiedzia.

I.

Wszyscy powtarzali, że na chorobę stryja niema lekarstwa, oprócz niedźwiedziego sadła. Trzeba było zabić niedźwiedzia, aby lekarstwo zdobyć.

Zbyszko poszedł najprzód w dzień. Odnalazł ślad koło barci, rozmazał trochę miodu po pniach, aby zapach znęcił zwierza. poczem wrócił do domu.

Wieczorem ubrał się dla ciepła w kubrak łosi bez rękawów, na ciemię nawdział żelazny czepiec z drutu, wziął widły dobrze okute, dwuzębne, i topór stalowy na dębowem toporzysku [1]). O wieczornym udoju był już u celu, wybrał sobie dogodne miejsce, przeżegnał się, zasiadł i czekał.

Czerwone promienie zachodzącego słońca świeciły między gałęziami. Po wierzchołkach sosen tłukły się wrony kracząc, gdzie niegdzie kicały ku wodzie zające, czasem śmignęła kuna. W gąszczach odzywał się jeszcze świergot ptaków, który stopniowo ustawał.

Nareszcie zorze rozpaliły się na niebie, od których wierzchołki sosen zdawały się płonąć jak w ogniu, i zwolna jęło się wszystko uspakajać. Bór szedł spać.

— Teraz, póki się wilki nie odezwą, będzie cicho — pomyślał Zbyszko.

Tymczasem od strony błota dochodziły jeszcze czas jakiś przytłumione odgłosy, podobne do ciężkiego stękania i poświstywania. Zbyszko spoglądał ku temu błotu z niecierpliwością. Mając widły i topór, nie obawiał się dzikich zwierząt, lecz myślał z niepokojem o siłach nieczystych i rad był, gdy owe gwary wreszcie umilkły.

Ostatnie blaski znikły, i uczyniła się noc zupełna. Kiedy niekiedy spadała tu i owdzie szyszka, wydając od-

[1]) *Toporzysko* — drewniana rękojeść topora.

głos mocny, ale zresztą było tak cicho, że Zbyszko słyszał własny oddech.

W ten sposób przesiedział długi czas, pogrążony w myślach, zapominając wreszcie o niedźwiedziu, o lesie, o nocy i o sobie.

Nagle ocknął się Zbyszko. Ocknął się nietylko dlatego, że sobie przypomniał bór ciemny, ale i z tej przyczyny, że zdala za nim ozwał się jakiś szelest. Wówczas ścisnął mocniej widły w garściach, nastawił uszu i począł słuchać.

Szelest zbliżał się, po niejakim czasie stał się całkiem wyraźny. Chrupały pod czyjąś ostrożną stopą suche gałązki, szurały opadłe liście... Coś szło.

Chwilami szelest ustawał, jak gdyby zwierz zatrzymywał się przy drzewach, i wówczas robiła się taka cisza, że Zbyszkowi poczynało aż w uszach dzwonić.

Tymczasem kroki ucichły. Zbyszko jednak słyszał wyraźnie, że coś zatrzymało się może o dwadzieścia kroków za nim, jakby przysiadło. Obejrzał się raz i drugi, ale nic nie mógł dojrzeć. Nie było innej rady, tylko czekać.

I czekał tak długo, aż zdziwienie ogarnęło go po raz wtóry.

— Niedźwiedź nie przyszedłby tu przecie spać pod barcią, a wilk teżby nie czekał do rana.

I nagle mrowie przeszło go od stóp do głowy. A nuż to «co paskudnego» wylazło z błota i zachodzi mu ztyłu? I czuł, że pod żelaznym czepcem włosy zaczynają mu się jeżyć.

Lecz po chwili szelest odezwał się przed nim, wyraźniejszy niż poprzednio, a jednocześnie do jego nozdrzy doleciał swąd niedźwiedzi. Zbyszko odetchnął. Nie było teraz najmniejszej wątpliwości: szedł miś!

Zbyszko w jednej chwili przestał się bać i, pochyliwszy głowę, wytężył wzrok i słuch. Kroki zbliżały się

ciężkie, wyraźne; wkrótce dało się słyszeć sapanie i pomruk. W tej chwili zobaczył przed sobą wielki i ciemny kształt zwierzęcia, które, idąc z wiatrem, nie mogło go zwietrzyć, tem bardziej, że zajmował je zapach rozsmarowanego po pniach miodu.

— Bywaj, dziadku! — zawołał Zbyszko, wysuwając się z pod sosny.

Niedźwiedź ryknął krótko, jakby przerażony niespodzianem zjawiskiem, lecz był już zbyt blisko, aby mógł ratować się ucieczką, więc podniósł się na zadnie łapy, rozwarłszy przednie jak do uścisku. Tego właśnie czekał Zbyszko: zebrał się w sobie, skoczył jak błyskawica i całą siłą potężnych ramion oraz własnego ciężaru wbił widły w piersi zwierza.

Cały bór zatrząsł się teraz od przeraźliwego ryku. Niedźwiedź chwycił łapami widły, pragnąc je wyrwać, ale zadziory przy ostrzach wstrzymały, więc poczuwszy ból, zagrzmiał jeszcze straszliwiej. Chcąc dosięgnąć Zbyszka, wsparł się na widłach i wbił je w siebie mocniej. Zbyszko, nie wiedząc, czy ostrza weszły dość głęboko, nie puszczał rękojeści. Człowiek i zwierz poczęli się szarpać i szamotać. Bór trząsł się wciąż od ryku, w którym brzmiała wściekłość i rozpacz.

Zbyszko nie mógł się jąć topora, nie wbiwszy poprzednio drugiego, zaostrzonego końca wideł w ziemię; niedźwiedź zaś, schwyciwszy za osadę łapami, miotał nią i Zbyszkiem, jakby rozumiejąc, o co chodzi, i mimo bólu nie dając się «podeprzeć». W ten sposób straszna walka przedłużała się, i Zbyszko zrozumiał, że siły jego się wyczerpią. Mógł także upaść, a wówczas byłby zginął. Więc wytężył ramiona, rozstawił nogi, wygiął grzbiet jak łuk i począł powtarzać przez zaciśnięte zęby:

— Moja śmierć, albo twoja!

I chwycił go taki gniew, że wolałby istotnie w tej

chwili sam zginąć, niż bestję puścić. Wreszcie, zawadziwszy nogą o korzeń sosny, zachwiał się i byłby padł, gdyby nie to, że ciemna postać stanęła przy nim nagle, i drugie widły «podparły» bestję, a jednocześnie głos jakiś zawołał mu nad uchem:

— Toporem!

Zbyszko chwycił topór i ciął strasznie. Trzasnęły widły, złamane ciężarem zwierza, który się zwalił, jakby piorunem rażony, na ziemię i zaczął na niej chrapać. Lecz zaraz ustał. Nastała cisza, przerywana tylko głośnym oddechem Zbyszka, który wsparł się o sosnę, gdyż nogi chwiały się pod nim. Po chwili dopiero spojrzał na stojącą obok ciemną postać i zląkł się znowu.

— Ktoś jest? — zapytał niespokojnie.

— Jagienka — odpowiedział cienki głos niewieści.

Zbyszko aż zaniemówił ze zdumienia.

— Bóg ci zapłać — rzekł wreszcie. — Nie wiem, coby się bez ciebie przygodziło. A czemuś się nie odezwała?

— Bom się bała, że mnie odpędzisz.

— A jam myślał, że to «złe». Takiej drugiej dziewczyny, jak ty, na świecie niema. Tobieby na wojnę chodzić.

(«Krzyżacy»). *H. Sienkiewicz*

powieściopisarz polski, zmarły 1916 r.

Jaki musi być ten, kto w taki sposób poluje na niedźwiedzia? Co wiesz o niedźwiedziu? Jaki pożytek może mieć z niego człowiek?

Znajdź wyrazy podobnego znaczenia, co: zapach, znęcić, kubrak, czerwony, śmignąć, świergot, płonąć, obawiać się, umilknąć, ocknąć się. Dokończ: świst (czego?)..., szum..., chrobot..., szmer..., plusk..., łoskot..., huk..., trzask...

114. Chór strzelców.

Śród opok i jarów,
I dolin, i głogów,
Przy dźwięku ogarów
I rusznic, i rogów;
Na koniu, co w cwale
Sokoli ma lot,
I z bronią, co w strzale
Huczniejsza nad grzmot:
Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
Z tropu w trop, hop, hop!
Wesoły jak dziecko,
Jak zbójca krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko
Bój zaczął myśliwy.
Czy palnie na smugi,
Czy wgórę do chmur,
Tam krwi płyną strugi,
Stąd leci grad piór.
Dalejże, dalejże i t. d.
Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?
Hej, lasy i niwy,
Ozwijcie się w chór!
Zatrąbił myśliwy,
Król lasów i gór.
Dalejże, dalejże i t. d.
Czyj dowcip gnał rojem
Lataczów do sideł?
Kto wstępnym wziął bojem
Sztandary ich skrzydeł?

Hej, wiatry, w burzliwy
Ozwijcie się chór! —
Wystrzelił myśliwy,
Król wiatrów i chmur.
Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
Z tropu w trop, hop, hop!

A. Mickiewicz.

Co wiesz o Mickiewiczu? Co jeszcze znasz Mickiewicza?

115. Step na wiosnę.

Nie sposób wypowiedzieć ani opisać całego uroku, jaki stepy mają na wiosnę, gdy słońce potopi śniegi, wszystkie strumienie wystąpią ze swoich łożysk i, zalawszy ogromne przestrzenie, przeświecają rzeźwą, wiosenną wodą wśród traw i zarośli. Wszystko wówczas wyrasta prawie w oczach, strzela pękami i rozkwita. Step wydaje się jak jeden stubarwny dywan. Więc najprzód wszystkie szlaki, któremi przechodziły wozy, porastają ślicznym kwiatem, barwy złotawożółtej, który tam tylko wyrasta, gdzie ziemia była stratowana kopytami, i gdzie padł na nią nawóz zwierzęcy. Szlaki te, niby złote wstęgi, wiją się po całym stepie: to rozchodzą się, to kołują, to znowu krzyżują z sobą i wreszcie nikną woddali. Gdzie niegdzie step porasta jakby bylicą, wysoką, cienką, o kwiatkach srebrnych i drobnych jak perełki, a podobieństwo to powiększają jeszcze kropelki przezroczystej żywicy, zwieszające się na nich ku ziemi. W innem miejscu, tuż obok białych barw, błękitnieją wielkie dzwonki stepowe, koloru naszego chabru; dalej gatunki rozchodników i rosiczek mienią się i pstrzą to żółto, to czerwono; miejscami całe przestrzenie zajmują dzikie tulipany. Tam znów szczególne kwiatki, podobne do dzbanuszków, zawierające świeżą wodę, a raczej rosę nocną, pochylają

gościnnie ku podróżnikowi pełne naczyńka. Nakoniec mnóstwo kwiatów o barwie jednakiej lub nakrapianych, mnóstwo powoi mieni się i plącze wśród traw, wikła się z sobą, tłoczy się, wyrasta jedno na drugiem, kwitnie, cieszy się, kocha, szaleje, słowem — prawdziwy potok roślinności znanej i nieznanej, tysiącznych nazw i gatunków. Wszystko to dochodzi do takiej wysokości, że w tej zielonej i pstrej fali z głową schować się można. Tysiączne wonie, to miodowe, to upajające, jakby lilij i heliotropów, to znów mocne i korzenne — uderzają o powonienie. Dzielny, orzeźwiający zapach trawy to góruje nad innemi, to znów ustępuje pola oddechom kwiatów.

W kwiatach i nad kwiatami, w trawie i nad trawą porusza się i roi cały odrębny świat zwierzęcy i wielkie gromady ptactwa, które tu wiosną przylatują z okolic lesistych, ale trzymają się głównie wpobliżu rzek, zarośniętych wierzbiną.

H. Sienkiewicz.

Co to jest step? Gdzie w Europie są największe stepy?

116. Ucieczka.

(Wyjątek z «Kirgiza»).

Lecą — w lewo i w prawo,
Mkną przedmioty tak żwawo,
Że się w jeden szlak ciemny zlewają.
Jeździec w pędzie wzniósł czoło,
Las znikł — spojrzał wokoło —
Stepy! — stepy, co granic nie mają!...
Tu kończyły się drogi:
Przed nim, za nim — rozłogi,
Równe, puste — w noc zbłądzić nietrudno.
Jeździec wspomnień zapytał —
Z gwiazd swą drogę wyczytał
I kierunek wziął w stronę bezludną.

Lecą, któż ich dogoni?
Tylko trawa się kłoni,
Gdzie ją rumak w przelocie dotyka;
Ślad i jeździec — to chwila,
Wnet się trawa odchyla,
Jeździec przemknął — a za nim ślad znika!
Taka cisza nad ziemią!
Zda się, że zioła drzemią,
Liść się nawet nie rusza w pustyni;
Jeździec powiódł oczyma —
Tak — nikogo tu niema,
Coby czuwał w tej wielkiej świątyni!
W tem czarodziejskiem kole
Zmrok rozsiadł się na dole,
Wzrok go jeźdźca, choć bystry, nie sięga;
Miljony świateł w górze
Iskrzą w ciemnym lazurze,
Środkiem jasna przesłania je wstęga.

G. Zieliński
poeta XIX wieku.

Jak ci się ten opis podoba?

117. W puszczy meksykańskiej.

(Wyjątek).

W zachodnim Meksyku [1]), nad brzegami rzeki Gila, polowało trzech myśliwych: Kanadyjczyk, Hiszpan i Meksykanin. Całodzienny pochód utrudził ich niemało, trzeba było przed nocą wyszukać bezpiecznego schronienia, a zarazem ukryć ślady swego pochodu przed bystrym wzrokiem Indjan, umiejących z nieporównaną zręcznością odkrywać z najmniejszych znaków pobyt białych swych nieprzyjaciół.

[1]) Meksyk — kraj w południowej części Ameryki Północnej.

Kanadyjczyk, stary łowiec, dowodzący strzelcami, po długiem szukaniu dostrzegł nareszcie na środku rzeki maleńką kępę, gęstemi krzewami zarosłą; miejsce to obiecywało wygodny i całkiem bezpieczny nocleg. Z naciętych gałęzi drzewa spleciono tratewkę, na której myśliwi złożyli broń i suknie. Poczem wszyscy weszli w rzekę i, brodząc aż do ramion, szczęśliwie dostali się na kępę, na którą tratwę wciągnięto.

Trzej myśliwi ucieszyli się niezmiernie z tak wygodnego noclegu. Meksykanin wydobył z torby kawał suszonego mięsa, nieco soli i kilka sucharów. Posiliwszy się dosyta, gromadka ułożyła się do snu, nie troszcząc się ani o dzikie zwierzęta, ani o straszniejszych jeszcze Apaszów [1]). Słońce dosięgało już prawie widnokręgu, i naszym łowcom oczy zaczynały się kleić, kiedy nagle jakiś dziwny hałas zabrzmiał w przestrzeni. Obydwa brzegi rzeki ocieniał gęsty gaj wysokich, białych topoli, u stóp których bujna zarastała krzewina. Pomiędzy topolami tu i owdzie ukazywały się wierzby, i tylko jedno miejsce na północnym brzegu ogołocone było z gąszczu. Przez tę przestrzeń pustą można było z wysepki przejrzeć znaczną część stepu. Z owej to właśnie strony zabrzmiało nagle przeciągłe wycie, w którem wprawne ucho myśliwych z łatwością rozpoznało wrzask wilków, ścigających zdobycz.

Po kilku minutach ukazał się przepyszny jeleń, z pochylonemi na grzbiet rogami, pędzący z szybkością błyskawicy ku rzece, a za nim sadziła tuż gromada rozżartych wilków.

Jeleń znacznie wyprzedzał swych wrogów, lecz niepodobna, ażeby mógł wymknąć się pogoni, gdyż ze wszystkich stron zaskakiwały wilki, przecinając zupełnie ucieczkę.

[1]) Plemię indyjskie.

Jeleń, zbliżywszy się na pięćdziesiąt kroków do rzeki i ujrzawszy wilcze czaty, przystanął chwilę, ale widząc, że dalsza ucieczka jest niepodobna, zwrócił się przeciwko ścigającym wilkom, a dobywszy ostatnich sił, uderzył na nich z nastawionemi rogami, aby przedrzeć się przez gęsty zastęp.

W mgnieniu oka wyleciały w powietrze dwa wilki z wypaproszonemi brzuchami, inne, ranione i stratowane racicami, wiły się w boleściach, dwom atoli powiodło się dosięgnąć jelenia: jeden zatapia mu kły w karku, drugi chwyta za gardło, lecz silny zwierz obu unosi z sobą. Raz jeszcze zwraca się ku rzece, potężnem wstrząśnieniem pozbywa się obydwóch wrogów i wpada w wodę. Wilki za nim. Ponad falami wystaje tylko głowa pięknego zwierza, ustrojona rozłożystą rogów koroną. Tuż za nim kurzą się parą szkaradne łby wilków, błyskające zielonemi ślepiami. Woda pieni się i pryska, a od brzegu dolatuje wycie zgłodniałych bestyj, szczękających chciwemi krwi zębami.

Jeleń już drugiego dopływał brzegu, kiedy nagle wilki pozostałe na lądzie, wyć przestały i, przejęte jakąś nieznaną trwogą, w jednej chwili pierzchnęły.

— Co to jest?... czego one się zlękły? — zagadnął niespokojnie Hiszpan.

Ale dalsze zapytania skonały mu na ustach, gdyż niespodziany obraz roztoczył się przed oczyma myśliwych.

— Schylcie się! schylcie, na miłość Boską! krzyknął przerażony Kanadyjczyk. — Indjanie polują i w tej chwili tu będą.

Stado dzikich koni pędziło cwałem w największej trwodze ku brzegowi, ścigane przez jeźdźców indyjskich, którzy oklep, z przykurczonemi niemal pod brodę kolanami, gnali jak wicher. Z początku było ich tylko trzech, potem pięciu, nareszcie przeszło dwudziestu.

Jedni, wstrząsając podniesionemi dzidami, pędzili za końmi, drudzy, wywijając w powietrzu rzemiennemi arkanami, wyli przeraźliwie.

Hiszpan wzrokiem pytał doświadczonego Kanadyjczyka, który z wybladłą twarzą, zimnym potem okryty, śledził z poza gąszczu ruchy Apaszów. Grobowa cisza zaległa kępę, zdaje się, że trzej myśliwcy tłumią oddech, lękając się, ażeby go Indjanie nie usłyszeli.

Jakkolwiek step przerzynały liczne wąwozy, mnóstwo zaś wzgórków i kolczaste kaktusy utrudniały niezmiernie jazdę, mimo to jednak dzielni jeźdźcy indyjscy sadzili tak łatwo, jakby go aksamitna zaścielała murawa. Nie wstrzymując na chwilę rozognionych rumaków, z szaloną odwagą szydząc z niebezpieczeństwa, niby śpiżowe centaury [1]) przebywali wszystkie zawady. Trzej biali z żywem współczuciem śledzili każdy ruch Apaszów, podziwiając ich nieporównaną zręczność.

Widownia ożywiała się coraz bardziej, po obu brzegach wzmagała się wrzawa: na południowym — wysilony jeleń dobywał sił ostatka, żeby ujść przed zgłodniałemi wilkami, na północnym — tętniły konie, rżały rumaki Indjan, a wrzask Apaszów nie ustępował wcale wyciu wilków.

— Cudowne! przepyszne! — szeptał w zachwyceniu najmłodszy z trzech łowców, Meksykanin, będący po raz pierwszy świadkiem łowów indyjskich.

— Wolałbym tych cudów nie widzieć! — mruknął ponuro Kanadyjczyk.

— Niech nas Bóg uchowa od podobnych piękności — rzekł smutno Hiszpan — jeśli te czerwone djabły dostrzegą nasze ślady, będzie nam daleko gorzej, aniżeli

---

[1]) *Centaur* — bajeczny potwór: pół konia, pół człowieka.

temu wspaniałemu jeleniowi, którego za chwilę wściekłe wilki rozszarpią.

Wtem Indjanin zdobny pękiem czarnych piór, w czuprynie utkwionych, a prawdopodobnie wódz gromady Apaszów, wstrzymał konia. Przez chwilę stał jak posąg, wlepiwszy wzrok w ziemię, a potem rzuciwszy cugle jednemu z młodych towarzyszy, skoczył z konia i, patrząc bystro przed siebie, szedł, nie zatrzymując się, aż na brzeg, z którego myśliwcy puścili się ku wyspie.

Serce Kanadyjczyka uderzyło gwałtownie, a krew o mało mu z twarzy nie trysła... ścisnął za ręce towarzyszy i wzrokiem wskazał Apasza.

Wódz skinął ręką, i jakby czarem łowy ustały. Wojownicy otoczyli go wkoło, słuchając cichego szeptania i przyglądając się śladom. Po chwili pięciu Indjan popędziło cwałem na północ.

Tarcza słoneczna już dotykała krańca stepu, rzucając krwawy blask na wierzchołki trzcin, zarastających kępę, na której tak uroczysta cisza panowała, jak w owych chwilach, kiedy nad brzegami Gili same tylko zamieszkiwały bawoły.

Wł. L. Anczyc.
(«Opisy i przygody»).

Dlaczego Indjanie nienawidzą ludzi białych? Czy mają słuszność? Czy człowiek biały ma prawo zająć dla siebie całą ziemię? Dokończ z własnej myśli tego opowiadania.

118. Obrazek.

Hen, wysoko, niebo czyste,
Niby kryształ roztopiony —
A w dolinie mgieł welony
Rozesłały się srebrzyste.

Z pól dalekich wiatr tu wieje,
Złota wierzba się kołysze —
Szmer zapada wdal gdzieś, w ciszę,
I omdlałem echem mdleje.
Przemkną chmurki szybkim lotem,
Na chwil parę blaski zgasną,
I znów cicho, ciepło, jasno —
Słońce z nieba kapie złotem.

K. Gliński.

Czy to opowiadanie, czy opis? Czy proza, czy poezja?

119. Spotkanie z lwem.

Wspaniała postać, ognisty, przenikliwy wzrok, szlachetne ruchy, harmonja kształtów, grzywa, otaczająca głowę i nakształt królewskiego płaszcza spływająca na ramiona, wreszcie ryk straszliwy, wstrząsający powietrzem — czynią lwa władcą zwierząt. Obrazy polowania na lwa stanowią zawsze najbardziej zajmującą część opisów podróży, bo też jakiejże odwagi i zimnej krwi potrzeba, aby śmiało spojrzeć w oczy takiemu nieprzyjacielowi!

Oto wypadek, jaki w r. 1805 spotkał całe towarzystwo w pobliżu przylądka Dobrej Nadziei, opisany przez naocznego świadka:

«Zatrzymawszy się na noc, rozbiliśmy namioty na odległość strzału karabinowego od wioski Hotentotów. O północy woły i konie, leżące między wozami, zaczęły się niepokoić. Jeden z poganiaczy dał sygnał na trwogę, a na ten głos każdy pochwycił za strzelbę i niezwłocznie wyskoczył z namiotu. W odległości zaledwie 30 kroków stał lew, który, ujrzawszy nas, oddalił się spokojnie, dźwi-

gając jakiś ciężar, niby młodego wołu, jak mi się wydawało. Po chwili zniknął nam z oczu w krzakach; daliśmy ognia, ale żaden ruch nie zdradzał jego obecności.

Popłoch minął, bydlęta się uspokoiły, i wtedy dopiero zauważyliśmy brak szyldwacha, Jana Smita. Wołaliśmy na wszystkie strony, lecz napróżno. Nagle zrodziło się w nas podejrzenie, że biedny człowiek został przez lwa porwany. Natychmiast, odpowiednio uzbrojeni, ruszyliśmy w kierunku krzaków, które nam zasłoniły oddalające się zwierzę. Lecz ci, którzy szli naprzód, nagle cofnęli się z trwogą, gdyż o kilkanaście kroków rozległ się wśród zarośli ryk straszliwy. Daliśmy ognia raz i drugi, ryk się nie powtarzał. Najodważniejsi zbliżyli się znowu do krzaków i powrócili wkrótce, niosąc strzelbę i czapkę nieszczęśliwego towarzysza.

Noc utrudniała jednak poszukiwania, daliśmy znowu ognia, podpaliliśmy krzaki, lecz dopiero o świcie ujrzeliśmy napastnika, wstępującego na dość oddalony pagórek i niosącego coś w paszczy. Huknęło za nim ze 40 strzałów, lecz żaden nie był trafny, gdyż lew niewątpliwie rzuciłby się na nas, gdyby został raniony.

Wówczas towarzyszący nam ludzie prosili mię o pozwolenie odszukania szczątków nieszczęśliwego Smita, ażeby je pogrzebać z uczciwością. Zgodziłem się pod warunkiem, że wezmą do pomocy kilku Hotentotów. Wkrótce też 6 naszych ludzi w towarzystwie 40 Hotentotów udało się za tropem lwa i znaleźli go w odległości jednej mili (angielskiej), leżącego w krzaku. Na krzyk Hotentotów lew wyskoczył z rykiem, ale zaczął uciekać. Puszczono się za nim w pogoń — nagle zwrócił się i rycząc z wściekłością wpadł na ścigających. Atak był niespodziewany, ludzie, zdyszani szybkim biegiem, dali ognia, lecz żadna kula nie trafiła; wówczas wódz Hotentotów stanął przytomnie oko w oko napastnikowi. Lew zatopił pazury

w jego opończę ze skór zwierzęcych, ale śmiały i zręczny wódz zrzucił opończę i przebił zwierza oszczepem. Inni Hotentoci pośpieszyli teraz na pomoc, każdy z nich przebił oszczepem ciało zwierzęcia, miotającego się w dzikich podskokach, tak że lew wyglądał jak kolczasty jeżozwierz. Mimo to nie przestawał ryczeć i wspinać się na łapy, aż raniony śmiertelnie w oko, padł martwy.

Z nieszczęśliwego szyldwacha nie pozostało śladu, oprócz kawałka skrawionej odzieży».

Z Brehma.

Do jakich zwierząt lew należy? Wymień jego najbliższych krewnych w Europie. W jakich częściach świata lew żyje? Dlaczego nazwany został królem zwierząt?

120. Lew chory.

I panowie chorują — czemuż lwy nie mogą?
Boleścią srogą
Lew zdjęty, ryczał; niebożęta
Drżały zwierzęta.
Te, co na dworze króla jegomości,
W żałości
Przymilały się panu. A że gdzie chory,
Tam i doktory,
Niedźwiedź, mimo powagę, wraz z lisem kolegą
Natychmiast biegą.
W radę: niedźwiedź poprostu
Na niestrawność życzył postu —
I zdławion za to.
Lis, przelękły zapłatą,
Kiedy go się pytano, co brać na chorobę,
Rzekł: — Pan chory na wątrobę,
Moja rada: o tej dobie
Podjeść sobie;

Komu post miły, niech gryzie śledzia —
Pan zje niedźwiedzia.
Nagrodzony obficie, że dogodnie życzył,
Nowym kunsztem — chorego doktorem uleczył.
Ignacy Krasicki.

Znaczenie tej bajki.

121. Upał.

Godzina była południowa, pogoda przejasna, bez chmurki, a nad zieloną kopułą liści rozciągała się błękitna kopuła niebios — ogromna, bezbrzeżna, siwa na krańcach, najbłękitniejsza w środku. Na niej stało wielkie, złote słońce; przestworze było zalane światłem, a powietrze tak jasne i przezroczyste, że najodleglejsze przedmioty występowały z siwiejącej dali wyraźne oku i zwarte w kształtach, a nie mgliste. Z wysokości nieba dobrotliwy Stwórca ogarniał okiem całą krainę: na polach kłaniało mu się zboże złocistą falą, szeleścił ciężki kłos pszeniczny, cienkie źdźbła owsa drżały, niby dzwonki i dzwoneczki. W powietrzu, przesyconem blaskiem słonecznym i błękitem, płynęła tu i owdzie wiosenna nitka pajęczyny, błękitna od błękitu, a złota od słońca, prawdziwe przędziwo z kądzieli Boga Rodzicy.

Pomiędzy łanami zbóż, we wklęsłych dolinach, zieleniły się ciemną runią łąki; tu i owdzie, gdzie w murawach dyszało źródło, tam i zieloność była jaśniejsza, a cała łąka, pokryta żółtemi kwiatami kaczeńca, biła o ludzkie oczy nadmiarem złotego blasku. Na mokradłach ciemniały olchy, od których wiało chłodem i wilgocią.

W lesie jednak między sosnami gorąco było i cichość wielka. Zdawało się, że całą krainę ogarnęła jakaś senność i omdlenie. Po chwili ustał powiew wietrzyka, a wówczas i lasy, i zboża, i trawy stanęły nieruchome.

Liść zwieszał się na drzewach, niby ukołysany do snu; ucichł gwar ptaków, i nastąpiła chwila spoczynku. Ale był to spoczynek jakby z nadmiaru słodyczy, niby rozmarzenie natury. Tylko wielka kopuła niebieska zdawała się uśmiechać, a gdzieś wysoko, wysoko, w niepojętych głębinach błękitu Bóg wielki radował się dobrotliwie radością pól, lasów, łąk i wód.

H. Sienkiewicz.

Czy tak samo wygląda świat rano, w południe i wieczorem? Jakie spostrzegasz różnice? — Rozkład.

Czem jest ten ustęp: opisem, opowiadaniem, czy rozrywką?

122. Przed burzą.

(Wyjątek z «Kirgiza»).

Słońce spuszczało się do zachodu,
Jeździec nie dosiągł kresu podróży;
Czuł głód i trudy. On śmiał się z głodu,
Do trudów życia przywykł zamłodu,
Lecz dostrzegł znaki niechybnej burzy.

Wbiegł więc na kurhan, co niedaleko
Krył kości, całą przodków puściznę,
I przez dłoń, zgiętą ponad powieką,
Na otworzystą spojrzał płaszczyznę.
Patrzył — lecz próżno: oku sokoła
To, czego szukał, wypatrzyć trudno.
Nikt tu nie mieszkał... tylko dokoła
Wzrok padał w przestrzeń głuchą, odludną.
Zskoczył — do ziemi przyłożył ucho —
Słuchał, czyli się co nie poruszy...
Czy szmer nie dojdzie? — Nie, zewsząd głucho —
W stepie ni jednej żyjącej duszy!
Wietrzył... jakby się przejąć spodziewał
Choć pyłek dymu ogniska koczowych...

Nic — tylko zapach kwiatów stepowych
Mgłą balsamiczną wkrąg go owiewał.

Cóż to? Czy on się zląkł kiedy grozy?
Wszak jeszcze małem będąc chłopięciem,
Nieraz wędrowne rzucał obozy,
Za obłąkanem gonić źrebięciem,
Lub zbierać w tabun rozpierzchłe trzody.
Wtenczas za płochą ścigając sarną,
Gdy spojrzał w chmurę gromową, czarną,
Wtenczas z odkrytą piersią i głową
Oślep się rzucał w burzę stepową.

A teraz — kiedy w pustynie wrócił
I ledwie życia zaczął kosztować,
Miałżeby podle tych ścian żałować,
Które z radością taką porzucił?
Nie! — Na kurhanie stojąc zaklękłym,
Poglądał w chmury okiem niezlękłem,
I na swym koniu czekał spokojny
Jak gdyby tylko hasła do wojny.

G. Zieliński.

Jakie szkody i pożytki przynosi burza?

123. Polowanie na tygrysa w Indjach Wschodnich.

Myśliwi, uzbrojeni w wyborne dubeltowe strzelby, w towarzystwie dobrze uzbrojonych i hojnie opłaconych naganiaczy, ze zgrają śmiałych psów, idą w gęstwinę naprzeciw upatrzonego zwierzęcia. Na przodzie idzie zwykle t. zw. szykar, czyli główny naganiacz, który pilnie badając ślady zwierza, znakami wskazuje kierunek, jaki obrać należy. Po obu jego stronach postępują strzelcy,

zawsze gotowi do strzału, a za nimi najpewniejsi ludzie z bronią gotową na zmianę. Potem postępuje orkiestra, składająca się z ogromnego bębna, trąb, dzwonków i ciągłych strzałów z pistoletów. Orkiestrze tej towarzyszą ludzie, uzbrojeni szablami i długiemi halabardami [1]). Tylną straż stanowią inni, wciąż miotający w gęstwinę kamienie ponad głowami tych, którzy postępują w pierwszych szeregach: kamienie te skuteczniej płoszą tygrysa, niż piekielny hałas orkiestry.

Co pewien czas człowiek wdrapuje się na wysokie drzewo dla zbadania ruchu w wysokich trawach. Cała jednak myśliwska rzesza trzyma się zwartej kupy. Tygrys niełatwo odważa się napaść na taką groźną i z takim hałasem postępującą gromadę. Nawet jeśli się odważy, to z niejaką trwogą; zatrzymuje się w pewnej odległości, waha się i daje czas strzelcom do celnego strzału.

W ciasnych wąwozach Hindostanu dosyć często podróżni bywają narażeni na napady tygrysów, a wół lub koń jeszcze częściej pada ofiarą ich żarłoczności. Koń tak się lęka tygrysa, że niepodobna go zmusić, aby ku temu zwierzowi postąpił; słoń przeciwnie — stoi spokojnie, a siedzący na nim człowiek może celnym strzałem uprzedzić groźny skok przeciwnika. Jeśli się to nie uda, wówczas i człowiekowi i słoniowi grozi największe niebezpieczeństwo.

Ogromne łapy i potężna waga przedniej części ciała są powodem, że największemu słoniowi tygrys może skoczyć na głowę i obalić go na ziemię, wraz z siedzącym na jego grzbiecie człowiekiem. Wprawdzie rzadko mu się to udaje, gdyż słoń zrzuca go i depcze nogami. W takim razie tygrys jest zgubiony: słoń miażdży go, albo łamie mu że-

---

[1]) Halabarda — topór zakończony grotem, z ostrym kolcem zamiast obucha osadzony na długiem drzewcu.

bra, a potem odrzuca go na kilkanaście kroków. Lecz często też słoń bywa straszliwie poszarpany, gdyż stary, silny tygrys tak mocno czepia się go pazurami, że ten go strząsnąć nie może. W takim razie słoń rzuca się też na ziemię, aby tygrysa zgnieść ciężarem swego ciała. Wtedy ci, co się na grzbiecie słonia znajdują, zarówno zagrożeni są śmiercią od łap i zębów tygrysa, jak od ciężaru ciała słonia.

Z Brehma.

124. Małpa.

Żyła małpa w pewnym domu,
Urwis, metr na wszystkie figle,
Cała w ruchu, jak na igle,
Byle figla spłatać komu.
Patrząc zaś na jej swawole,
Trzeba było zrywać boki:
Być w kominie, pod stołem, na stole,
Wyprawiać harce i skoki,
Tu poczęstować kota tabaką,
A tam przedrzeźniać staruszkę jaką,
Przejąć wszystko, co się stało —
Nic to ją nie kosztowało.

Raz, gdy w podobnej swawoli
W każdy kątek zajrzeć raczy,
Postrzegła, że pan się goli.
Czegóż małpa nie zobaczy?
A czegóż, spostrzegłszy, nie spróbuje sama?
Czekała tylko pory nasza dama.
I doczekała. Gdy jednej chwili
Cała się czeladź z domu wychyli,
Ona czem prędzej do pańskiej sypialni,

Już przy stoliku, już w gotowalni.
Gdzie tam chcieć wygód na prędkiej dobie?
Jak mogła, usiadła koło zwierciadła,
Dawaj mydlić pyski sobie!
Nieźle się z pędzlem sztuka udała,
Więc łapą śmiałą, nieułożoną,
Chwyta brzytwę wyostrzoną,
I chociaż boli — piszczy, a goli.
To w lewo, to w prawo,
Źle, ale żwawo.
Szach-mach po szyi żelazem —
Zarżnęła się jednym razem.

J. Massalski.

Jaka myśl jest w tej bajce? Kiedy naśladownictwo może przynieść pożytek? Wymień wyrazy podobnego znaczenia, co: urwis, swawola, harce, gotowalnia, spostrzec, nieułożona (ręka), małpować. Jaki to wiersz: opowiadający czy uczuciowy?

125. Dbałość ptaków o gniazda.

Gdy na wiosnę wesołym śpiewem ptasząt zabrzmią nasze lasy, gaje i ogrody, czy przyjdzie wam na myśl, że cała ta skrzydlata rzesza, prócz śpiewu, ma wiele poważnych trosk, kłopotów i celów do spełnienia?

Już z początkiem wiosny muszą ptaki wykonać pracę nielada: przygotować kolebkę dla piskląt, t. j. uwić gniazdo. Wszystko to musi być mądrze obmyślane: wybór miejsca i materjału. Gniazdo powinno być założone w okolicy obfitującej w pożywienie, a przytem w bezpiecznem ukryciu, aby go nie mógł znaleźć żaden drapieżca.

Co do materjału — jedne ptaki używają cienkich gałązek i pręcików, inne włókienek i korzonków, tu znów źdźbeł słomy, włosia, mchu, piórek, wreszcie puchu do

wysłania wnętrza kolebki — słowem panuje tu wielka rozmaitość.

Z materjału tego ptaki wiją gniazdka nieraz nadzwyczaj misterne, zawsze z nakładem pracy niemałej.

Ptaki zazwyczaj dobrze ukrywają swe gniazda, ale gdy się pisklęta wyklują, rodzice muszą ciągle wracać z żywnością do jednego miejsca, co łatwo ściąga uwagę drapieżnych zwierząt. Dlatego też ptaki używają różnych sposobów, żeby się nie zdradzić: wymykają się nieznacznie, wracają niby to do innego miejsca, skradają się cichaczem i nagle wpadają w gąszcz, w którym gniazdo jest ukryte. Wiele też ptaków zaczyna żałośnie piszczeć, skoro mają się zbliżać do gniazda, jak gdyby błagały o litość.

Wogóle jednak w takich wypadkach udają one jakby obojętność. Widząc, że do gniazda zbliża się wróg, wylatują na spotkanie i starają się na siebie ściągnąć jego uwagę, udając osłabionego lub ranionego. A gdy napastnik da się tem złudzić, odciągają go nieznacznie możliwie daleko od miejsca, gdzie się znajdują dzieci, i wówczas dopiero same uciekają. Do gniazda wracają inną drogą i niepostrzeżenie. Jeżeli zaś przeciwnik nie jest zbyt groźny, rzucają się nań odrazu i odpędzają go. Gdy widzą, że ten nie daje się zwieść i oszukać, jeżeli nie mogą zwyciężyć, starają się go przynajmniej odstraszyć. Krzyczą więc, nastroszywszy przytem pióra, aby się wydać groźniejszemi, a w ostateczności rzucają się na wroga, bijąc go skrzydłami i dziobem. Tylko miłość rodzicielska może natchnąć te drobne stworzenia taką odwagą, takiem zaparciem się, zapomnieniem o własnem niebezpieczeństwie!

Jeżeli ptaki zauważą, że w danem miejscu grozi co dzieciom lub jajkom, nie wahają się przenieść je w inne, pewniejsze. Jeżeli np. zabierze kto pisklę sowie, zaraz na-

stępnej nocy przeniesie ona wszystkie pozostałe do innej dziupli, trzymając każde ostrożnie w dziobie.

Ptaki dbają przytem nadzwyczaj o porządek w gnieździe i o to, aby dzieci były czyste [1]). Porządkują więc gniazda, wyrzucają z nich wszelkie nieczystości, obszukują starannie pisklęta dziobkiem, czy między ich drobnemi piórkami nie kryje się jaki dokuczliwy owad. Niektóre nawet urządzają kąpiele swym dzieciom: przynoszą nieco wody w dziobie i skrapiają nią pisklęta, albo też, zanurzywszy się na chwilę w wodzie, otrząsają się następnie nad gniazdem. Częstokroć taki prysznic ma na celu ochłodzenie dzieci podczas zbytniego upału.

Wogóle ptaki nie żałują pracy i gotowe są nawet do poświęcenia, byleby tylko zapewnić dzieciom bezpieczeństwo, zdrowie i wygody, a czynią to wszystko pod wpływem wielkiej miłości rodzicielskiej, która im każe zapomnieć o własnych uciechach, przyjemnościach i wygodach, a myśleć jedynie o szczęściu dzieci.

Z B. Dyakowskiego.

Daj przykłady miłości rodzicielskiej u innych stworzeń.

126. Kruk i lis.

(BAJKA)

Kruk na drzewie siedząc sobie,
Kawał sera trzymał w dziobie.
Lis zapachem przynęcony
Zrobił niskie trzy ukłony
I do niego rzekł niechcący:
— Jakżeś, panie, zajmujący.

---

[1]) Z wyjątkiem dudka.

Wysiliła się natura:
Co za postać! jakie pióra!
A jeśli nie jestem w błędzie,
Pewnie i głos śliczny będzie...
Kruk dalej śpiewać! — lecz gdy dziób rozdziawił,
Ser wypadł, lis go porwał, a kruka zostawił.

Do jakich zwierząt lis należy? Jaki ma charakter? Co wiesz o jego obyczajach? Jakie znasz bajki o lisie? Jaką mamy korzyść z lisa? Co to znaczy: patrzy, jak lis na winogrona? — Jaki to ptak jest kruk? Czem się żywi? Jak tutaj jest przedstawiony? Czy zwierzęta i ptaki rozmawiają z sobą? Dlaczego tak piszą w bajkach? Jakiego człowieka oznacza ten lis, a jakiego kruk? Co to znaczy próżność?

127. Puhacz.

I.

Ciemno — tylko tu i owdzie świecą jak drobne gwiazdeczki robaczki świętojańskie, migające się między drzewami. Olbrzymi puhacz, przytulony do pnia starego dębu, obudził się i nadstawił uszu. Bo ptak ten ma uszy, prawdziwe, odstające uszy, jak u czworonogów, z tą tylko różnicą, że są one skierowane otworem nie naprzód, lecz wtył, a zewnątrz porosłe pierzem. Na każdem z nich sterczy pęczek dłuższych piór; są one przytem zupełnie ruchome, tak że puhacz może je dowolnie zamykać, gdy śpi, lub otwierać, gdy wyrusza na łowy. Cóż to jednak za dziwaczne ucho z otworem wtyle? Nie jest ono tak złe, jakby się mogło wydawać napozór. Puhacz lata bardzo szybko, gdyby więc ucho jego było otwarte ku przodowi, wpadałby w nie szybki prąd powietrza, i ptak nicby nie mógł słyszeć. Przecież i czworonogi, jak konie, zające, biegnąc prędko, kładą uszy po sobie, żeby się zabezpieczyć od silnego prądu. Puhacz zaś ma zawsze ucho odwrócone

wtył, i dzięki temu słyszy wszystko, co się dzieje za nim, nawet w czasie najszybszego lotu nagłym zwrotem rzuca się na zdobycz, którą już minął, i porywa ją.

Posłuchawszy przez chwilę nocnych szmerów, puhacz potarł kilka razy swój silnie zgięty dziób o gałąź, jak gdyby chciał go naostrzyć przed zbójecką wyprawą, a potem zleciał cicho, bez najmniejszego szelestu. Jakie pióra ma ten ptak, że może latać tak cicho? Pióra jego są przedewszystkiem bardzo miękkie, a oprócz tego zewnętrzny brzeg lotek, to jest piór stanowiących skrzydła, nie tworzy jednej ciągłej linji, jak u innych ptaków, ale jest zazębiony jak u piły. Łatwo zaś sprawdzić, że gdy szabla, przerzynająca powietrze, wydaje ostry gwizd, takiemu samemu ruchowi, wykonanemu piłą, żaden dźwięk nie będzie towarzyszył, lub co najwyżej bardzo słaby. Ptak dzienny kraje powietrze ostrym kantem pióra, i lot jego można słyszeć — puhacz przecina je jakby piłą i leci bez szelestu. Mając taki lot i nocną ciemność za towarzysza, silny dziób i potężne szpony, a w dodatku wyborny słuch i oczy nienajgorsze, ileż to morderstw dokonać można, ile ofiar porwać! Jakież stworzenie potrafi się oprzeć puhaczowi, gdy je zaskoczy we śnie, tak znienacka i niespodziewanie? Niedarmo też przezwano go królem lasu.

II.

Opuściwszy gałąź, puhacz leciał przez czas jakiś między wierzchołkami drzew, a następnie powoli zaczął spuszczać się niżej, kręcąc głową na wszystkie strony, nasłuchując i wypatrując, czy gdzie nie zobaczy śpiącego ptaka lub zapóźnionej wiewiórki. Ale las zdawał się pusty i martwy. Puhacz zasyczał gniewnie, wzleciał nieco wyżej i, usiadłszy na gałęzi starego dębu, kilkakrotnie odezwał się ponuro potężnym głosem: hu! hu! hu! Niech

wiedzą leśni mieszkańcy, że pan wyruszył na łowy! Głos rozszedł się po lesie. Zabiło serce biednemu zajączkowi, co gdzieś w polu zajadał młodą trawkę, obudziły się ptaki z uśpienia i niejeden z przestrachem rzucił się do ucieczki, nie wiedząc jednak, skąd mu niebezpieczeństwo zagraża. Dobroduszny jeż również zatrzymał się w drodze, jakby go coś tknęło. Nie stracił jednak odwagi: — Ostre kolce mię bronią — pomyślał na uspokojenie. A wtem jęknął boleśnie: ostre szpony nagle wbiły mu się w grzbiet poprzez kolce. Skurczył się, próbował zwinąć się w kłębek, ale sił mu zabrakło. Napastnik uniósł go w powietrze, wydając okrzyk triumfalny: hu! hu! hu! i, usiadłszy na gałęzi, poszarpał i pożarł w jednej chwili biedaka tak łapczywie, że połknął niejeden kolec, co zresztą temu drapieżcy nic nie szkodzi.

Następnie skradającym się lotem wyruszył na nowe łowy.

III.

Z gąszczów wysunęło się cicho niezbyt wielkie zwierzę o podługowatym tułowiu, na krótkich nogach i, podniósłszy do góry zaostrzony pyszczek, zaczęło węszyć. Na polance tak jasno, że łatwo poznać je po kształcie ciała, siwej piersi i dwóch czarnych pręgach, idących wzdłuż białego pyska. To borsuk. Ostrożny do przesady, nigdy się nie oddala zbyt daleko od nory. I teraz coś mu się nie podobało, bo zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Istotnie z gąszczów dochodził jakiś odgłos, jakby trzask łamiących się gałęzi, łopotanie skrzydeł. Odgłos ten zbliżał się ciągle, aż wreszcie na polankę wbiegł zając, nad którym unosił się puhacz z rozpostartemi skrzydłami, wykrzykując swoje hu! hu! Puhacz zdawał się siedzieć na grzbiecie zająca i siedział istotnie, wpiwszy się weń szponami jednej nogi, drugą natomiast

starał się uchwycić za jaką wystającą gałąź, żeby zająca zatrzymać. Ten z bólu i przestrachu rwał się jak szalony i pędził wciąż naoślep przed siebie.

Daremnie się silisz, biedaku! Nie wyrwiesz się ze szponów drapieżcy: prędzej czy później znajdzie on dogodną gałąź, przytrzyma cię i zmiażdży ci głowę ostrym dziobem.

Puhacza można śmiało zaliczyć do zwierząt szkodliwych, bo chociaż zjada i szkodników leśnych, żaden jednak ptak nie jest przed nim bezpieczny, a co wytępi zwierzyny: zajęcy, kuropatw, cietrzewi!

B. Dyakowski.

Wymień zwierzęta, żerujące nocą.

128. Zachód słońca.

Słońce już zgasło, wieczór był ciepły i cichy,
Okrąg niebios gdzie niegdzie chmurkami zasłany,
U góry błękitnawy, na zachód różany.
Chmurki wróżą pogodę: lekkie i świecące,
Tam jako trzody owiec, na murawie śpiące,
Owdzie nieco drobniejsze, jak stada cyranek,
Na zachód obłok, nakształt rąbkowych firanek,
Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,
Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał.
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło
I raz ciepłym powiewem westchnąwszy — usnęło.

A. Mickiewicz.

129. Do ziemi wiecznych lodów.

Od czasu wielkich odkryć Kolumba, Cooka, Magellana — żądza poznania całej ziemi opanowała czło-

wieka z niepokonaną siłą, pchając go do tysiąca najniebezpieczniejszych przedsięwzięć i podróży.

Kraje podbiegunowe, kraje wiecznych lodów, białe, zimne, mordercze — jakąż potęgą pociągacie serca najdzielniejszych i najzuchwalszych jednostek, że dążą ku wam z taką siłą woli, z taką pogardą śmierci? Trudy ich wypisane na skałach i lodowcach mórz północnych, a wymawiając imiona Davisa, Hudsona, Behringa, Baffina, Franklina i innych, często nie wiemy nawet, jakich wymieniamy bohaterów. Jednym z ostatnich i najszczęśliwszych podróżników był Frytjof Nansen, którego niezmordowana energja i siły zdumiewające doprowadziły najdalej na północ, bo zaledwie 400 km. oddzielało go już od bieguna.

Nansen wypłynął z Norwegji w r. 1893. Początkowo chciał on korzystać z prądu morskiego na oceanie Północnym, aby na karku potężnych lodowców dostać się wraz z okrętem do bieguna. Po 20 miesiącach przekonał się jednakże, iż trwałoby to za długo, opuścił więc wygodny i we wszystko zaopatrzony statek, aby z jednym tylko towarzyszem, Johansenem, na saniach przez psy ciągnionych dostać się do bieguna. Sam opowiada tak o tej wędrówce:

«Co parę km. napotykaliśmy zapory i wały ze spiętrzonych brył, pomiędzy któremi sanie przesuwały się niezmiernie wolno, a często trzeba je było przenosić. Wszystko to wyczerpywało siły w takim stopniu, że szliśmy nieraz śpiąc i zataczając się na nogach».

Na noc zatrzymywali się w pobliżu gór lodowych, aby mieć ochronę od wiatru. Johansen zajmował się psami, Nansen rozbijał namiot, napełniał lodem kociołek, zapalał kuchenkę naftową i gotował wieczerzę z zabranych zapasów żywności. Następnie wnosili do namiotu worek z żywnością i worek futrzany, zastępujący łóżko,

zamykali starannie wnijście i wsuwali się w ów worek. Przedtem jednakże trzeba się było rozebrać, co stanowiło już niemałą trudność. Sam Nansen tak o tem pisze:

«Kiedy wleziemy do worka, ubranie na nas powoli odmięka, zanim jednak to nastąpi, leżymy parę godzin, szczękając zębami. Wkońcu robi się o tyle giętkiem, że można je zdjąć. Niestety, nie trwa to długo. Niebawem po wstaniu ze snu mamy znów na sobie jakby tekturową odzież.

Rano, jako kucharz, muszę wstawać pierwszy i przyrządzać śniadanie; kiedy wszystko gotowe, budzę Johansena. Jedna z kołder wełnianych służy nam zamiast stołu, na którym piszemy potem dziennik podróży. Wkońcu ruszamy w drogę. Ja idę naprzód, za mną sanki, ciągnione przez psy, które się nauczyły postępować moim śladem, naostatku Johansen, nawołując i poganiając psy długim batem. Często trzeba być okrutnym dla tych biednych zwierząt. Serce się wzdryga na wspomnienie o tem: wydobywaliśmy z naszych psów ostatki sił, póki śmierć nie uwolniła ich od cierpień».

Przez 15 miesięcy walczyli w ten sposób z mrozem, głodową śmiercią, drapieżnemi zwierzętami i tysiącem przygód, zanim nakoniec spotkali wyprawę amerykańską, dążącą również do bieguna. Byli już tak daleko, a jednakże...

(Materjał z podróży Nansena i innych).

Czy zdołał człowiek pokonać te przeszkody? Co to znaczy biegun ziemi?

130. Człowiek i zdrowie.

W jedną drogę szli razem i człowiek, i zdrowie,
Na początku biegł człowiek; towarzysz mu powie:
— Nie śpiesz się, bo ustaniesz.—Biegł jeszcze tem bardziej.

Widząc zdrowie, że jego towarzystwem gardzi,
Szło za nim, ale zwolna. Przyszli na pół drogi:
Aż człowiek, że z początku nadwyrężył nogi,
Zelżył kroku na środku. Za jego rozkazem
Przybliżyło się zdrowie, i odtąd szli razem.
Coraz człowiek ustawał, a że się zadysza:
— Prowadź mię, iść nie mogę — rzekł do towarzysza.
— Było mnie zrazu słuchać — natenczas mu rzekło.
Chciał człowiek odpowiedzieć... lecz zdrowie uciekło.

Ignacy Krasicki.

Czy powinniśmy dbać o swoje zdrowie? Czy wiele zrobić może człowiek chory? Czy wiele wart człowiek, który myśli tylko o zdrowiu? Co myślisz o człowieku, który naraża zdrowie dla rzeczy ważnych, pięknych, szlachetnych?

131. Z opowiadań małego Eskima.

I.

Urodziłem się w najpiękniejszej i najbogatszej strefie na kuli ziemskiej.

Leży ona wśród lodów bieguna północnego, a Europejczycy nazywają ją, nie wiem dlaczego, Grenlandją, czyli ziemią zieloną, pomimo że od wieków drzewa na niej nie rosną. Gdzie spojrzysz, piętrzą się góry lodowe i nagie skały, rzadko gdzie pokryte kępkami trawy, i to wtedy tylko, jeżeli wiosna poszarpie miejscami wieczną powłokę śniegową. Przez trzy miesiące zimowe panuje u nas ciągła noc, a mróz dochodzi do takiego stopnia, o jakim mieszkańcy Południa nie mają pojęcia, i niełatwo znieśćby go mogli. Zato gdy nadejdzie letnia pora, słońce w ciągu trzech miesięcy prawie nie zachodzi. To mi dopiero piękne światło dnia!

A czarowna zorza nocy!

Każda pora roku ma dla nas, szczęśliwych mieszkańców tego rozkosznego kraju, swoje przyjemności i po-

waby. W zimie, gdy mróz potężny na dworze, gdy ciemności zalewają ziemię i ocean, my gromadzimy się w naszych wygodnych chatach ze śniegu, do których wchodzimy przez korytarze również ze śniegu, czasem kilkadziesiąt stóp długie, a zawsze tak niskie, że trzeba przez nie pełzać na czworakach.

Naokoło ścian wewnątrz chaty znajduje się ława z ubitego śniegu, pokryta futrami, służąca za siedzenie i łoże. U sklepienia, pomiędzy błyszczącemi jak diamenty soplami lodu, wisi lampa gliniana, gorejąca bezustannie jasnym płomieniem, napełniona tłuszczem foki; oświetla ona chatę, a zarazem służy za ognisko do gotowania żywności. Innego ognia niema w chacie; pomimo to mieszkańcy podczas pracy zmuszeni są zdejmować zwierzchnie ubranie.

Tam to podczas straszliwych śnieżyc i zawiei podbiegunowych, tak gwałtownych, że nikt nie może głowy na świat wychylić, spędzamy czas w dobrobycie, spokojnie i przyjemnie. Mężczyźni wyrabiają z ości harpuny [1]) i inne przybory do rybołóstwa i polowania. Kobiety, zebrane około ogniska, szyją ubrania futrzane i piękne, nieprzemakalne buty ze skóry cieląt morskich, ozdabiane ładnym haftem. Jadamy mięso fok i wielorybów, wybornie przechowane w śniegu. Dzieci syte śpią lub bawią się — słowem wnętrze chaty przedstawia obraz spokoju i szczęścia wtedy, gdy nazewnątrz szaleją rozhukane żywioły.

Skoro tylko ustali się pogoda, mężczyźni nie mogą usiedzieć w domu. Pomimo trzaskającego mrozu, byle tylko powietrze było spokojne, udają się do zwykłych zajęć. Wdziewają długie kożuchy z niedźwiedziej skóry, opatrzone w kaptury, uzbrajają się włóczniami i wycho-

[1]) Harpun — ostra dzida z zagiętemi wtył końcami.

dzą z domów. Jak okiem zasięgnąć, ziemia pokryta śniegiem zlewa się z zamarzłem morzem, najeżonem lodowcami. Czarne sklepienie niebios iskrzy się miljonami gwiazd; najczęściej jednak podczas nocnej pory świeci przepiękna zorza północna, podobna do wspaniałych ogni sztucznych. Niebo pokrywa się wtedy ognistemi, oślepiająco jasnemi słupami lub łukami, o brzegach purpurowych i złocistych.

Eskimowie po wyjściu z domów rozpraszają się w różne strony. Jedni zaprzęgają psy do sanek, udając się w odwiedziny do sąsiednich pokoleń, inni tropią reny i białe niedźwiedzie, inni znowu puszczają się na morze i wycinają przeręble, służące do połowu fok. A skoro obciążeni obfitym łupem powrócą wesoło, znowu rozpoczyna się biesiada, tem przyjemniejsza, że na dworze noc i mróz.

II.

Z końcem zimy nowe czekają nas przyjemności. Ktoś z mieszkańców wioski, powracając z polowania, opowiada, że dostrzegł bladawą smugę światła na niebie; zaprzeczają mu, nie wierzą, rozprawiają żywo, lecz po upływie 24 godzin zbierają się tłumnie, by dostrzec wskazany punkt nieba... światło ukazuje się znowu... Nieinaczej... to świta dzień!

Nareszcie po długiem oczekiwaniu jasny promień ukazuje się na krańcu niebios, oświetlając nagie skały i cichą, ponurą ziemię! Mieszkańcy, przywykli do ciemności nocnej, zasłaniają sobie oczy, ażeby nie oślepnąć. Z jakąż radością witają ożywcze słońce! Ale po kilku minutach już ono zachodzi; nazajutrz zato świeci nieco dłużej, później coraz dłużej, aż wkońcu, jak gdyby ukochało sobie nasze niebo Północy, ustala się na kilka mie-

sięcy, darząc nas najpiękniejszemi promieniami ciągłego dnia. Skoro tylko słońce zacznie dogrzewać, tworzą się maleńkie strumyki w śniegu. Nareszcie pewnego dnia rozlega się straszliwy huk, a niewzruszone dotąd lodowce ożywiają się nagle i zaczynają poruszać. To morze puszcza. Lodowce kruszą się z hukiem, podobnym do wystrzałów armatnich, chwieją się na unoszących je falach i, podobne do floty olbrzymiej, odpływają na pełne morze.

Przy najsłabszym nawet wietrzyku trącają się one wzajemnie i rozpadają z ogromnym łoskotem. Za każdem takiem uderzeniem zmieniają się ich kształty, tak że co chwila widzi się płynące niby szklane góry, niby kryształowe pałace, niby świątynie z białego marmuru, a łamiące się w nich światło słoneczne stroi fantastyczne budowy w barwy tęczowe.

Teraz zimowe pomieszkania zamieniamy na obozowiska letnie: z chat śniegowych przenosimy się do skórzanych namiotów, rozbitych na wybrzeżu morskiem. To wiosna! W okolicy widać jeszcze gdzie niegdzie lodowce, strzelające w górę niebotycznemi kolumnami; morze unosi jeszcze groźne isbergi [1]), lecz tu i owdzie na wybrzeżu z pod topniejącego śniegu zaczynają się ukazywać kępki trawy, pośród których błyszczą drobniutkie kwiatki — czerwone, żółte i niebieskie.

III.

Ale mniejsza o roślinność! Jest ona tak uboga, że wcale na nią nie liczymy.

Zato świat zwierzęcy dostarcza nam bogatych zdobyczy: powietrze, ziemia i morze pełne są w tej porze roku zwierząt. Z południa nadlatują gromady wodnego

[1]) Isbergi — pływające góry lodów.

ptactwa, dostarczającego nam jaj, drogocennego puchu, delikatnych skórek i wybornego mięsa. Stada renów zaopatrują nas w pożywne i smaczne mięso, miękkie skóry i wspaniałe rogi, z których wyrabiamy broń i przedmioty codziennego użytku.

Morze roi się od wielorybów, wyrzucających w górę strumienie wody, oraz morsów [1]), zebranych w hałaśliwe stada.

Polujemy na nie w lekkich kajakach [2]). Kość morsów jest bardzo podobna do słoniowej, mięso zaś i tłuszcz tych zwierząt mogłyby w zupełności zaspokoić nasze potrzeby codzienne, gdybyśmy nic już innego nie mieli.

Jest to pora wielkich polowań i połowów. Codziennie znosimy nową zdobycz, nowe łupy. W namiotach wyprawiamy prawdziwe uczty. Zęby morsów, rogi renów i rozmaite futra układają się w stosy. Spożywamy wprawdzie zaraz znaczną część naszej zdobyczy, lecz nie zapominamy o nadchodzącej zimie i składamy zapasy w kryjówkach, nam tylko znanych, a należycie zabezpieczonych od niedźwiedzi i lisów.

Taki jest ten piękny kraj, w którym ujrzałem światło dzienne.

E. Berthet.

(«Młodzież w 5-ciu częściach świata»).

Jak ci się ten kraj podoba? Czy jest najpiękniejszy i najbogatszy? Dlaczego się takim wydaje Eskimowi? Co powiedziałby o nim murzyn? Czy każdy człowiek przywiązany jest do swego kraju?

W jakiej części świata leży Grenlandja? Jaki widzisz związek między przyrodą kraju a zajęciami człowieka?

Powiedz wyrazy przeciwnego znaczenia, co: piękny, bogaty, góra, mróz, zachód, przyjemność, ciemność, zdjąć, dobrobyt, syty, wspaniały, świta, ponury.

---

[1]) Koń morski. [2]) Łodzie, obite skórą foki.

132. Żółw i mysz.

Że zamknięty w skorupie, niewygodnie siedział,
Żałowała mysz żółwia: żółw jej odpowiedział:
— Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny:
Prawda, nie jest wspaniały, szczupły, ale własny.

I. Krasicki.

Co znaczy ta bajka? W czem można przystosować jej sens do zapatrywania się Eskima na swój kraj rodzinny? Wytłumacz przysłowie: «Lepsze jedno oko swoje, niż cudze oboje»; «Ten pan, zdaniem mojem, kto przestał na swojem» (Kochanowski); «Lepiej ze swoimi plakać, niż z obcymi skakać».

133. Gospodarstwo Kościuszki.

Pamiętacie, że Tadeusz Kościuszko kształcił się w Szkole Rycerskiej w Warszawie za króla Stanisława Poniatowskiego, gdyż od dzieciństwa pragnął krwią i życiem służyć ojczyźnie. W źle urządzonem i nielicznem wojsku Rzeczypospolitej nie znalazło się jednak miejsca dla niego. A ponieważ właśnie wtedy Ameryka walczyła z Anglją o wolność [1]), więc tam pośpieszył na pomoc i usługi swoje ofiarował. Wkrótce ocenili go Amerykanie, że był znakomitym inżynierem i doskonałym dowódcą, otoczyli szacunkiem i przyjaźnią.

Lecz wojna się skończyła. Kościuszko tęsknił do kraju i wrócił. Było to w r. 1785. W Polsce po pierwszym rozbiorze naród pracował gorliwie, lecz cicho. Kościuszko osiadł na Litwie, w majątku rodzinnym Siechnowicze (ziemia grodzieńska), i tu przez 4 lata (od 1785 do 1789) wiódł ciche życie ziemianina, póki nie zdarzyła się sposobność służenia własnej ojczyźnie.

[1]) Wojna toczyła się o wolność Stanów amerykańskich i zakończyła się ich zwycięstwem.

Mająteczek, w którym gospodarzył Kościuszko, był niewielki: wieś składała się z 20-u chat czyli «dymów», jak wtedy mówiono, chociaż więc «pan generał» pracował gorliwie, dochody miał bardzo szczupłe (około 100 złp. rocznie).

W owych czasach wszędzie jeszcze w Polsce chłopi odrabiali t. zw. «pańszczyznę», t. j. pracowali darmo na gruntach dziedzica tyle dni, ile pan im wyznaczył. Włościanie siechnowiccy byli obowiązani do 4-ch dni pańszczyzny tygodniowo, tak mężczyźni, jak i kobiety. Ale kiedy Kościuszko objął majątek, pomimo że był w wielkich kłopotach pieniężnych, zaraz zmniejszył tę robociznę dla mężczyzn o połowę, a więc zredukował ją do 2-ch dni w tygodniu; kobiety zaś zupełnie od niej uwolnił; wolał sam cierpieć niedostatek, niż wyzyskiwać pracę ludu i patrzyć na jego nędzę.

Prowadził więc Kościuszko w dworku swoim życie bardzo skromne. Pewien szlachcic tak opisuje wnętrze mieszkania: «Z sieni po prawej ręce był pokój duży; z niego wchodziło się do drugiej izby, którą przepierzenie dzieliło na pokój sypialny i garderobę. W pierwszym pokoju stał stół ordynaryjny, stary, i kilka stołków drewnianych; przy drzwiach szafa staroświecka kredensowa. W sypialnym pokoiku stało łóżko na środku i przy łóżku stolik niewielki, na którym książki, kałamarz i papier. Do podawania kawy taca, ręką pana Kościuszki z jabłoni toczona, kilka półmisków i talerzy własnej jego pracy — składały całe umeblowanie [1]). Gospodarstwem kobiecem zarządzała stara ciotka pana K., służba składała się z dwóch osób: lokaja i woźnicy.

---

[1]) Po drugiej stronie sieni był podobno pokój bawialny, którego jednak szlachcic ów nie opisuje.

«Za domem ciągnął się ogródek owocowy z górką, leszczownikiem porosłą, na której pan K. porobił ścieżki i altany; była i sadzawka, zarosła tatarakiem, a na niej dzikie kaczki, pielęgnowane troskliwie.

«P. K., oddany ciszy wiejskiej, gospodarzył rządnie i czule; dla sąsiadów również w rolnictwie, jak we wszystkich szczegółach życią swego był jedynym wzorem. Szanowany i lubiany przez obywateli, przesiadywał najwięcej w domu».

Ogrodnictwem zajmował się ze szczególnem upodobaniem. W «leszczowniku», który dotąd istnieje, znajduje się jeszcze «labirynt», podobno przez Tadeusza Kościuszkę uplanowany i zasadzony. Ścieżka wąska kręci się tu między gęstemi ścianami zieleni w tylu zagięciach, że można przez kilkanaście minut chodzić na małej stosunkowo przestrzeni, nie widząc nic poza temi ścianami. Są też wielkie drzewa, zasadzone po obu stronach szerokiej alei również ręką generała.

Od prac tych oderwał się Kościuszko w r. 1789, gdy otrzymał rangę generał-majora w wojsku polskiem. Wtedy pożegnał Siechnowicze na zawsze i całą duszą i sercem oddał się ojczyźnie. *C. B.*

Kto był Kościuszko? Opowiedz, co wiesz o nim. Dlaczego Polacy wspominają to imię i dlaczego złożono ciało jego na Wawelu?

134. Przewodnik.

Urywek z «Bitwy racławickiej».

Kołem, kołem, ponad siołem
Krąży sokół siwy;
Pochował się przed sokołem
Wszelki ptaszek żywy.
Wyciągnięty, jak rozpięty,
To skrzydłami wzruszy...

Popatrzył się nasz Kościuszko —
Niema żywej duszy!
— Chociaż niema żywej duszy,
Ani żadnej trwogi,
Sprowadźcież mi przewodnika,
Co zna wszelkie drogi;
Trza mi człeka nie zdaleka,
A z tej samej wioski,
By prowadził, a nie zdradził
Ten naród krakowski.
Więc się skłonił przed Kościuszką
Wójt, gospodarz setny,
Z pod kościoła sprowadzony
Staruszek stuletny.
Ten, choć oczy dawno stradał
W okrutnym pożarze,
Gdzie co leży, jak należy
Dokładnie pokaże.
Krzywym wężem się podpiera,
Ręką na wiatr maca,
I przez ścieżki nieznajome
Drogę sobie skraca.
— Już ja dawno słyszał o tem —
Rzekł, ściągnąwszy ręką —
Żeście, ojcze, pokarali
Wroga pod Dubienką.
A pierw jeszcze powiadali,
Jak to po zwyczaju,
Żeście kędyś wojowali
Aż w murzyńskim kraju;
Że wam pereł uryjańskich
W podarunku dano,
Jakby grochu łuszczonego
Węborek w kolano.

A że za te perły drogie,
W morzu wyzbierane,
Przyjechaliście wykupić
Ojczyznę kochaną.
A Kościuszko z dźwięcznym śmiechem:
— Serdeczny ojczulu,
Gdybyć można garścią pereł
Ująć Polsce bólu...
Lecz, że kraju nie wykupić,
Gdy go wróg przywłaszczy,
Jak jagnięcia nie wyprosić
Z głodnej wilka paszczy:
Więc już szczerze, jak żołnierze,
Przy pomocy nieba,
Utraconą Polskę naszą
Krwią odkupić trzeba.
Krwią przeczystą, nie pogańską,
Ale chrześcijańską:
Każda kropla odważona –
Perłą uryjańską.
Takiemi to perły, ojcze,
Co nam w żyłach płyną,
Wykupimy Polskę naszą,
Mateczkę jedyną...

T. Lenartowicz.

Kto się najwięcej odznaczył w bitwie pod Racławicami?

135. Palona kawa.

Podczas wojny z Anglją Napoleon, chcąc ten kraj zubożyć, zabronił kupowania towarów kolonjalnych [1])

[1]) Towary kolonjalne (kawa, herbata, korzenie) sprowadzała

i kazał spalić wszystkie, jakie były w portach francuskich.

Razu jednego, przejeżdżając konno wpobliżu wiejskiej plebanji, Napoleon poczuł mocny zapach palonej kawy.

— He, he! — zawołał cesarz — otóż i kontrabanda [1]). Musimy wstąpić do proboszcza, aby to sprawdzić na miejscu.

To mówiąc, z adjutantem wchodzi na plebanję i zastaje proboszcza właśnie z piecykiem w ręku.

— Piękny przykład, niema co mówić! — woła cesarz. — Cóż to jegomość robisz?

— Spełniam wolę twoją, najjaśniejszy panie — odparł spokojnie proboszcz — palę towary kolonjalne.

Kto był Napoleon? Czy zrobił co dla Polski? Co Polacy myśleli o Napoleonie i jak mu służyli? Kto to był Henryk Dąbrowski? Co wiesz o legjonach polskich?

136. A jak poszedł król...

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote
Na zwycięstwo, na ochotę.

A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zaszumiało kłosów pole
Na tęsknotę, na niedolę...

---

wtedy Anglja z kolonij zamorskich i prowadziła niemi handel z Europą.

[1]) *Kontrabanda* — przewożenie (przemycanie) do kraju zakazanych towarów. *Kontrabandzista* — przemytnik.

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopy.

Szumią orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy,
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wraca zdrowy...

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota,
I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa wdali,
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liljowe.

M. Konopnicka.

Czego więcej musi być w wojsku: wodzów czy żołnierzy? Kto ma trudniejsze na wojnie zadanie? Coby zrobił wódz bez żołnierzy? A żołnierze bez wodza?

137. Książę Józef i dzieci polskie.

Smutny i pełen niepokojących przeczuć jechał książę Józef na czele swojego korpusu, wezwany rozkazem cesarskim pod Smoleńsk.

Słońce zachodziło, tonęło w czerwieni niebios. Las na widnokręgu palił się zorzą zachodu, w srzeżodze purpurowej malował się taśmą olbrzymią — bez końca.

Poniatowski odwrócił głowę. Był sam. Dywizja kawalerji ciągnęła za nim powoli na zmęczonych koniach. Za kępą drzew zabielił się dwór. Nie zwracając na nic uwagi, mimo ogrodu jechał książę.

Wtem z za parkanu wychyliły się dwie różowe główki dziecięce, poczem trzecia, znikły i znów wychyliły się, ciekawe i zastraszone.

— Dzień dobry! — zawołał Poniatowski.

Główki znikły jak ścięte, lecz znów się pokazały, z mniej przerażonemi oczyma.

— Swój! Polak! — wołał książę.

— Polak? — zapytał najstarszy chłopczyk.

— Polak.

— Nie Niemiec?

— Ani nic podobnego? — dodała dziewczynka.

— Nic, nic podobnego — roześmiał się książę. — Jest tatuś w domu?

Chłopczyk zawahał się, ale odpowiedział po chwili:

— Jest.

— A mamusia?

— I mamusia.

— I dziadzio, i babcia, i ciocia Bolesia, i mademoiselle. Piją kawę — dodała dziewczynka.

— Pobiegnijcie do tatusia i zapytajcie, czy hrabia Potocki, szef brygady księcia Józefa Poniatowskiego, który tu z wojskiem nadciąga, może odpocząć chwilę i czy kawy dostanie?

— Dobrze! Zaraz! — odpowiedział chłopczyk.

— Ach! To pan jest z wojska księcia Poniatowskiego! — zawołała dziewczynka.

— Pan jest z wojsta tsięcia Poniatowstiedo! — powtórzył najmłodszy chłopczyk.

I wszystko troje pobiegli od parkanu wewnątrz ogrodu, ku białemu dworowi.

Książę patrzył za niemi: starszy chłopczyk mógł mieć lat dziesięć, dziewczynka dziewięć, młodszy pięć.

Poniatowski podjechał powoli ku bramie podwórza. Stał w niej już średniego wieku szlachcic z wyżłem przy nodze, w kapocie szaraczkowej.

— Mam honor adjutanta jego książęcej mości witać? — ozwał się serdecznie.

— Potocki — odpowiedział książę. — Pozwól waszmość pan, że się zaprosi na kawę.

— Sercem całem! Sercem całem! — odrzekł szlachcic. — Proszę!

Wjechał Poniatowski w bramę, konia mu parobek wziął, a on sam, przez pana domu prowadzony, do jadalnego pokoju wszedł, gdzie cała rodzina przy kawie zgromadzona siedziała. Pani, dwoje siwowłosych staruszków i młoda panna. Za krzesłem matki stały dzieci. Wszyscy byli wzruszeni zapowiedzianym gościem i powstali na powitanie.

— Jaśnie wielmożny hrabia Potocki, szef brygady korpusu księcia Poniatowskiego — rekomendował szlachcic.

— Mości panie hrabio — rzekła, podchodząc ku niemu, pani domu — szczęście to dla nas. Prosimy.

— Pałasz, panie hrabio, choć na moment odepnij — podjął szlachcic.

— Dobrze.

Chciał szlachcic pałasz odpięty własnoręcznie w kącie postawić, ale już stał przy Poniatowskim najstarszy chłopczyk i błagalnie nań patrzył.

Więc Poniatowski odpiętą broń w ręce mu podał, a dziecko w obu rękach małych ją trzymało, rozpłomienione całe i czerwone, zawstydzone i wzruszone do głębi duszyczki.

— Tadziu, postaw! — rzekł ojciec.

Chłopczyk spojrzał na ojca z wyrzutem, wahał się sekundę, zaniósł pałasz w kąt i stanął przy nim.

Ojciec skinął nań ręką.

— Ja tu... ja tu... będę pilnował — powiedział chłopczyk cichutko, drżącemi jak do płaczu ustami.

Poniatowski dosłyszał, uśmiechnął się doń, a chłopczykowi oczy się zaszkliły.

Podano księciu kawę, a tymczasem dziewczynka wyszła z pokoju. Opowiadał książę, że na rozkaz Bonapartego po siedem mil dziennie drugi już dzień robią w dwie dywizje piechoty, szesnastą Zajączka i osiemnastą Kniaziewicza, i w dywizję kawalerji, gdy pojawiła się przed nim dziewczynka z pękiem kwiatów, zerwanych w ogrodzie, świeżych i pachnących — róż, narcyzów, lewkonji i rezedy, i położyła mu je z dygiem obok filiżanki. Poniatowski cofającą się za rączkę wziął i pocałował.

— *Charmée* — odpowiedziała, dygając powtórnie.

Poniatowski pił kawę, jadł do niej świeżą, doskonałą babę, i pachniał mu ten polski dwór, cichy i spokojny. Wisiały na ścianach portrety przodków w kontuszach, zbrojach pancernych i mundurach z herbem «Orła». Poznał książę dwa mundury — jeden artyleryjski, drugi mundur lansjera, dwaj ludzie młodzi, a portrety czarną krepą obwiedzione.

— Polegli? — zapytał.

— Bracia moi młodsi — odpowiedział szlachcic. — Jeden pod Ulm, drugi pod Saragossą. Jeszcze tu i trzecią pamiątkę możemy pokazać. Bolesiu...

Bladawa, o smutnej twarzy, przystojna panna, siedząca naprzeciw, wyciągnęła z za gorsu medaljon, otwarła i podała księciu.

Poniatowski rzucił oczyma na minjaturę i rzekł:

— Tę twarz widziałem — ależ tak! Ten młodzieniec

stał obok mnie trzeci w szeregu, kiedy z karabinem w ręku prowadziłem pierwszy bataljon pierwszego pułku piechoty do ataku w lasku falęckim. On padł...

Cała rodzina otaczała już księcia.

— Dzieci! wnuki moje! — zawołał siwy starzec. — Patrzcie! Oto wódz z pod Raszyna!

A najmłodszy chłopczyk ukląkł, pocałował wodza w but zakurzony i, podniósłszy ku niemu obie rączki, wypowiedział z zachwytem:

— Tsiążę Józef Poniatowsti...

Podług *K. Tetmajera.*

Kiedy mogło to być? Co wiesz o roku 1812-ym? Dlaczego w polskim dworze tak przyjmowano księcia Józefa?

138. Bój pod Lipskiem (1813. 19. X).

Poczerniały orły złote,
Orły Francji poczerniały [1]),
Skrwawił jasne swoje [pióra
I nasz srebrny orzeł biały.
— Dalej, dalej, orły moje,
W nowe trudy, w nowe boje,
W słońcu chwały wam wy-[złocić,
Wysłonecznić pióra swoje!
Rzekł Napoljon, ręką skinął,
Resztę armji swej rozwinął;
A z nim losy swoje wiąże
Poniatowski Józef książę.
Pod Lipskiem się Sasy bro-[nią
Nad Elstery modrej tonią,
Nad Elstery modre wody
Ciągnie nasz bohater młody!
Już jesienne słońce wstało,
W nurtach rzeki się przej-[rzało.
Poniatowski się tam bije
I Francuzów odwrót kryje.
Napoljońskie sławne roty
I konnice, i piechoty
Cofają się w głuchej ciszy,
Nikt tam strzału nie po-[słyszy.
Wyczerpany, w głodzie, [znoju
Nie ma Francuz już naboju,

[1]) Po wielu zwycięstwach zaczął Napoleon przegrywać bitwy.

Tylko piersi i pałasze
Zasłaniają go tam nasze.
Tak z pod Lipska uszli cało,
Tak ich nakrył swoją chwałą,
Swojej szabli błyskawicą
Książę Józef z swą konnicą.
Przez Elsterę idą nasi,
A wtem most zapalą Sasi,
Już odcięta dla nas droga,
Hufce polskie — w mocy
[wroga.
Książę Józef w nurty
[spojrzał,
W bok rumaka wbił ostrogę:
— Bóg mi honor dał Pola-
[ków,
Bogu tylko zdać go mogę!
Ściągnął uzdę, szablą błyśnie,
Wzniósł ku niebu modre
[oczy,
— Za mną, wiaro moja! —
[krzyknie
I w spienione nurty skoczy.
Poniosły go wody sine,
W głąb śmiertelną go po-
[niosły,
A gdzie zginął nasz bohater,
Smutne wierzby tam wy-
[rosły.

Jan Sawa.
(M. Konopnicka).

139. Na Bielanach pod Warszawą [1]).

I. Poranek był pogodny i słoneczny. Drogą od przystani do kościołka na Bielanach pod Warszawą podążała liczna gromadka młodzieży i kilka osób starszych. Mimo wesołości na wszystkich twarzach malowało się wyraźne wzruszenie, a w młodych oczach płonęła poważna ciekawość.

Czy wielkie dziwy spodziewano się zobaczyć na Bielanach?

Chyba nie. Tam za nimi krajobraz wybrzeża, rozległy, daleki, malowany jasną zielonością wiosny, błyskaniem fal wiślanych, błękitem powietrza — a tu przed nimi cichy, pusty cmentarz i niewielki kościółek. To wszystko.

Na Zielone Świątki inaczej tu bywa; gwarno,

[1]) Są Bielany i pod Krakowem.

głośno, wesoło; kto jednak pragnie poznać ten zakątek, nie wybierze się wtedy.

Dziś na cmentarzu cicho. Kilku inwalidów, którzy mają schronisko w pustym poklasztornym budynku, przesuwa się po ścieżkach samotnie, lub prowadzi rozmowy głosem przyciszonym.

— Smutno tutaj — szepnęła jedna ze starszych dziewczynek — i tak dziwnie, że nie śmiałabym się bawić.

— To niesłusznie — odparła inna — miejsce to nie przypomina nam przecież żadnego okropnego wypadku w przeszłości, dla mnie jest ono tylko poważnem, i to głównie ze względu na grób Staszyca. Wobec wspomnienia zasług tego niezwykłego człowieka, najpuściejsza chyba głowa musi chociaż na chwilę zastanowić się nad tem, jak wiele zrobić może jeden człowiek, jeżeli pragnie szczerze, całą duszą.

— Przyznam ci się, moja droga, że chociaż wiele było o tem mowy, nie wiem tak bardzo dobrze, co ten Staszyc zrobił. Był ministrem, żałował sobie na ubranie, postawił pomnik Kopernika — czy to takie wielkie zasługi? — dodała ciszej, oglądając się nieśmiało, czy kto nie słucha.

— Jeśli wiesz tylko tyle, to możesz się dziwić — odparła towarzyszka, — ale i ja ci się przyznam, że mnie smuci, ile razy się przekonam, jak mało znamy swoich wielkich ludzi w porównaniu z tem, co wiemy o Cezarach, Napoleonach i t. d. — Więc posłuchaj:

II. Staszyc był synem ubogich rodziców, po których nie odziedziczył majątku. Krajowi ofiarował miljony, które zdobył nie dla siebie, lecz dla dobra swoich rodaków. To pierwsza wielka rzecz.

A potem — jak rozumnie tego majątku użył! Słyszałaś może o ogromnych dobrach hrubieszowskich, które kupił i rozdzielił między włościan, ucząc tym pięknym

przykładem, iż rolnik powinien być człowiekiem wolnym i właścicielem ziemi, którą swoją pracą uprawia.

Słusznie też nazywają go ojcem górnictwa. Studjował je z zapałem, nie żałując trudu, sam zwiedził i zbadał Tatry, wydał o nich poważną pracę, kosztem swoim kształcił młodzież w tym kierunku i pierwszy wskazał nam skarby, jakie posiadamy w ziemi.

Był członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, któremu ofiarował gmach, własnym kosztem wystawiony. Dla uczczenia pamięci Kopernika wzniósł mu wspaniały pomnik.

Pracował też jako pisarz. Pierwszy zwrócił uwagę, jakie zmiany w rządzie są konieczne, żeby Polska stała się znowu potężną. Można powiedzieć, że on pierwszy stworzył projekt konstytucji, którą 3-go maja ogłoszono.

Pisał bardzo wiele dzieł, pracował dla kraju jako urzędnik, został nawet ministrem, a żył zawsze jak człowiek ubogi, wszystkie dochody obracając na pożytek innych. W testamencie zapisał jeszcze fundusz na tak zwane Sale zarobkowe, gdzie najubożsi mieli się uczyć rzemiosł i zarabiać. Sale te, przeznaczone dla ubogiej młodzieży, nazywają się: Sale zajęć.

Czyż to mało?

— Za dużo, moja droga, on więcej dobrego zrobił, niż ja spamiętać mogę. Tak, to był wielki człowiek.

Stanęły właśnie przed skromnym nagrobkiem z ciemnego kamienia, otoczonym żelazną balustradą. Na kamieniu obok popiersia w płaskorzeźbie był krótki napis: «Stanisław Staszyc, urodzony w r. 1755, dnia 20 stycznia 1826 r. umarł».

— Jaki skromny nagrobek!

Jak ten, który pod nim spoczywa. Nie dla sławy żył, nie pragnął chwały.

Jedna z dziewcząt rzuciła na grób świeże kwiaty,

inne postanowiły upleść świeży wieniec, a były takie, które usiadły wpobliżu i pogrążyły się w myślach. Może widok cichego grobu zbudził w tych młodych duszach gorące i wielkie pragnienia, może praca dla kraju wielkiego człowieka nie skończyła się z jego życiem, może jego wspomnienie będzie żywem ziarnem, które nowe wyda owoce.

Zwiedziwszy skromny kościołek i klasztor, którego założycielem był jeszcze Władysław IV, oraz szczątki letnich mieszkań dworu królewskiego z czasów saskich, nad wieczorem młode grono skierowało się znów ku przystani, aby statkiem powrócić do Warszawy.

A każda z dziewcząt miała w sercu wiosnę, zabraną z pól i lasów mazowieckich, a w duszy jakąś radosną powagę, pełną czci dla przeszłości, a może i dumy.

Czy każdy człowiek powinien pracować dla kraju swego i przyszłości? Kogo i za co nazywamy obywatelem? Co to znaczy: cnoty obywatelskie? Co wiesz o Staszycu?

140. Krakusy.

Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Błyszczą białe rabaty,
A Dwernicki na przedzie
Na Moskala nas wiedzie.

— Hej, za lance, chłopacy,
Czego będziem tu stali?
Tam się biją rodacy,
A myż będziem słuchali?

Chodźwa trzepać Moskala,
Bo dziś Polska powstała!
Niech nam Polski nie kala,
Hej, zabierzwa mu działa!

I zerwali się razem,
Posterunek rzucili,
Nie wołani rozkazem
Na batalję przybyli.

— Cóż tu słychać, ułanie?
Pyta jeden z nich żwawo.
— Kropią naszych, mospanie,
Słońce zaszło dziś krwawo!

— Ejże, kropią — mówicie?
— Jakże kropić nie mają,
Kiedy wy tu stoicie,
A wej oni strzelają?

Wszak to działa nie dziwo?
Wszak to blisko, wiarusy?
Ej, na działa — a żywo!
Dalej, naprzód, Krakusy!

I krzyknęli wraz — hurra!
Właśnie gdy wróg nacierał.
— Co tam leci za chmura? —
Pyta sztabu generał.

— Generale, Krakusy
Znać swą pocztę rzucili.
— Oszaleli wiarusy,
Bez rozkazu ruszyli!

A to czyste warjaty!
Patrz, jak lecą po roli!
Patrz, jak wiercą granaty!
Nie daruję swawoli!

Lecz gdy wódz się tak gniewa,
Groźnie patrzy dokoła,
Ktoś od walki przybywa
I zdaleka już woła:

— Generale, to chwaty!
Od lewego tam skrzydła
Wiodą cztery armaty,
A Moskali jak bydła!

Lecą, lecą wzdłuż błonia,
Grzmią krakowskie kopyta,
A Dwernicki spiął konia
I okrzykiem ich wita.

— Dzielnieście się spisali!
Zawsze Polak tak bije!
A Krakusy wołali:
— Nasza Polska niech żyje!

W. Pol.

Kiedy była bitwa pod Stoczkiem? Kto z kim tam walczył? Jak się cała ta wojna skończyła? Co wiesz o powstaniu w 1830 r.

141. Na wojnę.

Było to w r. 1863.

Nowy rok zaczął się bardzo dobrze: pan Dobrzański pierwszy raz dał mi cenzurę, na pięknym papierze, ozdobionym girlandą, gdzie wypisał wszystkie stopnie celujące, sprawowanie wzorowe i promocję do klasy następnej. Za to mama kazała mi zrobić sanki.

Były to malutkie saneczki, ale jakąż wielką miałem z nich uciechę! Zaraz za budynkami znajdował się pagórek. Na jego szczycie stawiałem sanki, siadałem na nie i jazda wdół! W połowie wzgórza tylko wiatr świstał mi koło uszu, a potem jechałem już tak prędko, że pędem wydostawałem się aż na otwarte pole. Za pierwszym razem poszło mi dobrze, za drugim — nie wiem, co się stało, lecz zacząwszy jechać na sankach, nagle uczułem, że jadę na głowie, znowu na sankach, znowu na gło-

wie, i tak aż nadół, gdzie dopiero puściłem sanki, które uciekły w pole, a ja po pas ugrzązłem w śniegu.

Wogóle w początkach sanki równie często jeździły na mnie, jak ja na nich, lecz później nauczyłem się niemi tak doskonale kierować, żem nieraz prosił mamy, ażeby ze mną siadła, to ją przewiozę. Ale mama nie miała czasu.

Pewnego dnia na wzgórze przyszła niańka. Schwyciwszy ją za kark, chciałem gwałtem babinę wpakować na sanki i zjechać nadół. Ale Łukaszowa odepchnęła mnie niecierpliwie i rzekła:

— O, zawsze ci te zbytki w głowie! Ustatkowałbyś się choć dzisiaj.

— Albo co? — zapytałem, zdziwiony jej tonem.

— Dali znać, że jest wojna — odparła niańka.

— Wojna? — powtórzyłem za nią — wojna?

Zarzuciłem sanki na plecy i poszedłem do domu. Wyraz dopiero co usłyszany zawsze oznaczał dla mnie coś bardzo odległego i dawnego. Lecz w tej chwili nabrał treści, której zgoła nie pojmowałem.

Przechodząc koło stodoły, zauważyłem, że parobcy nie młócą żyta, tylko rozmawiają. Utkwiło mi nawet w pamięci zdanie Walka:

— Komu Pan Jezus miłosierny naznaczył śmierć, umrze i tak, a komu życie, temu i wojna nie da rady.

W kuchni kucharka wzdychając tłumaczyła dziewkom, że dla niej wojna nie nowina, bo już od kilku lat widuje na niebie krwiste słupy i ogniste rózgi.

— Znam ja się na tem — mówiła gospodyni — służyłam za dziewkę u gumiennego, co to w dwunastym roku chodził z Francuzem. Ten ci się naopowiadał (niby Maciej). Mówię wam, nieraz stało drugiego wojska jak lasu, a przyszedł Francuz, ino się zamajtnął, i już niema tamtych. Leżeli — gadał Maciej — jak snopy, kiedy się wóz wywróci.

» Jezu! Jezu! — szepnęła jedna z dziewcząt.

— I już się nie podnieśli, kiedy tak leżeli? — spytała Łukaszowa.

— Jakże się mieli podnieść, kiedy byli poprzetrącani — odparła kucharka.

Niańka westchnęła.

— Dużo ludzi zmarniało bez te wojny — rzekła.

— A *tera* — *musi* — zepsuje się najwięcej.

W saloniku byli goście: ksiądz proboszcz, pan Dobrzański, burmistrz, i także rozmawiali o wojnie i o Francuzie.

Wychyliłem się przeze drzwi, żeby mama mnie zobaczyła. Przybiegła i popychając mnie ku drzwiom, szepnęła:

— Czego tu stoisz? Idź na drugą stronę.

— Ja pójdę na wojnę! — mruknąłem, stąpając wielkiemi krokami.

Zapomniawszy o sankach, lecz wydobywszy z za szafy swój pałasz, kazałem przynieść z kuchni osełkę i zacząłem go ostrzyć. Opanował mię taki wojowniczy nastrój, że kiedy Łukaszowa ośmieliła się zażartować z mojego uzbrojenia, płatnąłem starowinę żelazem po ręce, aż jej wyskoczył siniak.

Zrobił się krzyk, wbiegła mama... W rezultacie musiałem niańkę przeprosić i długi czas klęczeć pod piecem.

Przez kilka dni kipiało w miasteczku. Przejezdni opowiadali o wojskach, które gdzieś daleko od nas chodzą po kraju; panie szyły bieliznę, starsi panowie radzili, a młodsi znikali.

Co do mnie, wybierałem się za innymi. Wystrugałem sobie łuk, pukawkę i wyostrzyłem pałasz tak, że wióry krajał. Miałem głowę pełną wojny, i tylko wypadek wstrzymał mię od opuszczenia domu.

Raz śniło mi się, że widzę długie szeregi żołnierzy

w niebieskich frakach, białych spodniach i szkopkach na głowie. Każdy miał w lewej ręce karabin, za plecami pałasz, ceglaste rumieńce na twarzy białej jak kreda i szeroko otwarte oczy. Wszyscy byli osadzeni na deszczułkach, spojonych nakrzyż jak nożyczki, ktoś nieustannie zamykał i otwierał deszczułki, a żołnierze szykowali się w kolumnę, albo w szereg, sztywni, nieruchomi na swoich kołeczkach, strasznie patrzący przed siebie.

Domyśliłem się, że będzie bitwa. Lecz że oprócz mnie nie było nikogo na placu, więc schwyciłem swój pałasz, machnąłem, i całe wojsko upadło na ziemię obalone. Jeszcze parę razy z wielką trudnością sformowali szereg i kolumnę, potem skrzypiące deseczki przestały się poruszać i — leżał żołnierz obok żołnierza z wywróconemi oczyma, z włosami zaczesanemi na skronie, błyszczący farbą, którą był pomalowany.

Wtedy przypomniałem sobie opowiadanie naszej kucharki, że dotychczas tylko Francuz robił podobne spustoszenia, i obudziłem się pełen wielkiej odwagi.

O zwykłej porze niańka, napaliwszy w piecu, zaczęła mię ubierać. Gdy mi wciągała buty, rzekłem grubym głosem:

— Trzeba mi na noc buty wysmarować łojem, bo jutro wychodzę.

— Gdzież ty chcesz iść?

— Na wojnę.

— Cóżbyś tam robił?

— Już ja będę wiedział, co robić.

Baba popatrzyła mi w oczy.

— W imię Ojca i Syna! — zawołała. — Świat się kończy, czy co? że i ten fąfel gada o wojnie!

Nie powiem, żebym się rozgniewał, czułem jednak, że teraz nie wypada mi być łagodnym. Właśnie niańka wzuwała mi drugi but, gdy ja, wyrwawszy nogę, kopną-

łem ją w kolano i w niedociągniętym bucie wyskoczyłem na środek pokoju, wołając:

— Właśnie, że pójdę, do stu djabłów! A jak mi jeszcze co powiecie, to wam w łeb strzelę!

Nagle staruszka objęła mnie rękoma, i stała się rzecz, której wcale nie przewidywałem. Nogi moje znalazły się tak prędko w górze, że mi but spadł, brzuch i piersi oparły się na kolanach niańki, a przed oczyma zamiast drzwi zobaczyłem podłogę. Zarazem uczułem, że Łukaszowa jedną ręką opasuje mi tułów, a drugą zaczyna odpinać guziki...

Wiłem się i rzucałem, ale napróżno. Wówczas zacząłem prosić.

— No, wojuj-że, wyrwij się, kiedyś taki chwat! — wołała niańka, trzęsąc się ze zmęczenia. — A ty rozpustniku, ty wisielcze! W domu i tak pełno zgryzoty, a jeszcze ten nicpoń odgraża się...

Zapłakałem ze wstydu, a wtedy baba postawiła mię na podłodze i ocierając łzy, mówiła już łagodniej:

— Oto widzisz, jakby ci było na wojnie. Złapaliby cię, i nimbyś nogą grzebnął, dostałbyś z pięćdziesiąt nahajów. Już i jabyn. ci wtedy nie pomogła, nawet pani.

Ostatnia uwaga zrobiła na mnie wrażenie.

— Cóż to, na wojnie biją się nahajkami? — spytałem zachmurzony.

Doznałem przykrego zdziwienia, jak gdybym nagle usiadł w miejscu, z którego usunięto krzesło. Rzucić się z moim pałaszem na cały szereg wojska potrafiłbym, ale nahajki przerażały mię. W głębi duszy nie wierzyłem, aby to mogła być prawda, lecz swoją drogą, ile razy pomyślałem o wojnie, przywidywało mi się, iż ktoś chwyta mnie wpół i przewraca do góry nogami tak prędko, że nawet niema czasu sięgnąć po pałasz.

Ten osobliwszy pogląd na sztukę wojenną ochłodził

mój heroizm. Nie wyrzekłem się wojny, ale postanowiłem iść nieprędzej, aż tyle urosnę, że mnie lada kto nie wywróci. Zrobiłem na piecu kreskę, jak mogłem dosięgnąć ręką, i mierzyłem się po kilka razy dziennie, patrząc, czy daleko do upragnionej wysokości. I dziwna rzecz: kiedym był wesoły, tom podrastał, a gdym był smutny, tom tak malał, żem prawie tracił nadzieję dosięgnięcia miary.

— Ha — myślałem — to i tak pójdę. Wlezę w środek, i niech mnie nie dają!

B. Prus.

Czy słyszałeś o powstaniu w 1863 roku? Co o niem wiesz? Czy znasz nazwiska jakich wodzów?

142. O Suzinie [1]).

Artylerja z armat wali,
Służy Suzin u Moskali,
Służy Suzin, Litwin z rodu,
Bo go chwycił wróg zamłodu.

Do kadetów go chwycili,
Na kadeta wychowali,
Ale Suzin czegoś tęskni,
Czegoś stroni od Moskali.

Pola, lasy, dom, rodzina,
Jakby przez sen je wspomina —
Nieraz czoło się zamroczy,
Nieraz we łzach staną oczy!

---

[1]) Paweł Suzin — najpierw oficer artylerji rosyjskiej, później powstaniec 1863 r.

Ej, Moskalu, trzymajże go!
Nie daj mu z Lachami w bitwę!
Bo przypomni kraj ojczysty,
Bo przypomni ród i Litwę.
— — — — — — — — — —

Artylerja z armat wali...
Uciekł Suzin od Moskali...
Zrzucił mundur oficera,
Kosynierów oddział zbiera.

Zebrał, runął w imię Boga,
W Balwierzyszkach pobił wroga
I za młodość swą odpłacił,
Co ją w Moskwy służbie — stracił!

Z Balwierzyszek pod Straciszki
Na moskiewskie szedł opryszki,
A czerwone słońce grzało,
W jasnych kosach się migało.

I stanęła garstka mała...
A tam Moskwa się rozlała
Aż po nieba gdzieś krawędzie...
Widzi Suzin, że źle będzie.

Stanął, spojrzał w pole bitwy,
Wszystkie krzywdy wspomniał Litwy,
Chwycił kosę: — Za mną! — krzyknął
I w bojowym pyle zniknął.
— — — — — — — — — — —

Artylerja z armat wali...
Poległ Suzin od Moskali,
Ale w Litwie się pamięci
Imię jego — wiecznie święci!

Jan Sawa (M. Konopnicka).

Kto był Suzin?

143. Z powstania 1863 roku.

I. Na założenie obozu naznaczono Wąchock, miasteczko położone u podnóża stoków gór Świętokrzyskich, w okolicy fabryk żelaznych, wielkich stawów i gęstych lasów, złączonych z puszczami Iłżecką i Świętokrzyską. Miejsce obrano szczęśliwie: ludność fabryczna składała żywioł sprytny, pełen energji, zapału i wrodzonego pociągu do partyzantki [1]). Każdy z robotników — urodzony żołnierz i dzielny strzelec.

Klasztor Cystersów, wielką walcownię, składy żelaza i magazyny zmieniono na koszary. W kuźniach pracowano dzień i noc. Wychodziły z nich setkami kosy proste, długie, podobne do piór, grube w środku, cienkie i ostre po bokach. W miasteczku roiło się jak w ulu, gwar niosła woda stawu na lasy, wszystkie place zajęto pod mustrę.

Kawalerji stanęło trzy szwadrony, chorągiewki furczały w powietrzu, konie młode i jeźdźcy młodzi, w białych świtkach i w czerwonych krakuskach. Serca rosły, a dusze płakały z radości!

Codzień przybywały oddziały strzelców, uzbrojonych w dubeltówki, konnych i ochotników do kosynierów. Siły nasze zwiększały się co godzina.

Rano mustra, wieczorami muzyka. Lud się bawił, śpiewał, tańcował, rwał na Moskala.

Z okolic Mirca i Iłży zażądano dwóch tysięcy kos. Były gotowe, tylko je na drzewca osadzić. Sześćdziesięciu ludzi dopóźna w noc pracowało. Należało każde drzewo dopasować, okuć na dole i obciągnąć żelaznemi prętami. Praca ciężka i żmudna, lecz gdy stanął las wbitych w ziemię dwóch tysięcy kos, zdawało się, że niemi można świat zawojować.

[1]) Partyzantka — walka ochotników (nie wojska regularnego), małemi oddziałkami, działającemi każdy na swoją rękę.

O dwunastej w nocy zajechały wozy, i do eskorty stanął pluton strzelców, uzbrojony w belgijskie karabiny. Ruszyli. Dudniało na moście, a kosy na wozach jakoś żałośnie jęczały. Zahuczało na szosie i ucichło. Miesiąc wyjrzał z za Świętokrzyskich gór, wzniósł się wysoko i zadumany świecił, znacząc drogę, dopóki pochód nie zniknął w ciemnym lesie.

II. Nazajutrz rano patrole przyniosły wieści, że wielka ćma naszych nadciąga. Z głównej kwatery dano rozkaz, aby cała siła wystąpiła na rynek z muzyką — oddać honory przybywającym.

Słońce zaświeciło wesoło na wypogodzonem niebie, mrozik ściął ziemię, śnieg przykrył wzgórza — jasno i sucho na dworze, ochoczo i raźno w sercach.

Najdłuższy bok rynku zajęli kosynierzy, strzelcy stanęli w plutonowych kolumnach, kawalerja w dwa szeregi wyciągnęła się po dwóch przeciwległych bokach. Przed kosynierami muzyka, sztab obok strzelców, lud milczący, oszołomiony — w środku.

Na białych wzgórzach raptownie poczerniało, słońce zamigotało na kosach, ziemia od stąpań ludzkich zadudniała.

— Idą, idą! — zahuczało w powietrzu.

Z poza wzgórza wyłaniały się kolumna po kolumnie. Na czele każdej jechali na dzielnych koniach dowódcy. Patrzącym zdawało się, że idą mrowia, gotowe cały świat zalać!

Raptownie, niespodzianie w tłumie ludzi powstał ryk, zmieszany z płaczem kobiet.

— Kiej ta czerniawa ruszyła — wołały — to nasza wygrana!

Czerniawa zsunęła się w dolinę, przeszła most, muzyka na rynku zagrała. Chłop w chłopa jak dęby, ciemnobronzowe sukmany, wysokie czapy baranie, u koszul

czerwone wstążki, w rękach kosy, na plecach kobiałki. Szli szóstkami, spokojni, poważni. Czuli, że są masą, siłą, potęgą — przyszłością. Długim łańcuchem okrążyli sztab, w oczach ich migotały światełka, wojsko prezentowało broń, muzyka grała, lud płakał, kobiety śmiały się przez łzy, dowódcy na koniach ustawiali szeregi.

Uderzono w dzwony. Na czoło sztabu konno wyjechał ksiądz. Przemówił — głos zamarł mu w gardle, łzy go zalały. Naczelnik odebrał przysięgę. Księdza na koniu przystrojono w kapę, organista podał kropidło, lud zdjął baranice, ukląkł. Cisza zapanowała, słychać było odgłos kopyt konia, niosącego księdza, i rzęsiste krople wody, spadające na głowy klęczących.

Muzyka zagrała hymn: «Jeszcze Polska nie zginęła», całe wojsko śpiewało z ekstazą [1]), głosy drżały w powietrzu. Nakońcu marsz: «Bartoszu, Bartoszu, nie traćwa nadziei» rozochocił szeregi. Wysunęli się naprzód strzelcy w plutonowych kolumnach, za nimi kawalerja, przybyłe bataljony z pod Iłży, a zamykali pochód starzy nasi kosynierzy z pod Szydłowca i Sandomierza.

Ucichło na rynku, zawrzało w koszarach. Dwadzieścia tłustych wołów padło tego dnia. Na dworze w wielkich kotłach gotował się krupnik, chleb rozdano na dwa dni, wódkę wlano do manierek.

Tłumy kobiet i dziewcząt otoczyły wojaków. Radosne powitania i wykrzykniki zlały się w jeden wielki gwar, lecący po mrozie prosto wgórę, do nieba.

Sewer.

Gdzie leży Wąchock? Co tam urządzili powstańcy? Dlaczego wybrali to miejsce? Czy wielkie były siły powstańców? Jak się skończyło to powstanie?

---

[1]) Ekstaza — uniesienie, zapał.

144. Samotna sosna.

Droga pod lasem złocona piaskiem,
Przy niej samotna sosna z obrazkiem,
I zawieszony na dzień zaduszek
Z nieśmiertelników mały wianuszek...

Na korze sosny, jak znaki święte,
Niezgrabną ręką w drzewie wycięte
Napół czytelne, krzywe litery
I rok pod niemi: sześćdziesiąt cztery...

Pod sosną leży — mówi podanie —
Leśnik, zabity tutaj w powstanie.
Zawsze procesja Bożego Ciała
Na miejscu tem się zatrzymywała...

A gdy ksiądz drzewo wodą pokropi,
Przyklękiwali z modlitwą chłopi,
I szmer szedł cichych w niebo pacierzy
Za ostatniego z polskich rycerzy...

Zdzisław Dębicki.

Czy mało jest takich grobów w polskiej ziemi?

145. Kto był Mickiewicz.

Przez stary, ciemny las, na białym koniu, jedzie młodziutki rycerz w złotej zbroi, ze złotym mieczem w dłoni. Stare drzewa stoją poważne i groźne, jak gdyby chciały zastąpić mu drogę, w gąszczu błyskają jakieś zdradzieckie ogniki, i ciemno, czarno wkoło — lecz rycerz jedzie śmiało, nie lęka się potworów, ciemności i zdrady; minie tę puszczę straszną, tajemniczą i ujrzy cudny świat: zamek na szklanej górze, mówiące ptaki, śpiewające drzewa, i źródła żywej wody, i złote jabłonie,

i uśpioną księżniczkę, którą zbudzi ze snu — wszystkie te czary-dziwy ujrzy własnemi oczyma, złotym mieczem zabije smoka i powróci zwycięzcą, i ukaże ludziom przewspaniałą krainę, którą zdobył.

To baśń.

— Lubicie baśnie? Te przecudowne, przenajpiękniejsze, o wielkich bohaterach i rycerzach, których chcielibyśmy widzieć, i być takimi kiedyś, walczyć i zwyciężać, i otwierać przed ludźmi nowe światy! — Baśń — to jest cudny świat, który porywa, ciągnie i przenosi dusze het, w krainę piękną, gdzie wszystko takie inne i wspaniałe.

A skąd się bierze baśń?

Człowiek ją układa — ale czy każdy może?

O, nie, moje dzieci. Do krainy baśni i piękna zna drogę tylko poeta.

Wielu ludziom się zdaje, że poeta to taki człowiek, co umie pisać wiersze. A wcale tak nie jest. Można pisać wiersze i nie być poetą, tak samo, jak można malować pendzlem i farbami, a nie być wcale malarzem, albo nosić zbroję rycerza, a być naprawdę tchórzem.

Poeta — to zupełnie co innego.

Można być poetą i nie pisać wierszy.

Więc któż to jest poeta?

Prawdziwy poeta — to jest dziwny człowiek. Ma on duszę niezmiernie, niezmiernie bogatą, pełną najdroższych skarbów i klejnotów, i to, co ma w duszy, to widzi na świecie, i dlatego świat cały wydaje mu się inny niż nam wszystkim, piękniejszy i wspanialszy, i cudowny, i maluje go słowami tak wyraźnie, że słuchając, czytając, widzimy to piękno i czujemy się ogromnie szczęśliwi, bo poeta nam oddał skarby swego ducha.

On wyjmuje z siebie i rozdaje ludziom. A ludzie biorą, czują się szczęśliwi i kochają poetę.

A im więcej posiada i więcej dać może, tem więk-

szym jest poetą i tem więcej rozkoszy i szczęścia daje ludziom.

Przez to poeta ma władzę nad ludźmi: bo co on kocha — wszyscy kochać muszą, a czem on gardzi — i wszyscy pogardzą, a na co on powie, że jest złe, szkaradne, to wszystkim wyda się takiem okropnem, że się odwrócą ze wstrętem i zgrozą.

Więc poeta ma moc nad ludźmi i robi z ich sercami, co mu się podoba.

I świat cały jest czemś innem dla poety, niż dla zwyczajnych ludzi. On jak z bratem rozmawia z każdą grudką ziemi, z każdą gwiazdką, księżycem, słońcem, wiatrem, listkiem na drzewie i źdźbłem trawy. Dla niego wszystko żyje, wszystko go rozumie, to wszystko przyjaciele, którzy otaczają go miłością, dobrą radą. Od tych przyjaciół on się dowiaduje rzeczy nieznanych ludziom i znowu zbogaca przez to swoją duszę.

Czyż nie dziwnym człowiekiem jest poeta?

A to jeszcze nie wszystko. Miewa on takie chwile, kiedy widzi jasno, co na świecie stanie się kiedyś, może po setkach lat, i przepowiada niby prorok przyszłość. A mówi nie dlatego, że chce mówić, ale że w nim się odzywa głos jakiś tak potężny i silny, że słuchać go musi i wypowiadać to, co on mu każe.

Ten tajemniczy głos w duszy poety nazywamy natchnieniem, a poetę, który przepowiada przyszłość, zowiemy wieszczem.

Ludzie wierzą lub nie wierzą, bo nieprędko spełniają się te przepowiednie, ale szanują i czczą wieszczów swoich, bo głos ich płynie z serca.

Takich poetów-wieszczów miała Polska, oni nie pozwolili jej zginąć. Największymi byli: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński.

Mickiewicz jest poetą, bo umiał z własnej duszy wydobyć bezcenne skarby i oddał je nam wszystkie, a blask tych klejnotów olśnił cały naród, zachwycił wszystkie serca, porwał wszystkie dusze, i od stu lat Polacy czują się szczęśliwi, podziwiając te bogactwa nieskończone, które nam pozostawił już na zawsze, bo nie stracą nigdy wartości, i nikt nam ich odebrać nie może.

I Mickiewicz jest wieszczem, bo przepowiadał przyszłość, wielką, wspaniałą, piękną dla Polaków, i wskazał drogę, która do niej wiedzie. Uczył nas, jak żyć mamy. A słowa jego są tak szlachetne i mądre, że je odczytujemy jak modlitwę i wierzymy, że spełnią się jego proroctwa.

A teraz, choć Mickiewicz żył w ubóstwie i pracować musiał na kawałek chleba dla dzieci, czy możemy powiedzieć, że był każdemu z nas równy?

Rozumie się, że nie. Duch jego był bogatszy, wspanialszy, mądrzejszy — to był królewski duch.

Urodził się z królewską duszą, jak król panował nad swoim narodem, królewskim jaśniał blaskiem nad wszystkimi, królewskie pozostawił nam w dziedzictwie skarby i na królewską zasługuje sławę.

Dlatego Mickiewicza złożono po śmierci na Wawelu, w grobach królewskich, bo królom jest równy i większy od wielu, co za życia w królewskiej chodzili koronie — bo jest królewskim duchem polskiego narodu.

I on za życia nosił koronę na głowie: była z ciernia i z blasku, raniła i rozjaśniała jego czoło, a płynęła z promieni jego ducha.

Ten królewski duch promienisty nie został z nim złożony w grobie, lecz poeta za życia przelał go w swe piękne księgi, w których jest, żyje i żyć będzie wiecznie.

Tym sposobem duch Mickiewicza pozostał z nami, tu na ziemi nieśmiertelny, przemawia do nas ciągle i ni-

gdy zaginąć nie może. Świeci nam jak ta gwiazdka, która wiodła pastuszków do Betlejem.

Jakie znasz utwory Mickiewicza?

146. Przypowieść Mickiewicza o zgodzie.

Do jamy wilczej wpadło kilku podróżnych. Byli pomiędzy nimi panowie, słudzy i przewodnik.

A skoro się ujrzeli na dnie jamy, zmierzyli ją oczyma i choć nic do siebie nie mówili, zgadli, co trzeba robić.

Stanął tedy na dnie jamy jeden z nich, najsilniejszy i najgrubszy, a drugi wstąpił mu na barki, a trzeci drugiemu wstąpił też na barki, a ostatniemu na barki wstąpił przewodnik.

Tak robiąc drabinę, nie uważali, kto pan, kto sługa, ale osądzili sami siebie po tuszy i szerokości barków. Osądzili też, iż najpierwej trzeba wysadzić z jamy przewodnika, który znał drogi i najrychlej mógł sprowadzić pomoc.

A gdy przewodnik wyszedł, czekali w milczeniu, posilając się pokarmem, który mieli w sakwach, i obdzielając każdego wedle głodu jego.

Niektórzy się lękali, aby ich przewodnik tam nie zostawił, ale nic nie mówili, aby serca nie psuć towarzyszom, i rzekli tylko w duszy: — Jeśli nas zdradzi, będziemy mieli czas narzekać.

Wreszcie przewodnik wrócił i ludzi sprowadził, podróżnych wyciągnął z jamy i do wsi odwiódł.

Więc milcząc, pożegnali się i myśleli podróżni: — Przewodnik głupi jest, ale iż zbłądził z głupstwa, a nie ze złej woli, i miał dosyć strachu, puśćmy go w pokoju. Wszakże drugi raz lepiej wybierajmy przewodnika.

Przewodnik zaś myślał: — Zbłądziłem i mało co nie zgubiłem tych poczciwych ludzi: drugi raz nie podejmę się przewodnictwa.

I trwało między tymi ludźmi od czasu wpadnienia aż do czasu wyjścia głuche milczenie.

Następnego roku wpadli do tejże jamy drudzy podróżni z drugim przewodnikiem i umyślili ratować się tymże sposobem.

Ale był spór, kogo postawią na dole, bo panowie nie chcieli sług dźwigać na barkach, a słudzy obawiali się, aby panowie wyszedłszy, nie zostawili ich w dole.

Wszyscy zaś obawiali się wypuścić przewodnika, bo go w gniewie za błąd łajali i bili. Musiał im tedy zakląć się przysięgą wielką, że powróci.

Skoro wyszedł, pomyślał sobie: — Źli to ludzie są i coś na mnie knują, bo mi nie wierzyli; zostawię ich tam w jamie. — Szedł więc do domu swego.

A podróżni kilka dni marli głodem, aż przypadkiem trafili na nich ludzie i wyciągnęli ich.

Ledwie wyszli na wolność, jedni chcieli puścić się dalej w drogę, drudzy — szukać i karać niewiernego przewodnika. Kłócili się więc z sobą i rozłączyli.

Zapalczywsi szli, klnąc i grożąc przewodnikowi, i stało się, iż nikt im nie chciał przewodniczyć, ani na prośby ani za pieniądze.

Przewodnik zaś ów niewierny klął i krzyczał, że nic nie winien, że owi ludzie sami zbłądzili, a na dowód, iż dobrze zna drogi, podjął się innych prowadzić. I stało się, iż był znowu innym przyczyną nieszczęścia.

Czy zgoda jest ludziom potrzebna? Czy lepiej rodzinie, kiedy wszyscy żyją w zgodzie, czy kiedy się kłócą? Czy dobrze w szkole, jeśli niema zgody między kolegami? Czy bez zgody można wykonać jaką pracę? Czy dobrze w kraju, gdzie się kłócą,

zamiast pracować? Czy dobrze na świecie, kiedy narody walczą między sobą, zamiast żyć w braterskiej zgodzie?

147. Niech się dzieci moje kochają.

(Wspomnienie o Adamie Mickiewiczu).

I.

Było to w roku 1855-ym. Mickiewicz już od lat dwudziestu kilku przebywał poza granicami kraju, pożerany tęsknotą, trawiony gorączką pracy dla jego wolności, wiecznie oczekujący chwili, w której ta upragniona wolność miała się urzeczywistnić. I zdało mu się, że tej chwili szczęśliwej doczekał.

W roku 1854-ym na Wschodzie zerwała się burza... Nad morzem Czarnem zagrzmiały działa, rozpoczęła się wielka wojna Turcji, Anglji i Francji przeciw Rosji.

Wśród Polaków emigrantów z roku 1831-go odżyły dawne nadzieje. Jak niegdyś za Napoleona I-go, tak wówczas w Bułgarji, do Turcji wtedy należącej, poczęto formować legjony polskie, aby z niemi wkroczyć do kraju.

Mickiewicz pełen głębokiej wiary w szczęśliwy dla Polski koniec «wojny krymskiej», oddawna rwał się na Wschód, gdzie trzeba było grozić waśnie, zachęcać do wytrwałości i męstwa.

Znękany niedawną śmiercią żony, niepewny o los dzieci, złożył troski osobiste na ołtarzu ofiarnym ojczyzny i w końcu września przybył do Konstantynopola, skąd udał się natychmiast do obozu polskiego w Burgas. Tu cieszył się widokiem rodaków, objeżdżał obóz, odbywał mustry, ale zarazem gryzł się niezgodą wodzów, która jak przekleństwo zda się ciążyć na wszelkich naszych sprawach publicznych.

W połowie października powrócił do Konstantynopola, gdzie żył w szczupłem kółku rodaków, wśród któ-

rych najbardziej mu oddani byli Henryk Służalski i Żyd z pochodzenia, a Polak z duszy — Armand Lewi.

Zamieszkał Mickiewicz na przedmieściu Jeniszeri, w dzielnicy nizinnej, pełnej niezdrowych wyziewów. Wynajął sobie obszerny pokój od niejakiego Rudnickiego, u którego też się stołował. Przyrządzano tam na obiady barszcze, kapuśniaki, kołduny, bigos i inne potrawy, które Adamowi ojczyznę przypominały, ale naonczas nie były zdrowe.

W Konstantynopolu panowała cholera...

«Dnia 26 listopada zrana — czytamy w jednem ze wspomnień — Mickiewicz uczuł się niezdrowym, dostał mdłości, które jednak prędko przeszły. W południe powtórzyły się jeszcze raz, lecz nikt nie podejrzewał strasznej choroby. Około godziny czwartej pojawiły się kurcze; nie było wątpliwości — cholera. Chory opadał na siłach, chciał Służalskiemu dyktować testament — już nie mógł. Kazał iść po księdza «Litwina» (był taki, znajomy, ksiądz Ławrynowicz), ale gdy przyszedł, już konający stracił mowę. Ostatnie jego słowa, do Służalskiego wymówione, były: «Powiedz moim dzieciom — niech się kochają zawsze». Skończył o godzinie 8-ej minut 40 wieczorem.

II.

Ciało wieszcza, ubrane w polską czamarę, złożono na środku izby w trumnie dębowej, przy której kolejno czuwali nieodstępni przyjaciele: Służalski, Lewi i inni rodacy. W parę dni potem odwiedził zwłoki Adama Teodor Tomasz Jeż, który w sprawach Polski wtedy również w Konstantynopolu przebywał.

«Poszliśmy we dwóch — pisze Jeż — Kozłowski i ja. Na pierwszem piętrze otworzył nam Rudnicki na klucz zamknięty pokój.

Nie zdołam opisać uczucia, z jakiem przestępowałem próg izby, służącej za schronienie dla martwych szczątków człowieka, dla którego cześć nakształt czci religijnej w duszę moją od dzieciństwa wrosła. Wchodziłem na palcach, z głową pochyloną, z pokorą, co wdół mnie gniotła, jak się do świątyni wchodzi. W postawie modlitewnej stanąłem i w milczeniu słuchałem Rudnickiego, który mi półgłosem opowiadał o trumnie potrójnej: wewnętrznej ołowianej i dwóch zewnętrznych drewnianych.

Oblicza Mickiewicza po śmierci nie oglądałem. Widziałem jego trumnę ogromną, dębową, okutą, zaśrubowaną i zaopatrzoną w antaby [1]) mosiężne. Spoczywała na środku izby, na stołkach. Nie przykrywał jej całun, nie powlekła farba, nie otaczały światła, nie było przy niej nikogo. Zajmowała środek izby, w której sprzęty i meble pozostawały tak, jak za życia wielkiego nieboszczyka.

Stałem długo przed trumną jego w pokorze ducha, zdjęty skruchą głęboką.

W parę dni później rozeszła się pomiędzy nami wiadomość, że stosownie do ostatniej nieboszczyka woli, ciało jego przewiezione zostanie do Francji, i że na przewiezienie to nadeszło ze strony rządu francuskiego pozwolenie.

O godzinie wyznaczonej przed domem, w którym ciało leżało, zgromadzili się przebywający w Konstantynopolu Polacy. Zebrało się nas sporo cywilnych i wojskowych — ludzi kilkuset. Ze Skutari nadciągnął oddział piechoty pod bronią, z oznakami żałoby na karabinach, z bębnami krepą osłoniętemi. Wąska a kręta ulica zapchana była ludem, śród którego widzieć się nie dawał inny, aniżeli polski żywioł. Wydawało się, że sami

---

[1]) Antaba — rękojeść, rączka do trzymania.

jeno Polacy odprowadzają pochodem pożegnalnym zwłoki poety swego, celem wyprawienia ich na spoczywanie wieczne. Czekaliśmy na karawan.

Karawan nadciągnął i przede drzwiami się zatrzymał. Stałem nieopodal. Widziałem, jak wyniesiono z wysiłkiem niemałym trumnę wielką, przy której w mundurach czerwonych i w granatowych z wyłogami kurtach obsługę czynili Służalski i Lewi. Wyniesiono trumnę, okryto ją całunem; eskorta wojskowa uszykowała się we dwa po dwóch stronach szpalery, bęben się głucho odezwał; wóz ruszył, i w chwili tej na przodzie, przed orszakiem księży, słyszeć się dały tony ponure marsza pogrzebowego. Kolonja włoska ofiarowała się z własnego popędu a bezinteresownie w sposób ten złożyć hołd i oddać usługę ostatnią nieboszczykowi.

Dzień był grudniowy, posępny, mglisty, mgła zmieniła się w drobniuchny deszczyk, który mżył i moczył. Ulice zalewało błoto. W ścisku nie można się było parasolami osłaniać. Depcząc błoto i moknąc, posuwaliśmy się powoli za wozem, który krok za krokiem ulicami wąskiemi wydobywał się z niziny Jeniszerskiej pod górę Pera, i kiedy na nią wyciągnął, odsłonił się oczom naszym widok o ile niespodziany, o tyle rzewny. Wydawało się nam, jakem rzekł wyżej, żeśmy sami Polacy. Pokazało się, żeśmy się mylili. Poza nami, niby rzeka ujęta w łożysko uliczne, płynęły tłumy ludzi, okrytych turbanami czarnemi. Okiem ich ogarnąć nie można było; czoło kolumny tej nas dotykało, koniec gubił się gdzieś wdali niedojrzanej. Ludzie szli w milczeniu, w skupieniu ducha, znamionującem udział w przejmującym nas żalu i smutku. Niespodziankę tę sprawili nam Bułgarzy.

Nie sami jednak oni z pośród ludności, Konstantynopol zamieszkującej, na eksportację się stawili. Nie było jeno Turków; okrom nich atoli wszystkie zresztą

narodowości miały swoich w orszaku pogrzebowym przedstawicieli. Widziałem Serbów, Dalmatów, Czarnogórców, Albańczyków, Greków, Włochów; Bułgarzy zeszli się najliczniej.

Na ulicy Pera, nieopodal od gmachu ambasady rosyjskiej, znajduje się zamaskowany od frontu domami kościół katolicki. Przed kościołem karawan się zatrzymał. Wniesiono do środka trumnę. Setna część ludzi wcisnąć się za nią i wysłuchać nabożeństwa żałobnego nie mogła. Reszta w szeregach ścieśnionych, w błocie i na wilgoci przed kościołem czekała, aż się ceremonja religijna skończyła, i wóz ruszył. Znowuśmy szli za trumną orszakiem ogromnym przez Perę, Galatę do Tofane, gdzie się znajdowała przystań dla kaików i łodzi, obsługujących statki, do Konstantynopola przybywające i z Konstantynopola odchodzące. Trumnę przeniesiono na łódź dużą, zawczasu na ten cel zamówioną; w łodzi ulokowali się ksiądz w komeżce, z krzyżem w ręku, i osób kilka. Widziałem ją, jak odpłynęła, i żal mi taki serce ścisnął, jakby łódź ta uwoziła istotę, z którą istotą moją zżyłem się całkowicie. Czyż tak nie jest? Czyż śród nas, obecnie nawet po upływie tylu lat od zgonu Mickiewicza, znajdzie się człowiek piśmienny, coby z nim zżyty nie był?»

III.

Po przybyciu do Francji zwłoki Adama po uroczystem nabożeństwie złożono w Montmorency pod Paryżem, na cmentarzu emigracyjnym, obok grobu Juljana Niemcewicza.

I leżały te drogie szczątki wieszcza-tułacza na obcej ziemi aż do roku 1890, gdy za synowską myślą polskiej młodzieży akademickiej w dniu 4-ym lipca uroczyście,

wobec przedstawicieli całego narodu polskiego, złożone zostały na Wawelu, w grobach królewskich...

Ilekroć wśród uroczystej ciszy podziemi wawelskich z sercem ściśnionem podchodzę do kamiennego grobowca Wieszcza, zda mi się, że słyszę z tej pieśni nieśmiertelnej ulatujące ostatnie słowa:

«Niech się dzieci moje kochają!»

M. Brzeziński.

Jak mamy rozumieć i wypełniać tę ostatnią wolę Mickiewicza?

148. Do moich synów.

Synkowie moi, poszedłem w bój,
Jako wasz dziadek, a ojciec mój,
Jak ojca ojciec i ojca dziad,
Co z legjonami przemierzył świat,
Szukając drogi przez krew i blizny
Do naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, da nam to Bóg,
Że spadną wreszcie kajdany z nóg,
I nim wy męskich dojdziecie sił,
Jawą się stanie, co dziadek śnił:
Szczęściem zakwitnie, krwią wieków żyzny,
Łan naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, lecz gdyby Pan
Nie dał wzejść zorzy z krwi naszych ran,
To jeszcze w waszej piersi jest krew
Na nowy świętej wolności siew:
I wy pójdziecie, pomni puścizny,
Na bój dla waszej Ojczyzny!

Jerzy Żuławski.

SPIS RZECZY.

	Str.
1. Boże, coś Polskę. *A. Feliński*	3
2. Szkoła. *E. Amicis* . .	4
3. Pauza w szkole klasztornej. *L. Kondratowicz*	6
4. Józio. *B. Prus* . . .	7
5. Mój Piotrusiu. *M. Konopnicka*	15
6. Z życia młodej Polki w XVIII w. *K. Hofmanowa*	16
7. Dziewczyna. *T. Lenartowicz*	18
8. Nauka małego Chińczyka. *Berthet* . . .	20
9. Dobroć. *L. Rydel* . .	22
10. Młody Amerykanin. *M. G.*	23
11. Psy. *Z. Dębicki* . . .	29
12. Ptaki i dzieci. *C. N.* .	29
13. Wśród zamieci. *Bełza*	33
14. Wychowanie małych bocianków. *Dygasiński*	34
15. Letni wieczór. *A. Asnyk*	37
16. Przygoda Stasia. *Bol. Prus*	38
17. Wspomnienie. *L. Rydel*	43
18. List do kolegi. *C. N.*	44
19. Przyjaciele. *I. Krasicki*	46
20. Przyjaciele. *J. Lemański*	47
21. Zabawa dziecięca. *J. Słowacki*	48
22. Duch sieroty *T. Lenartowicz*	50
23. Tęsknota do kraju. *C. N.*	51
24. Tęsknota. *C. Norwid*	53
25. Dumka wygnańca. *T. Lenartowicz*	54
26. Mali niewidomi. *E. Amicis*	55
27. Słonko. *A. Asnyk* . .	60
28. Przyjaciele robotnicy. *E. Amicis*	61
29. Dobre rady. *W. Pol* .	62
30. Szopka. *Or-Ot* . . .	63
31. Przytułek noclegowy. *Z. Bukowiecka* . . .	64
32. Chodzi Jezus malutki. *W. Bełza*	66
33. Przyjaciele św. Jana Kantego. *M. Śleczkowska*	67
34. Zdarzenie prawdziwe. *Z. Bukowiecka* . . .	69
35. Kamień na drodze. *M. Ilnicka*	71
36. Michałko. *B. Prus* . .	72
37. Przypowieść o talentach. *Ks. Serwatowski*	76
38. Kamienie wyklęte. *W. Szymanowski*	77

Str.

39. Mądry i głupi. *I. Krasicki* 82
40. Mężny. *Molnar* . . . 83
41. Jak ma żyć Polak. *Bełza* 87
42. Co jabym ci chciała dać? *N. Żmichowska* 87
43. Punktualność. *C. N.* 89
44. Wagi Ofira. *B. Prus* 90
45. Ksiądz definitor. *L. Kondratowicz* . . . 95
46. Dobroczynność Piotra Skargi 99
47. Ojczyzna. *Jan Sawa* 100
48. Anielka. *B. Prus* . . 100
49. Pod twoją strażą *Z. Dębicki* 107
50. Dwór wiejski. *A. Mickiewicz* 107
51. Izba wiejska. *M. Konopnicka* 109
52. Wiochna. *T. Lenartowicz* 113
53. Wino i woda. *I. Krasicki* 116
54. Co Kurta robił na podwórzu. *M. Konopnicka* 116
55. Chłopski koń. *M. Konopnicka* 122
56. Stary przyjaciel. *Selma Lagerlöf* 123
57. Kot, który chodził własnemi drogami. *R. Kipling* 127
58. Pogrzeb Filusia. *I. Krasicki* 134
59. Łoś rogacz i pies Wierny. *Selma Lagerlöf* 136

	Str.
84. Szklana góra. *K. Wóycicki*	189
85. Pamiętam. *K. Tetmajer*	193
86. Legenda o jaskółce. *M. Gawalewicz* . . .	193
87. W puszczy Białowieskiej. *H. Sienkiewicz*	195
88. Zając i niedźwiedź. *F. Morawski*	197
89. Przygoda Macieja Stryjkowskiego. *Kl. Hofmanowa* . . .	198
90. Na stawie. *K. Gliński*	201
91. Tren VIII. *J. Kochanowski*	202
92. Przypowieść o okrętach. *A. Mickiewicz*	203
93. Karliński. *A. Pajgert*	204
94. Stałość Regulusa. *J. Chęciński*	206
95. Duma o Żółkiewskim. *J. Niemcewicz* . . .	209
96. Ucieczka z niewoli. *E. Burzyńska* . . .	211
97. Złoto i żelazo. *J. Niemcewicz*	214
98. Stefan Czarniecki. *C. B.*	214
99. Śmierć Stefana Czarnieckiego. *A. Czajkowski*	219
100. Mucjusz Scewola. *J. Chęciński*	221
101. Trzech Budrysów *A. Mickiewicz*	222
102. Męstwo Zagłoby. *H. Sienkiewicz*	224
103. Powitanie. *J. Jaśkowski*	229
104. Ocalenie Trembowli	232
105. Dziewczę polskie. *L. Jabłonowski* . . .	233
106. Ptaszki w klatce. *I. Krasicki*	235
107. Krzysztof Kolumb. *A. Potocki*	235
108. Chmury. *A. Mickiewicz*	239
109. Łąki i lasy morskie. *M. Brzeziński* . . .	239
110. Zdaleka. *L. Rydel* .	241
111. Swierk i brzoza. *C. N.*	242
112. [illegible] i żaba. *A. Mickiewicz*	244
113. Na niedźwiedzia. *H. Sienkiewicz*	245
114. Chór strzelców. *A. Mickiewicz*	249
115. Step na wiosnę. *H. Sienkiewicz*	250
116. Ucieczka. *G. Zieliński*	251
117. W puszczy meksykańskiej. *W. Anczyc*	252
118. Obrazek. *K. Gliński*	256
119. Spotkanie z lwem. *Brehm.*	257
120. Lew chory. *I. Krasicki*	259
121. Upał. *H. Sienkiewicz*	260
122. Przed burzą. *G. Zieliński*	261
123. Polowanie na tygrysa. *Brehm.*	262
124. Małpa. *J. Massalski*	264
125. Dbałość ptaków o gniazda. *B. Dyakowski*	265
126. Kruk i lis	267
127. Puhacz. *B. Dyakowski*	268

	Str.
128. Zachód słońca. *A. Mickiewicz*	271
129. Do ziemi wiecznych lodów. Podług *Nansena*	271
130. Człowiek i zdrowie. *I. Krasicki*	273
131. Z opowiadań Eskima. *E. Berthet* . .	274
132. Żółw i mysz. *I. Krasicki*	279
133. Gospodarstwo Kościuszki. *C. B.* . . .	279
134. Przewodnik (z «Bitwy racławickiej»). *T. Lenartowicz* . .	281
135. Kawa palona . . .	283
136. A jak poszedł król na wojnę. *M. Konopnicka*	284
137. Książę Józef i dzieci polskie. *K. Tetmajer*	285
138. Bój pod Lipskiem. *Jan Sawa*	289
139. Na Bielanach. *C. N.* .	290
140. Krakusy. *W. Pol* . .	293
141. Na wojnę. *B. Prus* .	295
142. O Suzinie. *J. Sawa* .	300
143. Z powstania w 1863 roku. *Sewer*	302
144. Samotna sosna. *Z. Dębicki*	305
145. Kto był Mickiewicz. *C. N.*	305
146. Z przypowieści Mickiewicza «O zgodzie»	309
147. Niech się dzieci moją kochają. *M. Brzeziński*	311
148. Do moich synów. *J. Żuławski*	316

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA

DLA SZKOŁY POWSZECHNEJ

BOGUCKA C., NIEWIADOMSKA C. Nasi pisarze, ich życie i dzieła. Krótki zarys dziejów piśmiennictwa polskiego. Cz. I. Wyd. 5. 4·20 Zł

— Pierwsza książka do czytania. Klasa podwstępna. Z 53 ryc. Wyd. 20. Karton . . . . . 2·50 »

— Druga książka do czytania. Klasa wstępna. Z 58 rycinami w tekście. Wyd. 22. Karton. . . . . 3·— »

— Wypisy polskie na klasę I. Wyd. 20. 3·— Karton . . . . 3·50 »

— » » » » II. » 16. 3·— » . . . . 3·50 »

— » » » » III. » 12. 2·40 » . . . . 3·— »

BOGUCKA C., NIEWIADOMSKA C., WARNKÓWNA J. Pierwsze ćwiczenia do nauki poprawnego pisania dla szkół elementarnych.

Stopień I. Wyd. 28. . 0·50 Zł. Stopień III. Wyd. 15. . . 1·— »

Stopień II. Wyd. 21. 0·70 » Stopień IV. Wyd. 7. . . 0·60 »

— Podręcznik do ćwiczeń ortograficznych i systematycznego dyktanda. Wyd. 19. . . . . 2·60 »

DRZEWIECKI K. Nauka czytania i pisania z objaśnieniami. Wyd. 2. 0·35 »

— Początki gramatyki języka polskiego z ćwiczeniami i przykładami. Wydanie 10. . . . . 2·50 »

DYAKOWSKI B. Początkowa nauka o przyrodzie dla I i II oddz. szk. pow. Z 64 rys. . . . . 1·65 »

— Toż dla III oddz. Z 52 rys. Wyd. 4. 1·65; kart. . . . . 1·90 »

KISIELEWSKA J. W służbie ojczyzny. Pogadanki historyczne. Cz. I. Dla IV oddz. Z 18 rysunkami w tekście. Wyd. 9. Brosz. 2·10. Kart. 2·50 »

— Cz. II. Dla IV oddziału. Z 10 rysunkami w tekście. Wyd. 4. 2·10 »

Karton . 2·50 »

KOZIŃSKI L. i MOYCHO ST. Fizyka i chemja.

— Cz. I. Dla VI oddz. szkoły powszechnej. Z 212 rysunkami w tekście. Wydanie 6 . . . . . 5·— »

— Cz. II. Dla oddz. VII. Ze 176 rysunkami Wyd. 3. Brosz. 4·20. Kart. 4·60 »

NIEWIADOMSKA C. Czytanki dla szkół powszechnych:

— Rok pierwszy. Oddz. II. Z 80 ryc. Wyd. 10. Brosz. 2·— Kart. 2·40 »

— Rok drugi. Oddz. III. Wyd. 10. Z 92 ryc. Brosz. 2·20. kart. 2·60 »

— Rok trzeci. Oddz. IV. «Kraj własny» Cz. I. Z 15 ryc. Wyd. 10. Brosz. 2·— »

Kart. 2·40 »

— Rok trzeci. Cz. II. Z 18 ryc. Wyd. 5. Brosz. 1·80. Karton . 2·20 »

— Rok czwarty. Oddz. V. «My i świat» Cz. I. Wyd. 3 i 4. Brosz. 1·50 »

Karton 1·90 »

— Rok czwarty. Cz. I. Wyd. 4. Brosz. 2· — Karton . . . . . 2·40 »

SMOLEŃSKI WŁ. Historja Polski dla szkół powszechnych. Wyd. 4 Brosz. 2·80 Kart. . . . . 3·10 »

SZOBER ST., NIEWIADOMSKA C., BOGUCKA C. Nauka pisowni we wzorach i ćwiczeniach.

Zeszyt I. A. Wyd. 16 . 0·90 Zł. Zeszyt II. B. Wyd. 9 . . 1·— »

Zeszyt I. B. Wyd. 14 . 0·70 » Zeszyt III. A. Wyd. 6 . . 1·— »

Zeszyt II. A. Wyd. 14 . 1·10 » Zeszyt III. B. Wyd. 6 . . 0·80 »